

LE MONDE **EDYCJA POLSKA** *diplomatie*

Nr 2 (168) MARZEC/KWIECIEŃ 2021 DWUMIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY CENA 14,90 zł (w tym 8% PTU)



PAOLO VENTURA, Z SERIZAGINOWY ZOUAVE, 2012

Dziennikarstwo wojen kulturowych

Pierre Rimbart, Serge Halimi

Bycie pośrodku już się nie opłaca. Dawniej karmiąca się reklamową manną prasa umiarkowana celowała w masowego odbiorcę, kusząc go fałszywym obiektywizmem. Teraz mamy nowy przepis. Media kwitną, podsycając wojny kulturowe spolaryzowanych, wojowniczych społeczeństw. Na dobre i złe, pod czujnym, chwilami sekciarskim okiem własnego czytelnika. Zamiast krytycyzmu i zaangażowania rozwija się kultura moralizatorskiego wzmożenia i stadnej lojalności. Coraz bardziej izolowane bańki medialne oferują swym członkom raczej terapię utwierdzającą w słuszności własnych poglądów niż konfrontację ze złożoną rzeczywistością. ... STRONY 20-23

WWW.MONDE-DIPLOMATIQUE.PL

Antyrasizm i antykapitalizm

Frédéric Lordon

STRONY 4-5



Niemożliwa demokracja w Ameryce Łacińskiej?

Renaud Lambert

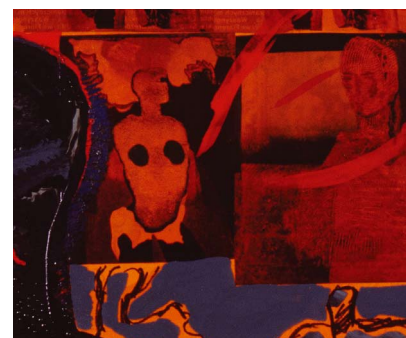
STRONY 6-9



Włoska skrajna prawica polubiła Brukselę

Stefano Palombarini

STRONY 18-19



Komuna na paryskich murach

Mathilde Larrère

STRONY 52-53

INDEX 212660 ISSN 1895-4839



SERGE HALIMI

Niech żyje „ryzyko systemowe”!

Trzy dni przez osiedleniem się Donalda Trumpa w Białym Domu chiński prezydent Xi Jinping udał się do Davos. Ostrzegł tam Stany Zjednoczone przed protekcjonizmem. Dziś przywódców chińskich alarmuje promowana przez Josepha Bidena polityka ożywienia gospodarczego. Widzą w niej „ryzyko systemowe” dla obecnego ładu światowego... Stany Zjednoczone uchwaliły bowiem jedną z najbardziej socjalnych ustaw w swojej historii. Odbiega ona od stosowanych w ostatnich dziesięcioleciach strategii gospodarczych, które faworyzowały dochody od kapitału – a zatem zarówno startuperów, jak i rentierów – i pogłębiały klasy ludowe. Zrywa z politykami publicznymi, powodowanymi lękiem przed wznowieniem inflacji i wzrostem zadłużenia. Obniżkami podatków nie stara się już uspokajać neoliberalistów i ich kredytodawców, których dochody często lądują na giełdzie i nadymają bańkę finansową.

Plan ratunkowy o wartości 1,9 bln dolarów (prawie 10% rocznego bogactwa Stanów Zjednoczonych), po którym ma nadejść program inwestycji w rozwój infrastruktury, czystą energię i edukację (3 bln dolarów w ciągu 10 lat), zdaje się świadczyć o tym, że były wiceprezydent Baracka Obama

my w końcu wyciągnął wnioski z tej całej historii. Również z porażki swojego dawnego „przełożonego”, który – zbyt ostrożny, zbyt centrowy – nie chciał skorzystać z kryzysu finansowego lat 2007-2008, aby zaprowadzić Nowy Ład. Kiedy gospodarka światowa spadała na łeb, na szyję, usprawiedliwia się Obama, moim zadaniem nie była przebudowa ładu światowego, lecz uniknięcie dodatkowej katastrofy [1]. W tym samym czasie mająca obsesję na punkcie długów Europa serwowała sobie czystą budżetową, a w szczególności masowo kasowała łóżka szpitalne...

Jednym z najbardziej obiecujących elementów planu Bidena jest jego uniwersalność. Każdy Amerykanin z dochodami poniżej 75 tys. dolarów rocznie jest uprawniony do uzyskania czeku Skarbu Państwa, opiewającego na 1,4 tys. dolarów. A przecież od ćwierćwiecza większość państw zachodnich warunkuje swoje polityki społeczne coraz niższymi pułapami zasobów, środkami permanentnego nadzoru oraz karnymi i poniżającymi „politykami aktywizacji” zatrudnienia [2]. W rezultacie tych, którzy już nic nie otrzymują, choć są w potrzebie, zachęca się, aby nie lubili takich polityk publicznych, które coś ich kosztują, a pomagają komuś innemu. Następnie, rozgrzani przez media

do białości, zaczynają podejrzewać, że utrzymują oszustów i pasożytów.

Kryzys koronawirusowy to przerwał. Nie sposób pomówić ani o to, ani o żadne błędy i nieporadność tych wszystkich pracowników – najemnych czy prowadzących własną działalność gospodarczą – którzy nagłe stracili pracę lub których firma upadła. W niektórych krajach aż 60% spośród tych, którzy otrzymali teraz, w związku z pandemią, pomoc dożywotnią, nigdy wcześniej jej nie dostało [3]. Państwo ruszyło im na ratunek na nic nie czekając ani na nic się nie oglądając, „niezależnie od tego, ile to będzie kosztowało” i nie przeprowadzając selekcji. Na razie gderających jest niewiele – poza prasą finansową i... Chińską Republiką Ludową.

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[1] B. Obama, *Ziemia obiecana*, Agora, Warszawa 2021.

[2] Zob. A. Daguerre, „Emplois forcés pour les bénéficiaires de l'aide sociale”, *Le Monde diplomatique*, czerwiec 2005 r.

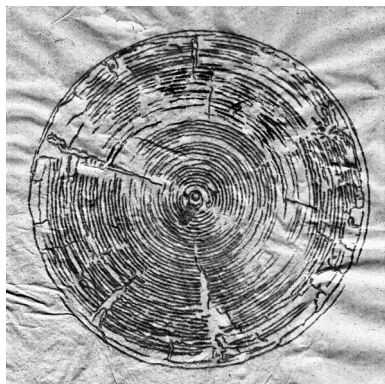
[3] Tak informuje Boston Consulting Group (BCG), cyt. przez *The Economist*, 6 marca 2021 r.



W numerze:

- 2 SERGE HALIMI Niech żyje „ryzyko systemowe”!
- 3 PRZEMYSŁAW WIELGOSZ W Hondurasie bez zmian
- 4 FRÉDÉRIC LORDON Antyrasizm i antykapitalizm
- 6 RENAUD LAMBERT Ikar czyli niemożliwa demokracja latynoamerykańska
- 10 MICHAŁ ROZWORSKI Pandemia nie przekonała do dochodu podstawowego
- 12 DOMINIQUE PINSOLLE Rozwiązywać, aby tym lepiej panować
- 14 PHILIPPE BAQUÉ Jak państwo terroryzuje antyterrorystów
- 16 ROMAIN MIELCAREK W Sahelu Francja wojny zleca podwykonawcom
- 18 STEFANO PALOMBARINI Włochy, europejskie laboratorium polityczne
- 20 PIERRE RIMBERT, SERGE HALIMI Dziennikarstwo wojen kulturowych
- 22 PIERRE RIMBERT, SERGE HALIMI Jak Donald Trump i media spustoszyli życie publiczne
- 24 RACHEL KNAEBEL Dyktat ekonomii w niemieckiej służbie zdrowia
- 26 VLADIMIR PAWLOTSKY Moskwa marzy o staniu się „miastem globalnym”
- 31 RAZMIG KEUCHEYAN Czy znowu będziemy oglądać gwiazdy?
- 34 LADISLAW DOWBOR Społeczeństwo w poszukiwaniu nowych kierunków
- 38 JEAN ZIEGLER Bitwy które musimy wygrać
- 42 TOMASZ S. MARKIEWKA Przeciwno zielonej polityce zaciskania pasa
- 46 ILJAS CHURI Zagłada Liddy
- 50 JAROSŁAW PIETRZAK Religia, postęp, neoliberalizm
- 52 MATHILDE LARRÈRE Komuna na paryskich murach
- 54 WOJCIECH WOJCIECHOWSKI Prawdy odnawialne
- 55 WOJCIECH WOJCIECHOWSKI Prawdy zapomniane

EDYTORIAL



TOMASZ BOHAŁEJN

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

Honduras to jedno najmniej bezpiecznych miejsc na świecie. Kraj ten, ze swoimi 8,3 mln mieszkańców, to znakomity przykład tego jak naprawdę wygląda amerykańska polityka zagraniczna. Z dwóch powodów. Po pierwsze, kiedy słyszycie o tym jak lokator Białego Domu oburza się zbrodniami Rosji lub Chin zapytajcie czy podobne uczucia wywołuje w nim Honduras. Z dużym prawdopodobieństwem okaże się, że niekoniecznie. Po drugie, kiedy szukacie oznak zwrotu w amerykańskiej polityce, to szukajcie go także w Hondurasie.

Co się zmieniło w tym kraju, gdy po Baracku Obamie prezydentem został Donald Trump? Jak wygląda sytuacja po wygranej Joe'go Bidena? Otóż w obu przypadkach zmieniło się dokładnie to samo – nic. W Hondurasie – od ponad wieku uznawanym przez USA za część ich tylnego podwórka – rządzi układ będący wynikiem zamachu stanu, który obalił umiarkowanie postępowego prezydenta Manuela Zelayę. Zamach ów przeprowadzony w czerwcu 2009 r., stał się pierwszą jaskółką prawicowej kontrewolucji w regionie z licznymi wówczas rządami lewicowymi. Niemal od razu otrzymał poparcie od Hillary Clinton, szefowej dyplomacji prezydenta Obamy. Poparcia nie odwołano mimo tego, co w Hondurasie nastąpiło później. Nowy reżim z zapalem wziął się do przywracania spraw na ich właściwe miejsce – czyli do stanu przypominającego „złote lata” ubiegłego wieku, gdy w całej Ameryce Południowej i Środkowej pod kuratelą USA opozycja, ludność rdzenna, dziennikarze oraz niepokorni księża i zakonnice musieli się liczyć z zainteresowaniem ze strony szwadronów śmierci wytrenowanych w Szkole Ameryk działającej w Georgii.

Dzięki błogosławieństwu Waszyngtonu dającemu nowej władzy po-

W Hondurasie bez zmian

czucie kompletnej bezkarności już w 2010 r. Honduras zajął pierwsze miejsce wśród najniebezpieczniejszych dla dziennikarzy miejsc na świecie. Zamordowano wtedy 11 pracowników mediów. W roku 2020 zginęła ich „zaledwie” trójka, ale ważniejsze jest to, że od dekady zabijanie dziennikarzy trwa tam nieustannie. Podobnie jak aktywistek i aktywistów praw człowieka. Tylko między 2009 a 2015 r. zginęło ich 120 [1]. Rok później wśród ofiar terrorku znalazła się Berta Cáceres, głośna aktywistka walcząca o prawa ludów rdzennych. Od tego czasu terror stał się normą. Tylko w 2019 r. zamordowano 14 kolejnych osób zaangażowanych w obronę praw człowieka.

Giną obrońcy wysiedlanych rolników i ekolożki, feministki i osoby LGBTQ (19. w zeszłym roku), działacze związkowi i reprezentantki ludów rdzennych. Ale to nie wszystko.

Przemoc polityczna to najlepiej widoczna część kultury przemocy narzuconej społeczeństwu przez skorumpowaną klasę polityczną, religijnych fundamentalistów (zarówno katolickich jak i protestanckich) oraz system ekonomiczny z gigantycznymi nierównościami i pauperyzacją ogromnej większości populacji. W kraju, gdzie niedawno do konstytucji dodano zapis delegalizujący prawa reprodukcyjne kobiet, ofiarą kobietobójstwa padło w 2020 r. ponad 220 osób [2]. Terror powiązanych w prawicową oligarchią gangów zabija setki ludzi rocznie, zaś dziesiątki tysięcy zmusza do ryzykownej ucieczki za granicę. Rządzący od 2014 r. Juan Orlando Hernández to typowy „swój łajdak” Waszyngtonu. Mimo oskarżenia o handel narkotykami wysuniętego przed nowojorskim sądem nie musi się obawiać żadnych sankcji, ze strony tzw. cywilizowanego świata. Przeciwnie, Joe Biden oferuje mu wielomilionową pomoc na powstrzymanie „nielegalnej imigracji” [3].

W porównaniu do liczb bezwzględnych opisujących policyjną przemoc w Brazylii pod rządami Jaira Bolsonaro, gdzie jak obliczyła Amnesty International od stycznia do czerwca zeszłego roku codziennie ginęło z rąk stróżów prawa 17 osób (łącznie 3181) [4], sytuacja w Hondurasie wydaje się lepsza, ale kluczem jest tu słowo normalizacja. Kraj ten stał się

symbolem beznadziei doświadczanej dziś przez miliony ludzi w całym regionie. Jest ona tym bardziej dojmująca, że spadła na nich po kilkunastu latach wzrostu wpływów i rządów lewicy, po fali ogromnych i częściowo urzeczywistnionych aspiracji jakie rozbudził ten fenomen o historycznej wadze. Wszystko to skończyło się, gdy zamachy stanu takie jak w Hondurasie, zamachy konstytucyjne takie jak w Brazylii czy Paragwaju, lub „zwykłe” wybory wyniosły do władzy prawicę. Dziś z błogosławieństwem Waszyngtonu przywraca ona władzę oligarchii i bezhołowie wielkich korporacji. Kraje takie jak Honduras pozostają barometrem intencji kolejnych administracji amerykańskich. Warto o nich pamiętać, gdy chcemy właściwie ocenić kierunki polityki zagranicznej USA i rzeczywiste zaangażowanie w wartości, które jej teoretycznie przyświecają. Dopóki w Hondurasie nic się nie zmieni, nie ma powodu przypuszczać, że nastąpiła jakaś zasadnicza zmiana, a przywiązanie kolejnych prezydentów do praw człowieka w pewnych częściach świata, bardzo od Hondurasu oddalonych, jest czymś innym niż tylko funkcją ich imperialnych ambicji.

[1] E. Jakubowska-Lorenz, „Za obronę przyrody i praw rdzennej ludności płacą najwyższą cenę”, *Dziennik Gazeta Prawna*, 3.03.2017, <https://biznes.gazeta-prawna.pl/artykuly/1024394,honduras-morderstwa-aktywistow-prawa-czlowieka-srodowisko.html>.

[2] Amnesty International, *Report 2020-2021*, Londyn 2021, s. 178-180.

[3] Zaangażowanie Bidena we wsparcie prawicy, „wojnę z narkotykami” i „projekty prywatyzacyjne” w Ameryce Środkowej trwa od czasu, gdy był wiceprezydentem Obamy, zob. B. Fernandez, „The Biden Plan for Central America: Militarised neoliberal hell”, *Al Jazeera* 18.11.2020, <https://www.aljazeera.com/opinions/2020/11/18/the-biden-plan-for-central-america-militarised-neoliberal-hell>.

[4] Amnesty International, „Raport roczny 2020-21: COVID-19 najmocniej uderza w osoby, które od dziesięcioleci doświadczają nierówności, zaniedbań i nadużyć”, 7.04.2021, <https://amnesty.org.pl/raport-roczny-2020-21-covid-19-najmocniej-uderza-w-osoby-ktore-od-dziesiecioleci-doswiadczaja-nierownosci/>.

JAK ZROBIĆ TĘCZOWĄ KOALICJĘ?

Antyrasizm i antykapitalizm

Zacznijmy od (uzasadnionego) postulatu: „walki antyrasistowskie i antykapitalistyczne są ze sobą połączone” oraz od wynikającego z niego pytania: owszem, ale w jaki sposób? Bynajmniej nie prosty. Powiązanie to wydaje się wręcz dość złożone.

FRÉDÉRIC LORDON

Strukturalna hierarchia stosunków panowania nie determinuje żadnej jakościowej hierarchii walk odpowiadających tym stosunkom. Żadna walka nie może podporządkować sobie pozostałych. Byłoby po dwakroć niedorzeczne: przede wszystkim w aspekcie symbolicznym, ponieważ nie da się zbudować (kontr-)hegemonicznego bloku bez stworzenia warunków, w których różnorodne elementy krajobrazu walk mogły wejść ze sobą w dialog, wzajemnie się uwzględniać, zbliżyć się do siebie, czy nawet ze sobą porozumieć w ten czy inny sposób w rozstrzygającym momencie, a zatem bez dopuszczenia prawomocnych racji każdej z nich z osobna, ani też, z drugiej strony, bez wyrzeczenia się chęci podporządkowania jednej walki pozostałym czy najzwyczajniej stłumienia ich z zimną krwią. W aspekcie strategicznym następnie, ponieważ jak dotąd rozmaite stosunki panowania są ze sobą splecione na tyle ściśle, że w tej sytuacji walki nie sposób ich od siebie odróżnić: spróbujemy na ten przykład zwrócić się do strajkujących czarnych pokojówek z hoteli należących do sieci Ibis z prośbą o dokonanie wyboru spośród „spraw”, o które walczą, czy też o ich uporządkowanie w hierarchii ważności. Stanowią one bowiem kompleksy, czy też aglomeraty rozmaitych form panowania, które przejawiają się w praktyce, do tego stopnia nierozłączne, że walka z jednym z jego przejawów przez sam ten fakt staje się walką z pozostałymi. Wyprowadzić stąd można cztery następujące wnioski:

Równość i autonomia walk

1. Nie zdołamy zbudować kontrhegemonicznego bloku bez uznania *równości walk*. Równości jakościowej, niemniej nie wykluczającej różnic ilościowych. Równe sobie pod względem prawomocności, różnią się one jednak od siebie zasięgiem. Oczywiście zasięgi te mogą się na siebie gdzieśgdzie nakładać, ale jedynie częściowo. W przypadku takiego nakładania się na siebie, zazębianie się odmian panowania przybiera określoną strukturę. Odpowiadając na pytanie „w jaki sposób walki są ze sobą połączone”, należy zastanowić się wobec tego nad tym, jak przy tego rodzaju częściowym pokrywaniu się ich zasięgów łączenie takie dokonuje się w ich łonie i co poza tym na zewnątrz.

2. Stwierdzenie, że nakładanie się na siebie walk jest tylko częściowe, że istnieje wewnątrz i zewnątrz, podsumowuje się w uznaniu *względnej autonomii* tych wszystkich walk, przy czym w sfor-

mułowaniu tym w równym stopniu liczą się oba słowa: „autonomia” i „względna”. Uznanie autonomii walk antyrasistowskich czy feministycznych nie oznacza bowiem wmawiania sobie, że w wyniku obalenia kapitalizmu, przez sam ten fakt zniesiony zostanie ucisk, któremu się przeciwstawiają. Niestety, bez większego trudu można sobie wyobrazić takie postkapitalistyczne społeczeństwo, które zachowałoby cechy rasistowskie, homofobiczne czy seksistowskie, a nawet stworzyłoby nieznane dotąd hierarchie. Ucisk, którego zniesienie jest stawką tych walk, ma wartość samoistną i nie jesteśmy w stanie całkowicie go *sprowadzić*, jako jakiegoś efektu ubocznego, do matrycy ucisku, jaką stanowi kapitalizm.

Względna autonomia

3. A zatem chodzi o autonomię. Ale względne. Bowiem nawet jeśli nie stanowi takiej matrycy, kapitalistyczne panowanie mimo wszystko zajmuje nadrzędną pozycję w strukturalnej hierarchii rozmaitych form panowania i znamy odtąd powody, dla których tak się dzieje. Spośród wszystkich stosunków panowania przecinających współczesne społeczeństwo, stosunki kapitalistyczne jako jedyne są w stanie przetrwać, gdy wszystkie pozostałe zostały podważone, a nawet zniesione. W postaci pozorowanej lub przystosowując się, ukryte gdzieś na obrzeżach, a nawet – gdy sytuacja tego wymaga – mogą one mieć swój udział w próbach obalenia pozostałych. W istocie taką właśnie obłudną, ocierającą się o groteskę postać zazwyczaj przybierają. Świadczyć o tym mogą chociażby słowa Hillary Clinton, która podczas swojej kampanii prezydenckiej w 2016 r. nie zawahała się zdradzić: „Czy jeśli jutro zamknijemy największe banki, zakończy to rasizm? Czy położy to kres seksizmowi? Czy oznaczać będzie koniec dyskryminacji społeczności LGBT? Czy sprawi, że z dnia na dzień ludzie staną się bardziej przyjaźni wobec migrantów?” Z podobnym zjawiskiem spotkać możemy się u nas, we Francji, gdzie przez dziesięciolecia mieliśmy sposobność obserwować przy pracy takie organy społecznej dywersji jak *Libération*, *L'Observateur* itp. Hilary Clinton w 2016 r. nie przegrała wyborów przypadkiem. Przegrała je ponieważ tego rodzaju strategię myślenia przeciwnika i krętackiej podmiiany się już przeżyły. Nawet w tych walkach, na które tego rodzaju strategię były (z obłudą) nastawione, spostrzeżono, że nie mają one już nic więcej do zaoferowania, a wiele z ich pomocą najprawdopodobniej do stracenia.

Uzbieżnienie walk

Nie zamierzamy już dłużej wygrywać „banków” przeciw „feminizmowi 99%”, ściśle łączącemu na powrót swe działania z perspektywą antykapitalistyczną, i to bez rezygnacji w najmniejszym stopniu ze swojej specyfiki. Na tym dokładnie polega podsuwanie *względnej autonomii*. Co więcej, zaprowadza ją sam kapitalizm, ponieważ grając na synergii rozmaitych stosunków panowania, tym samym konieczną czyni synergiczność toczonych z nim walk. A w każdym razie ich faktyczne powiązanie, jak w (znanym) przypadku czarnych pokojówek z sieci hoteli Ibis. Kapitalizm posiłkuje się innymi stosunkami panowania, aby zaostrzyć te, które sam wprowadza. Dlatego też w wyniku nasilenia ucisku płacowego kobie-

ty dotkliwiej doświadczają również ucisku seksistowskiego, a osoby urasowiane – ucisku rasistowskiego. Ponieważ zajmuje on wyższą pozycję w hierarchii strukturalnej, pozycję umożliwiającą czerpanie korzyści z wszystkich pozostałych stosunków panowania, stosunek kapitalistyczny w rzeczywistości sam z siebie wprowadza i wykorzystuje ową zbieżność rozmaitych form panowania. To z kolei prowadzić powinno do wymarzonego przez nas *uzbieżnienia* walk. Ale w pierw kapitalizm wyrwać należałoby z obszaru niepodważalności, w którym tak długo się utrzymywał. Wtedy bowiem, choć niewątpliwie za jednym zamachem, rozmaite ruchy, początkowo ze zrozumiałych powodów (i zasadnie) skupione same na sobie, zyskać będą mogły ustrój *względnej* autonomii, czyli wyrwą się ze stanu *bezwzględnej* odłączenia, w którym usiłują je za wszelką cenę utrzymać niezliczone kierujące się interesem własnym płynące ku nim zachęty (ze strony pani Clinton, *Libération* itp.).

Skończyć z nieuwagą

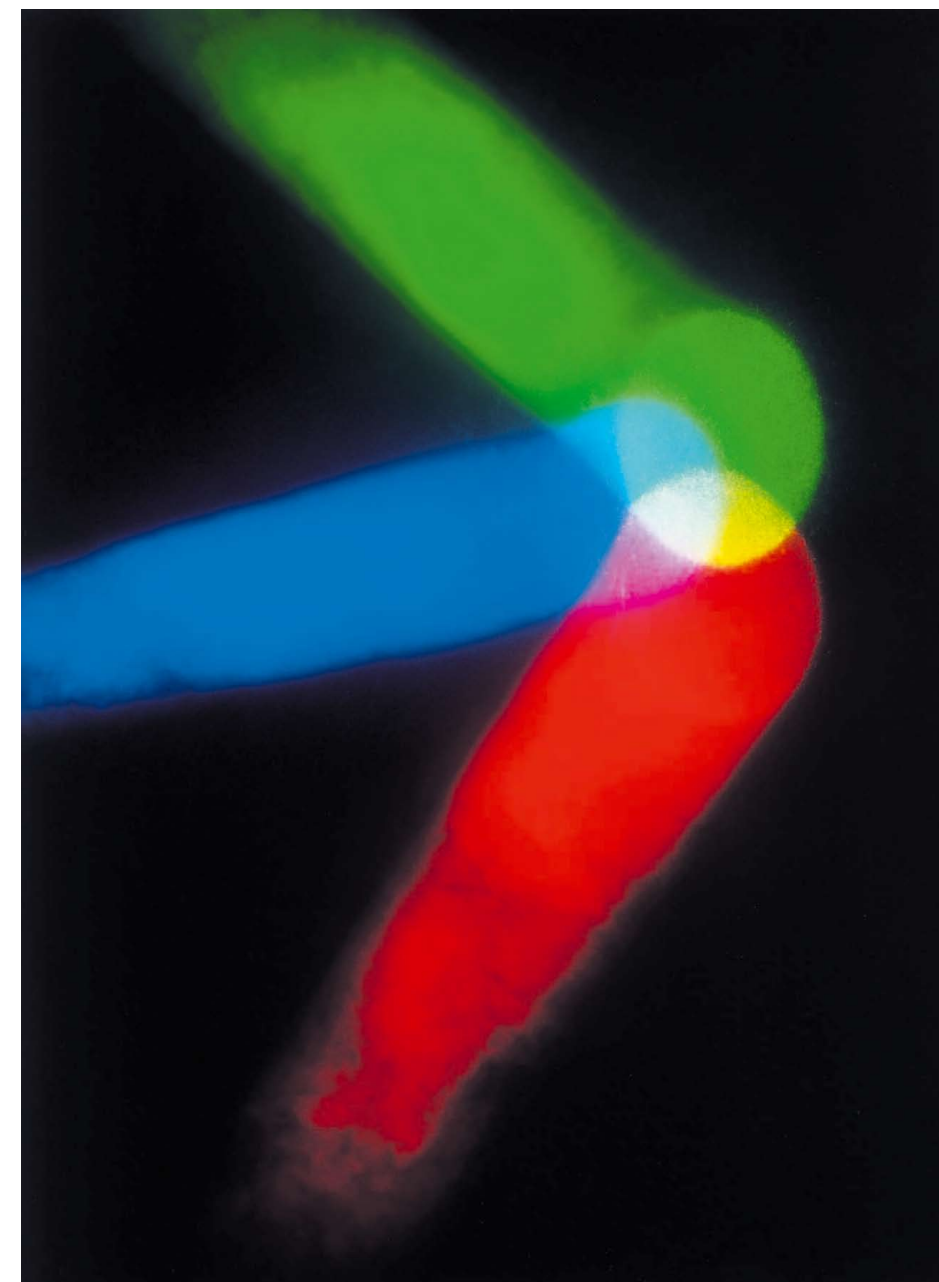
4. Porzucając ustrój odłączenia walki musiałyby tym samym wyrzec się pewnego ustroju nieuwagi – braku zainteresowania innymi walkami. Ustroju nieuwagi, a wręcz szkód ubocznych, zawnieszonego skutkiem zamknięcia się każdej z nich z osobna w wyłączności własnej sprawy, przy lekceważeniu wszystkich. To, że każdego obchodzi przed wszystkimi innymi własny „interes”, nie jest niczym dziwnym; ale jeśli dbanie o niego szkodzi „interesom” pozostałych, już powinno. Przykładowo, niejaki Paul B. Preciado, intelektualista, postanawia stanąć do walk o prawa osób LGBTQ za pomocą artystowskiego klipu nakręconego najprawdopodobniej przez Gusa Van Santa dla kapitalistycznego giganta, luksusowej marki Gucci, wyzyskiwacza jak się patrzy, co więcej z przekonaniem uchylającego się od podatków: ci, którzy toczą obecnie walki płacowe, chyba nie będą mu za to wdzięczni. Trzeba przy tym przyznać, że w tym tak „czystym” przypadku, wszystko zdało się sprzysięgać na gorsze, na gorsze w karykaturalnym „Clintonowskim” stylu, tzn. po to, by utwierdzić w klasach ludowych zgubne przekonanie, że pewien rodzaj walk (tutaj walki o prawa osób LGBTQ) dotyczy wyłącznie „innego świata”, innego niż ich własny, w którym liczą się inne problemy niż te, które trapią ich samym. W podobnym duchu działa Emanuele Coccia, filozof, który uważa, że bez wyrzutów sumienia może oddać się w całości swej namiętności do Ziemi i drzew, współpracując przy wystawie zatytułowanej „My drzewa” finansowanej i organizowanej przez Fundację Cartier. Trudno odmówić piękna jej katalogowi, architektura samego budynku wystawowego również zasługuje na pochwały: jest pogodzona z naturą (jak przekonuje ów „doradca naukowy”), brawa należą się ostatecznie całej tej instytucji – organizowanej przez nią „nomadyczne wieczory” (w których sam bierze udział) są obecnie najmodniejszym wydarzeniem w całym mieście. Luksusowa biżuteria nie jest pozbawiona pewnych zalet, trudno się z tym nie zgodzić, zwłaszcza jeśli daje nam bilet wstępu do politycznej wspólnoty odświeżanego banału.

Sprawa ochrony drzew, jak widać, pozwala zapomnieć, jeśli nie o ludziach jako takich, to przy-

najmniej o losie pracowników i pracownic najemnych. Trudno jednak, na boga, znaleźć coś, co mogłoby, w *gruncie rzeczy*, sprawy te sobie przeciwstawiać, wręcz przeciwnie. A jednak istnieją *maniery* zajmowania się tą pierwszą na tyle nie dbającą o drugą, że w końcu udaje się wprowadzić między nimi sprzeczność. Élise, anonimowa autorka felietonu dla czasopisma *Trou noir*, stawia zasadnicze pytanie: „do jakiego świata się przyłączymy” tocząc nasze walki? W przypadku Preciado, nieustającego w poszukiwaniu coraz to nowszych sojuszy, utrzymujących jedność wszelkiego rodzaju walk z „heteropatriarchalną, kapitalistyczną, kolonialną i ekstraktywistyczną polityką”, kończy się to bezmyślnym zaprzeczaniem się arcykapitalistycznej instytucji. Przeceniamy znacznie jego siły sądząc, że miałby to być „strategiczny” gest wywrotowy, polegający na zadziałaniu „od wewnątrz”, jest to bowiem typowy dyskurs antykapitalistyczny w estetycznym przebraniu, podtrzymywany od momentu narodzin kapitalizmu, z pogardą dla doświadczenia pochłaniającej mocy kapitalizmu, jego zdolności strawienia wszystkiego, co napotyka, unicestwiania wszystkiego, przejmowania wszystkiego z korzyścią wyłącznie dla siebie samego, w tym (a może przede wszystkim) wszelkiej maści „działań wywrotowych”. Gwoli usprawiedliwienia samego siebie Preciado podkreśla w dodatku, że „nigdy nie miał tyle swobody, co pracując dla Gucci’ego” – niezależnie jak można by to ująć, w tym właśnie najprawdopodobniej tkwi problem. Pytanie bowiem dotyczy nie tyle „czystości”, ile strategicznej skuteczności (zadawane skądinąd sobie samym za każdym razem, gdy zastanawiamy się nad wejściem w dialog z głównonurtowymi mediami), a trochę też pokusy kulturowego splendoru oraz działania kapitalistycznych instytucji, które w pełni zrozumiały korzyści płynące z ich hojnego wspierania.

Z kim łączyć siły?

Wobec tego zastanawianie się nad tym, z kim należy łączyć siły, by poprowadzić walkę, nie jest bynajmniej zbyteczne, zwłaszcza gdy niektóre z tych połączeń okazują się w takim stopniu zgubne dla innych walk. Fakt, że filozof od drzew z głową w chmurach, stąpa po ziemi pracy najemnej ledwie muskając ją stopą (jeśli w ogóle), sam w sobie nie stanowi problemu, jako że walki i intelektualne namiętności są równe sobie pod względem godności. Ale nabiera znaczenia, gdy zamiłowanie filozofa do drzew, tym bardziej, że chciałoby uchodzić za podejście „krytyczne”, podąża ścieżką jeszcze bardziej uprawomocniającą kapitalistyczne instytucje specjalizujące się wybielaniu moralnym, u boku mecenasów, filantropów, przyjaciół sztuki, słowem cwaniaków od symboli, mozolących się nad rozpowszechnianiem idei, że kapitalizm nie jest wcale taki zły, jak się mówi, dba też bowiem o coś innego, rzeczy wyższe niż zwykły obrót gotówką, i że w gruncie rzeczy niezbyt rozsądnym rozwiązaniem byłoby jego obalanie. Stąd wypływa już logiczny, acz trudny do wypowiedzenia na głos wniosek, że – niestety – praca najemna pozostać ma pracą najemną. W tym samym czasie wprawdzie kolejny raz z całej siły depcze się pracowników najemnych (również w sektorze dóbr luksusowych, od których nie oczekuje się wymachiwania piłą łańcuchową), co oczywiście godne jest ubolewania, ale mimo wszystko chodzi przecież o rzecz najważniejszą, o drzewa! „Muzea i fundacje sztuki współczesnej stały się lornetką, przez którą obserwować możemy nadciągającą przyszłość” – jak objawia Coccia. Tutaj przynajmniej wszystko jest jasne: za pośrednictwem fundacji na rzecz sztuki współczesnej zachęca



ANONIM, ZBIENIE CZERWONE, NIEBISKIE I ZIELONE REFLEKTORY

się nas do zmierzania się z naszą „przyszłością”, wystarczy sięgnąć po „lornetki” Cartiera, Gucciego czy Bernarda Arnaulta. I właśnie dzięki takim przyrządom optycznym, jak wydaje się Coccimu, da się uratować tak drogie mu „drzewa”. Polityczne zagubienie intelektualistów czasem aż zapiera dech w piersiach.

Tęczowa koalicja

Jeśli zatem, sięgając po górnolotne słowa, mielibyśmy sformułować polityczną etykę walk lub ich współistnienia, jej pierwszym przykazaniem byłoby nie czynić we własnej walce niczego, co mogłoby przynieść szkodę walkom cudzym. Poczynając od powstrzymania się od ich potępienia jako tematu zastępczego. Należałoby również unikać sytuacji, szukać poparcia czy zjednywania sobie „sojuszników”, nawet doraźnie, nawet w celach instrumentalnych, które mogłyby obiektywnie osłabić pozostałe walki. Nie brać przykładowo udziału w ruchach na rzecz wyjścia ze strefy euro u boku rasistów ze Zgromadzenia Narodowego (kiedy dążą do tego celu) czy ramię w ramię ze „zwolennikami niezawisłości po obu stronach”; nie podejmować się zadania ratowania klasy robotniczej na drodze „rewolucji narodowej”; nie wytaczać procesu o rasizm marksistowskim działaczom wyłącznie z powodu ich braku zainteresowania czymkolwiek innym niż walką klasową itp.

W ten sposób damy być może szansę na ziszczenie się drobnego cudu, na podobieństwo ruchu Lesbians and Gays Support the Miners [Lesbijki i geje wspierający górników] podczas strajków w Wielkiej Brytanii w 1984 r., czy całkiem niedawno, działań kolektywu *Du pain et des roses* [Chleb i róże] w ramach wsparcia udzielonego pracownikom rafinerii Total w Grandpuits w trakcie demonstracji pod hasłem „PMA pour tous” [Techniki wspomagane rozrodo dla wszystkich]. A także drobnego cudu w całkiem innym, jeszcze bardziej zdumiewającym stylu, jakim było w 1968 r. stanięcie Young Patriots [Młodych Patriotów], grupy ubogich białych robotników najemnych z Chicago, spełniających niemal wszystkie wymogi pozwalające zaliczyć ich do kategorii *white trash* (słuchanie muzyki country, zamiłowanie do broni czy flag konfederatów) u boku... Czarnych Panter, których przywódca w Illinois postanowił poświęcić mniej uwagi sprzączkom ze skrzyżowanymi pistoletami u ich pasków niż ich programowi konkretnych działań, dostrzegając, że rzeczywistość dojrzała już do tego, by zawrzeć sojusz i zewrzeć szyki w walce z rasizmem i kapitalizmem jednocześnie, z czego zrodziła się niebywała, acz jakże realna Rainbow Coalition [Tęczowa koalicja]. Chodzi przecież o to, by tego rodzaju „cudowne” pojednania w końcu stały się naszym chlebem powszednim.

FEUDALNE RUINY ZA FASADĄ KAPITALIZMU

Ikar czyli niemożliwa demokracja latynoamerykańska

Wielu obywateli Ameryki Łacińskiej idzie w tym roku głosować. Wybierają prezydentów, jak w Peru czy Chile, lub odnawiają parlamenty, jak w Meksyku i Argentynie. Po postępach w pierwszych dekadach XXI w. niektóre państwa doświadczają niepokojącego kryzysu demokracji. Czyżby mieszkańcy subkontynentu byli skazani na autorytarne ekscesy?

RENAUD LAMBERT

W 2010 r. Alain Rouquié, jeden z najlepszych znawców Ameryki Łacińskiej we Francji, takimi słowami kończył książkę o tym regionie: „Wydaje się, że po dziesięcioleciach niestabilności i dyktatury wszędzie zakorzenia się demokracja”. Zastanawiając się nad dojściem do władzy Michelle Bachelet w Chile (2006), Evo Moralesa w Boliwii (2006) i Luiza Inacia „Luli” da Silvya w Brazylii (2003), były francuski ambasador w tym ostatnim państwie cieszył się: „Teraz kobieta, Indianin czy robotnik może w wyniku głosowania dostąpić najwyższego urzędu w państwie” [1].

10 lat później obraz się zmienił. „Indianina” obalono w wyniku zamachu stanu [2], „robotnika” nęka zinstrumentalizowany przez konserwatystów wymiar sprawiedliwości [3], a jeśli Bachelet była w stanie dokończyć swoją kadencję, to już Dilmę Rousseff, wybraną w 2011 r. na prezydentkę Brazylii, ukarano za to obalając ją machinacją parlamentarną bez podstawy prawnej [4].

Rouquié był zadowolony, że w 2003 r. „po raz pierwszy od 43 lat” jeden wybrany w wyborach powszechnych prezydent Brazylii przekazał urząd następnemu, również wybranemu w wyborach powszechnych prezydentowi, że Wenezuelczyk Hugo Chavez (1999-2013) poszerza zakres powszechnego uczestnictwa w życiu politycznym swojego kraju, że były ekwadorski ekonomista Rafael Correa (2007-2017) pokojowo zakończył swoją drugą kadencję jako prezydent, choć w ciągu jednej dekady żaden z jego 7 poprzedników nie urzędował do końca własnej kadencji.

„Gdyby zradyzalizowała się lewica”

Teraz nastrój jest mniej odświeżony. Były wojskowy, który rządzi Brazylią, Jair Bolsonaro, żałuje okresu dyktatury (1964-1984), a jego bardzo związany z nim syn Eduardo mówi o potrzebie zaprowadzenia nowej „na wypadek, gdyby zradyzalizowała się lewica” [5]. W styczniu 2019 r. Juan Guaidó, neoliberalny poseł drugiej kategorii, samowładnie ogłosił się prezydentem Wenezueli przy poparciu Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej. Były ekwadorski szef państwa Lenin Moreno próbował zinstrumentalizować wymiar sprawiedliwości, aby zablokować niektórych swoich przeciwników w wyborach prezydenckich w lutym 2021 r. [6]

„Zakorzeniona wszędzie” demokracja latynoamerykańska? Wręcz przeciwnie, przechodzi ona nowy okres niestabilności, a nawet dryfuje w stronę reżimów autorytarnych. Jak to wytłumaczyć? Być może właśnie postępem, który to poprzedził. Podobnie jak Ikar, którego każde uderzenie skrzydła, wynoszące go w kierunku słońca, przygotowuje jego upadek, im bardziej latynoamerykańscy demokraci dążą do celu i do niego się zbliżają, tym bardziej wydają się skazani na tworzenie warunków do swoich porażek.

Choć może wydawać się to paradoksalne w przypadku regionu kojarzącego się z wojskowymi w ciemnych okularach, republiki Ameryki Łacińskiej ukonstytuowały się na zasadzie demokratycznej. Kiedy białe elity „kreolskie” ogłaszały w XIX w. niepodległość, czyniły to pod sztandarem Oświecenia. Jeśli chwyciły za broń, to czyniły tak w imię suwerenności ludowej: „W obowiązującym systemie hiszpańskim”, pisał Wyzwoliciel Simón Bolívar, „Amerykanie (...) nie zajmują innego miejsca w społeczeństwie niż nadający się do pracy poddani, a w najlepszym razie jako zwykli konsumenci. (...) Nigdy nie byliśmy wicekrólami czy gubernatorami (...), rzadko arcybiskupami i biskupami, nigdy dyplomatami, a jeśli wojskowymi, to tylko podwładnymi, (...) nie byliśmy sędziami ani urzędnikami skarbowymi” [7]. Jednak „to nie skolonizowani, Indianie i metysi, powstał”, pisze Rouquié, „ale biała mniejszość, często złożona z arystokracji – posiadaczy pochodzenia europejskiego”.

Niemożliwa, lecz niezastąpiona

Jeśli mówili o równości, to przede wszystkim chodziło im o uwolnienie się od metropolii, która pozbawiała ich władzy, choć oni byli posiadaczami bogactw. Pomimo demokratycznych konstytucji, które propagowały elity, nie rezygnowały one ze swoich przywilejów. Prawo do głosowania było zatem ograniczone do „zdolnych”. „Tylko zbiorowy rozum jest suwerenny, a nie zbiorowa wola”, głosił argentyński pisarz Esteban Echevarría (1805-1851). „Z tego wynika, że suwerenność narodu może rezydować jedynie tylko w rozumie narodu i że tylko rozsądna i racjonalna część wspólnoty społecznej jest powołana do jej sprawowania. Demokracja nie jest despotyzmem mas czy większości, lecz reżimem rozumu.” [8] Rouquié stwierdza: „Dla liberalnych elit Ameryki Południowej demokracja jest niemożliwa ze względu na stan społeczeństwa, ale jest

niezastąpiona” – ponieważ uzasadnia niepodległość. Ręka, która sporządza akt urodzenia obywatelstwa w Ameryce Łacińskiej, jest również ręką, która o obywatelstwie tym stanowi.

Zaczyna się wtedy turniej, który nadaje rytm życiu politycznemu subkontynentu. Z jednej strony zwolennicy dostosowania suwerenności ludowej do realiów hierarchii uważanych za równie naturalne co niezmiennie – krótko mówiąc, demokracji bez równości lub, jak pisze Rouquié, „bez obywateli”. Z drugiej strony obóz, który stara się obalić ustalony porządek, czyniąc zasady zapisane w konstytucjach konkretną rzeczywistością.

Takie kształtowanie przestrzeni politycznej odbywa się w ramach osobliwej integracji w łonie globalnego systemu gospodarczego. W przeciwieństwie do północnych kolonii angielskich w Ameryce Północnej, „pozbawionych warunków geologicznych i klimatycznych, a także populacji tubylczych, koniecznych do zaprowadzenia gospodarek eksportowych”, wyjaśniał ekonomista Andre Gunder Frank, Ameryka Południowa dostarczała Europie surowce niezbędne do rewolucji przemysłowej i konsumowała pochodzące z Europy produkty gotowe.

Liberalizm w służbie ziemiaństwa

Oligarchia kreolska nie sądziła, aby niepodległość miała pozbawić ją przepychu. Opierał się on zaś na zasadzie, która dęła w żagle statków transatlantyckich: wolnego handlu. W tych okolicznościach „przekazanie władzy nie oznaczało przeobrażenia społeczeństwa”, zauważył chilijski intelektualista Luis Vitale. „W Europie liberalizm służył burżuazji przemysłowej do walki z ziemiaństwem, tutaj natomiast powołali się na niego ci sami ziemianie w walce z monopolem hiszpańskim. Tam służył sprawie protekcjonizmu przemysłowego, a tutaj sprawie wolnego handlu” [9].

„Niepodległa” Ameryka Łacińska wzmacniała więc w ten sposób dynamikę gospodarczą, która ją wasalizowała. Brytyjski wicehrabia Charles Canning nie popełnił błędu, kiedy w liście z 17 grudnia 1824 r. oświadczył: „Ameryka hiszpańska jest wolna, a jeśli dobrze się uwinie, to będzie również angielska”. W ten sposób wpadła również w gospodarczą pułapkę niedorozwoju: koncentracji bogactwa, słabości rynku wewnętrznego i rachitycznego aparatu przemysłowego. Skuły ją okowy, od których do dziś się nie uwolniła, choć w pierwszej połowie XX w. były takie próby.

I wojna światowa, a następnie kryzys 1929 r. sprawiły, że przerwaniu uległy przepływy kształtujące strukturę handlu międzynarodowego, toteż większość państw latynoamerykańskich opowiedziała się za tzw. fazą „substytucji importu”, mającą na celu promowanie krajowego przemysłu. Proces ten podlegał jednak od samego początku dwóm wymogom. Przede wszystkim nie mogło być żadnych zmian w strukturach spo-



MAX BLUMBERG, /KAR, 2000

łącznych. Lecz bez redystrybucji bogactwa rynek krajowy nie był w stanie stworzyć popytu, który mógłby pobudzić produkcję. W związku z tym ta skoncentrowała się jedynie na niszowej produkcji dóbr konsumpcyjnych dla warstw o bardzo wysokich dochodach: odzieży, obuwia, podstawowego sprzętu elektronicznego... Przewycięzenie tej trudności wymagałoby sposobu uprzemysłowienia, w którym państwo, a nie popyt konsumpcyjny, określałoby, jakie podstawowe towary należy wytwarzać.

Paradoksy substytucji importu

Drugim wymogiem podjęcia próby rozwoju przemysłu było jednak niezakłócanie logiki rynkowej. Ponieważ kraje Ameryki Łacińskiej nie osiągały wystarczającego poziomu rozwoju, aby produkować własne dobra inwestycyjne, muszały je importować. „Zastąpiły jeden rodzaj importu innym”, podsumował Frank. W projekcie listu, który meksykański pisarz Carlos Fuentes chciał w 1964 r. skierować do „Ameryki Północnej”, pisał: „Ten naiwny i liberalny kapitalizm (...) nałożył się na struktury feudalne, nie niszcząc ich. Pozostawił wielkie masy chłopów i robotników na łasce losu, zastrzegając postęp dla mniejszości miejskiej. (...) Oto czym jest Ameryka Łaciń-

ska: feudalnym zamkiem w ruinie z tekturową fasadą kapitalistyczną” [10].

Feudalny zamek to gospodarka, którą wolny handel skazywał na niedorozwój, do czego dochodziła niewygodna bliskość Stanów Zjednoczonych, które wkrótce uznały Amerykę Łacińską za swoje „tylne podwórko”. Nic nie wskazywało na to, że ścieżka emancypacji będzie wyłożona różami. Intelktualiści, których tutaj cytowaliśmy – Frank, Fuentes, Vitale – tego nie ignorowali. Prąd polityczny, który uosabiali, mówił językiem lat 60 i 70. „Wiedzie, demokracja nie jest możliwa z pustym żołądkiem, pustą głową, pustymi mieszkaniami”, pisał Fuentes w swoim liście. „Demokracja nie jest przyczyną – jest wynikiem”. Precz zatem z „demokracją formalną”: dysfunkcyjną i burżuazyjną, która rządzi społeczeństwami regionu i której nie chcą one traktować jako narzędzia do zmiany świata.

Niech żyje „prawdziwa demokracja”: cel, do którego prowadzi procesy emancypacji. I tym gorzej dla urn wyborczych, bo tylko rewolucja pozwoli republikom Ameryki Łacińskiej osiągnąć ideały, z których republiki te się zrodziły. Niech ona nawet kosztuje. „Rewolucja!”, ironizował Fuentes. „Bierzecie niebo za świadka, załamu-

jecie ręce i płaczecie nad przemocą i rozlewem krwi. Tak, niestety, nigdy nie byliśmy w stanie przekonać klas rządzących krajem feudalnym, że nadeszła ich ostatnia godzina” [11].

Allende, punkt zwrotny

Determinacja tych autorów była tym większa, że widzieli, jaki los spotkał Juana Domingo Perona w Argentynie (1946-1955), Getúlio Vargasa (1951-1954) i João Goularta (1961-1964) w Brazylii czy Juana Boscha na Dominikanie (1963). Przywódcy ci chcieli zrobić miejsce dla pozostawionych na łasce losu, nie denerwując hierarchii społecznych – „zrobić rewolucję zanim lud ją zrobi”, podsumowuje Rouquié. Tego było już za dużo. Wszystkich obaliło wojsko, ponieważ zagrażali demokracji tym tylko, że kwestionowali ustalony porządek.

Ten sam dyskurs o obronie suwerenności narodowej usprawiedliwiał wojskowe zamachy stanu w latach 70. i 80. „Wszyscy ci, którzy podobnie jak my wierzą w pluralistyczną demokrację, toczą wojnę z wyznawcami totalitaryzmu, wojnę o wolność i przeciw tyranii”, powiedział admi-

>>>

rał Emilio Massera, członek junty, która przejęła władzę w Buenos Aires w 1976 r. W szczytowym okresie konfrontacji Wschód-Zachód antykomunizm podniósł konserwatywną obronę przywilejów do rangi powszechnej walki: „trzeciej wojny światowej” z „materializmem dialektycznym i idealistycznym syndykalizmem”, wyjaśniał Massera. Antykomunizm zapewniał również cenne wsparcie ze strony Stanów Zjednoczonych.

Dojście do władzy w Chile Salvadora Allende w 1971 r. było punktem zwrotnym. Jego zdaniem można było pogodzić dwie demokracje – formalną i realną, a obrzędy wyborcze mogły służyć realizacji ideału. Jego ambicja wzbudziła entuzjazm na lewicy, która wyrzekła się walki zbrojnej, ale nie nadziei. Wszystkie oczy były zwrócone na Santiago, w tym również oczy przyszłego prezydenta Francji, socjalisty François Mitterranda. Szczerze przekonany czy nie, tak wyjaśniał on powody tej fascynacji podczas podróży do Ameryki Południowej: „Chile jest interesującą i oryginalną syntezą. We Francji, rozwiniętym kraju przemysłowym w zachodniej strefie wpływów, jest mało prawdopodobne, aby gwałtowne działania mogły rozwinąć się bez represji ze strony sił wielkiej burżuazji. Z drugiej strony ruch ludowy ma uzasadnione powody, aby myśleć o wygranej za pomocą środków prawnych: dzięki powszechnym wyborom i presji pracowników w sektorach kryzysowych. Chodzi o pokazanie Francuzom, że droga ta jest możliwa” (*Le Monde*, 14-15 listopada 1971 r.).

Demokracja pod wojskową kuratelą

Lecz w oczach klas panujących śmiałość Allende usprawiedliwiała zmiążdżenie demokracji... w imię demokracji: „Zawsze szanowałem i podziwiałem demokrację jako koncepcję polityczną”, mówił gen. Augusto Pinochet, który obalił Allende w 1973 r. „Jednak mimo swoich zalet, bez odpowiedniej adaptacji zupełnie nie potrafi ona przeciwstawić się komunizmowi” [12]. Z tego samego powodu w 1978 r. na całym subkontynencie tylko Kolumbia, Wenezuela i Kostaryka uniknęły dyktatury. Kolumbia żyła jednak w rytmie krwawej wojny domowej, a Wenezuela znajdowała się pod rządami „paktu z Puntofijo” zawartego w 1958 r., w którym dwie główne partie dzieliły się władzą, sprawując ją kolejno, oraz przysługującą im z tego tytułu prebendą – rentą naftową.

Niemniej w latach 80. reżimy autorytarne upadały jeden po drugim, otwierając fazę „transformacji”. Lecz „przywrócone demokracje” wcale nie są takimi jak inne ustrojami przedstawicielskimi, zauważa Rouquié. „Są spadkobiercami dyktatur, o ile nie są ich więźniami”. W Chile w konstytucji, która pozostała po rządach Pinocheta, zatwierdzono zaprowadzoną przez niego neoliberalną orientację gospodarki, prywatyzację uniwersytetów itd. Konstytucja ta przetrwała jego reżim i obalono ją dopiero po ciężkich walkach masowych – w wyniku referendum, przeprowadzonego w 2020 r.

Te „paktowane” transformacje pozwalają siłom zbrojnym sprawować kuratelę nad demokracją, ponieważ uzgodniono, że nie będą one za nic ściągane, toteż czuwają siedząc w zasadzce. W 1987 i 1988 r. Argentyna przeżyła trzy rebelie wojskowe. W Chile były doradca prezydenta Ricardo Lagos (2000-2006), Ernesto Ottone, wspomina: „Zadaliśmy sobie pytanie: jaki jest cel

minimum, który chcemy osiągnąć podczas tego mandatu Lagos? Odpowiedź była surowo minimalistyczna: Niech utrzyma się przez 6 lat, na które go wybrano, i odejdzie na własnych nogach”. Jak to zrobić? Tocząc walki polityczne „w ramach, które nie zagrażają zasadniczej jedności Chile i gwarantują demokratyczną rządność. Oznacza to rezygnację z każdego projektu, który może być powtórką przyczyn tragedii podobnej do tej z 1973 r.” [13]

„Zalety dyktatury Pinocheta”

Rezygnacja była tym mniej kosztowna dla elit politycznych i gospodarczych, do których należą Ottone i współautor jego książki Sergio Muñoz Riveros (były doradca prezydentki Michelle Bachelet), że obaj autorzy zgodni są co do zalet przemian, których dokonała dyktatura. „Trzeba było uznać, choćby pośrednio, tę część polityki dyktatury, która przyczyniła się do rozkręcenia dynamiki ożywienia gospodarczego po porażce, którą ponieśliśmy w latach 1970-1973”, tzn. za rządów Allende, stwierdzają ci dwaj byli działacze komunistyczni. „Choć trudno na to się zdobyć, należy przyznać, że w niektórych kwestiach związanych z funkcjonowaniem nowoczesnej gospodarki profesorowie stali na ‘chodniku po drugiej stronie ulicy’”.

To samo dzieje się w świecie intelektualnym, który stracił swoje najbardziej radykalne osobistości od kul dyktatur lub nabrał przekonania, że reakcja wojskowych była spowodowana przez zbiorową irracjonalność. „Wszyscy ponosimy pewną odpowiedzialność za rozpad demokracji w Chile”, ogłosili byli prezydenci Patricio Aylwin (1990-1994) i Ricardo Lagos (2000-2006) z okazji 30 rocznicy śmierci Allende. Przekonanie to Muñoz Riveros i Ottone starają się szerzyć, powołując się na kwiat francuskiej myśli postępowej – na Laurenta Joffrina, którego cytują: „Rewolucja socjalistyczna (...) to niebezpieczny mit, który uwalnia totalitarnego Lewiatana, gdy mu się uda, oraz terroryzm, gdy mu się nie powiedzie”, orzekł ten dziennikarz.

W ten sposób wypracowano teorię tzw. dwóch demonów, zgodnie z którą czerwoni i brunatni byli winni w równym stopniu zaprowadzenia dyktatur wojskowych. Pierwsi popełnili jednak pierwotny błąd, budząc tych ostatnich. Transformacje nie mają zatem na celu „uwolnienia Lewiatana”. Należy być zadowolonym ze świata, w którym to wszystko, co w swoim czasie skłoniło masy ludowe do walki, dziś nie tylko się utrzymuje, ale wręcz się potęguje. Należy zatem zachować filary: nierówności społeczne, zepchnięcie części społeczeństwa na margines życia politycznego, podporządkowanie wolnemu handlowi, a także dyktatowi Waszyngtonu – krótko mówiąc świat, któremu nigdy nie zdarza się zgromadzić warunków niezbędnych do prawdziwej demokracji.

„Bez chleba nie ma demokracji”

„Jedno dziecko na dwoje żyje w naszym kraju w ubóstwie”, powiedział Alberto Fernández podczas swojego inauguracyjnego przemówienia, obejmując 10 grudnia 2019 r. urząd prezydenta Argentyny. „Kiedy brakuje chleba, nie ma demokracji”. Dla tych, którzy nadal wierzą w suwerenność ludową, wszystko pozostaje więc do zrobienia... Niektórzy, zauważając, że instytucje wynikające z „paktowanych” transformacji nie pozostawiają miejsca na postulaty ludowe i że procesy wyborcze najczęściej prowadzą do zdrady składanych podczas nich obietnic, dochodzą do wniosku, że życie poli-

tyczne toczy się gdzie indziej: na ulicy, z dala od pałaców. Dają za przykład demonstrantów boliwijskich, którzy na początku XXI w. odnieśli poważne zwycięstwa w swojej walce z planami prywatyzacji wody i gazu. John Holloway przedstawia tę strategię – przyjętą np. przez zapatystów z Chiapas w Meksyku – w swojej książce *Zmienić świat nie przejmując władzy*, która ukazała się w 2002 r. [14]

Inni, krytycznie odnoszący się do pomysłu rezygnacji na rzecz konserwatystów ze zdobycia władzy, zrehabilitowali starą nadzieję: ideę, że mimo wszystkich swoich ograniczeń, drogą wyborczą wyprowadzi się Amerykę Łacińską z feudalnej cytaeli, ale ogłaszając od samego początku, że to nie wystarczy. Tak uczynił Lula, mówiąc w 1985 r.: „Staramy się przestrzegać demokratycznych zasad gry. Uważamy, że parlament nie jest celem samym w sobie, a jedynie środkiem. Postaramy się wykorzystać go na ile tylko będzie to możliwe. W takiej mierze, w jakiej zdajemy sobie sprawę, że za pośrednictwem parlamentu, przy użyciu czysto wyborczych środków, nie dojdziemy do władzy, biorąc na siebie odpowiedzialność i mówiąc klasie robotniczej, że musi szukać innej drogi” [15]. Po swoich dwóch kadencjach prezydenckich ten sam Lula uznał, że konieczne są odstępstwa od zasad. Oświadczył: „Gdyby Jezus zjawił się w Brazylii, nawet on musiałby sprzymierzyć się z Judaszem” [16].

Kiedy warto było głosować

Tak więc podczas „czerwonej fali”, która zalała w pewnym momencie Amerykę Łacińską, w kilku krajach na prezydentów wybrano przywódców zdecydowanych „zdemokratyzować demokrację”: Hugo Chaveza w Wenezueli (1998), Lulę w Brazylii (2002), Nestora Kirchnera w Argentynie (2003), Evo Moralesa w Boliwii (2005 r.), Rafaela Corré w Ekwadorze (2006 r.), Cristinę Fernández w Argentynie (2007 r.), Dilmę Rousseff w Brazylii (2010 r.)...

Jak Ikar, który zrywa się do lotu, starali się oni z mniejszym lub większym powodzeniem przybliżyć swoje społeczeństwa do ideału demokratycznego: zmniejszyć nierówności, uczynić tych, których pozostawiono na łasce losu, obywatelami, ukształtować państwa tak, aby potrafiły zaspokajać potrzeby swoich społeczeństw... Poczyniony w tym okresie postęp społeczny i gospodarczy szeroko udokumentowano, m.in. na łamach *Le Monde diplomatique*. Nagle okazało się, że warto głosować. W swoich corocznych badaniach stosunku Latynoamerykanów do demokracji z 2010 r. organizacja pozarządowa Latinobarómetro stwierdziła, że „od 2007 r. poparcie społeczne dla demokracji stale rośnie. (...) Po raz pierwszy odkąd [w 1995 r.] zaczęliśmy używać tego wskaźnika zadowolenia z demokracji, przez 4 kolejne lata odnotowujemy jego stały wzrost” [17].

Im większe są jednak postępy demokracji, tym bardziej jest ona zagrożona. Ci, którzy panują, zdają sobie sprawę, że jej pogłębianie skazuje ich na utratę panujących pozycji, toteż reagują. Wojskowe zamachy stanu, oszukańcze impeachmenty, próby obalenia demokratycznie wybranych rządów, blokady gospodarki przez pracodawców: tak stało się w większości wymienionych wyżej krajów – w tym w Brazylii, gdzie Lula i Rousseff wyróżniali się duchem pojednania [18]. Kiedy zaś w końcu konserwatyści odzyskują władzę, wykorzystują ją do nękania swoich byłych przeciwników. Zatem inni postępowi przywódcy – lub przywódcy wywodzący się z postępowych

ruchów – widząc, co się dzieje gdzie indziej, trzymają się kurczowo swojej władzy, nawet za cenę rozbratu z wymogami demokracji.

Ułaskawieni puczyści spiskowali

4 listopada 2016 r. prezydent Wenezueli Nicolás Maduro powiedział o swoich oponentach: „Nigdy nie postawią nogi w pałacu prezydenckim Miraflores: nie osiągną tego ani kartkami wyborczymi, ani kulami” [19]. W 2002 r. w państwie tym dokonano zamachu stanu i obalono prezydenta Chaveza. Samozwańczy prezydent, przywódca konfederacji pracodawców Pedro Carmona, rozwiązał Zgromadzenie Narodowe i inne ciała państwowe oraz zdymisjonował gubernatorów i burmistrzów, zanim bardzo szybka mobilizacja ludowa położyła temu kres i ponownie osadziła Chaveza w pałacu prezydenckim.

W tym czasie spadkobiercy ideowi Fuentes, którzy znajdowali się w otoczeniu Chaveza, radzili mu, aby skorzystał z okazji. „Opozycja pokazała, że nie szanuje woli ludu; to idealna chwila, aby zawiesić wybory. Będziesz miał czas konieczny do dokonania wszystkich niezbędnych przeobrażeń, tak, aby wreszcie zaprowadzić w Wenezueli suwerenność ludu”, powiedzieli mu podczas rozmowy, o której wiemy od jednego z nich, z pochodzenia Brazylijczyka. Chávez odrzucił taki pomysł. Ułaskawił tych, którzy go obalili, w nadziei, że w końcu zaakceptują zasady gry. Byli puczyści woleli jednak spiskować i oskarżać człowieka, który zaoszczędził im więzienia, o „autorytarne dryfowanie”. Dryfowanie, które prędzej czy póź-

niej musiało nastąpić w wyniku stosowanych przez nich metod walki.

Ikar wznosi się, a następnie spada. Pozostaje pytanie: jak budować demokrację z niedemokracjami?

Renaud Lambert
tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[1] A. Rouquié, *À l'ombre des dictatures. La démocratie en Amérique latine*, Albin Michel, Paryż 2010.

[2] Zob. R. Lambert, „En Bolivie, un coup d'État trop facile”, *Le Monde diplomatique*, grudzień 2019 r.

[3] Zob. P. Anderson, „Au Brésil, les arcanes d'un coup d'État judiciaire”, *Le Monde diplomatique*, wrzesień 2019 r.

[4] Zob. L. Delcourt, „Ruch obywatelski czy zamach stanu?”, *Le Monde diplomatique*, maj 2016 r.

[5] G. Mazui, „Eduardo Bolsonaro diz que, «se esquerda radicalizar», resposta «pode ser via um novo AI-5»”, *O Globo*, 31 października 2019 r.

[6] G. Long, „Trois projets pour l'Équateur”, *Le Monde diplomatique*, luty 2021 r.

[7] S. Bolívar, *List z Jamajki*, 6 września 1815 r.

[8] E. Echevarría, *Dogma socialista y otras páginas políticas*, Estrada, Buenos Aires 1846, cyt. za A. Rouquié, op. cit.

[9] A.G. Frank, *Lumpenbourgeoisie, Lumpendevelopment: Dependence, Class and Politics in Latin America*, Monthly Review Press, Nowy Jork 1972.

[10] L. Vitale, *Interpretación marxista de la Historia de Chile*, Prensa Latinoamericana, Santiago de Chile 1969.

[11] C. Fuentes, „L'Amérique latine: Quelques mots aux Américains du Nord...”, w: L. Huberman, P.M. Sweezy (red.), *Où va l'Amérique latine?*, Maspero, Paryż 1964.

[12] Augusto Pinochet, *The Crucial Day, September 11, 1973*, Editorial Renacimiento, Santiago de Chile 1982.

[13] E. Ottone, S. Muñoz Riveros, *Après la révolution. Rêver en gardant les pieds sur terre*, L'Atalante, Nantes 2008.

[14] John Holloway, *Change the World Without Taking Power. The Meaning of Revolution Today*, Pluto Books, Londyn-Sterling 2002.

[15] Cyt. za Ch. Dutilleux, *Lula*, Flammarion, Paryż 2005.

[16] *Democracia em vertigem*, film dokumentalny, reż. Petra Costa, Netflix 2019.

[17] „Informe 2010”, Corporación Latinobarómetro, na www.latinobarometro.org

[18] Zob. G.M. Rocha, „Bourse et favelas plébiscitent «Lula»”, *Le Monde diplomatique*, wrzesień 2010 r.

[19] „Ni con balas ni con votos entran a Miraflores”, *El Nacional*, 4 listopada 2016 r.

Testament polityczny Andrzeja Walickiego

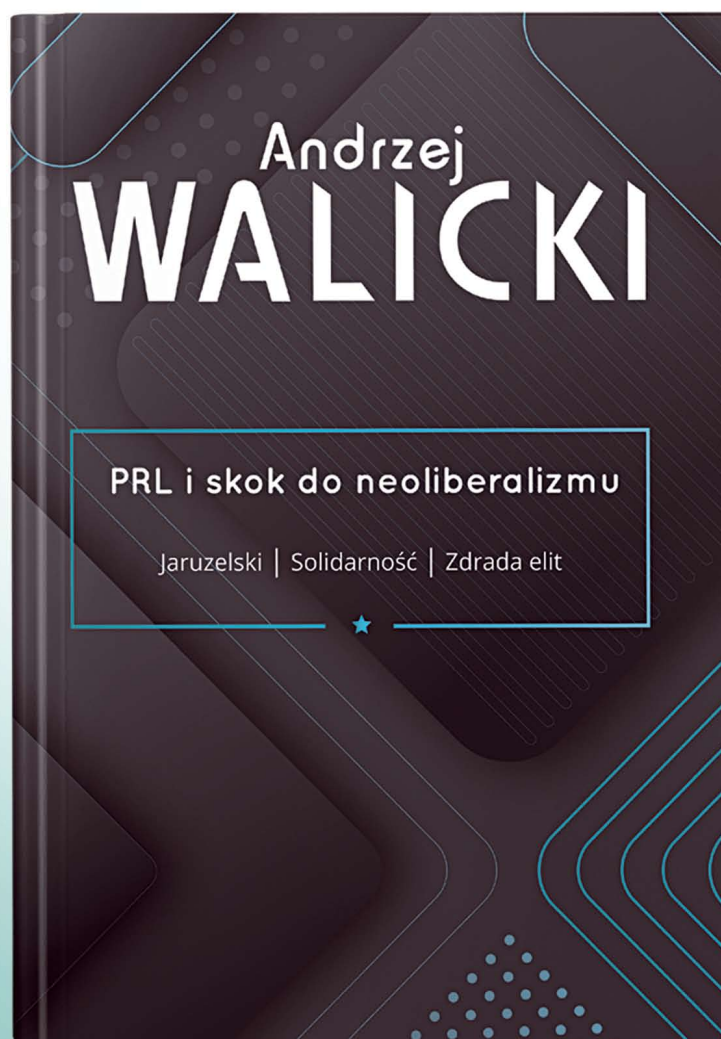
Najciekawsza wykładnia najnowszych dziejów i fenomenu Polski Ludowej. Totalitaryzm i antykomunizm, Solidarność, stan wojenny i Wojciech Jaruzelski.

Zamów książkę na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub dokonaj wpłaty na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl



I TOM
75 zł



POTRZEBUJEMY DÓBR WSPÓLNYCH

Pandemia nie przekonała do dochodu podstawowego

Programy pomocy pieniężnej skierowane do ogółu ludności zapewniły niezbędne wsparcie finansowe dla gospodarstw domowych i całej gospodarki w trakcie trwającej pandemii. Ale w przeciwieństwie do tego, co sądziło wielu zwolenników bezwarunkowego dochodu podstawowego, doświadczenia minionego roku nie oferują żadnego modelu lewicowej polityki dającego się zastosować po powrocie normalności.

MICHAŁ ROZWORSKI*

Pieniądze zapewniają byt. Zaopatrzenie w żywność, dach nad głową, odzież, a nawet życie towarzyskie – dla większości ludzi żyjących na naszej planecie niemal każdy aspekt egzystencji wymaga dziś jakiejś formy opłaty. Dlatego do rangi bohaterstwa urasta gest Berniego Sandersa, który niemal jako jedyny wsparł propozycję wydawania każdej pełnoletniej osobie czeku stymulacyjnego o wartości 2 tys. dolarów w sytuacji, w której Covid-19 nadal sieje spustoszenie. Ale czy tego rodzaju indywidualny czek na przetrwanie pandemii w kwocie 2 tys. dol. będzie stanowił jakiś wiarygodny model polityczny po jej wygaśnięciu?

Tak przynajmniej sądzą orędownicy bezwarunkowego dochodu podstawowego (BDP). Zdaniem wielu jego lewicowych zwolenników pandemia Covid-19 potwierdziła potrzebę wprowadzenia tego rozwiązania. Rządy płacą pracownikom za pozostawanie w domu, często bez żadnych dodatkowych zobowiązań.

To wszystko przypomina do złudzenia wybiórczą wersję BDP, wdrożonego na próbę. Ludziom płaci się za bezczynność, gdy niebo wali im się na głowę – choć i tak już runęło, bynajmniej nie z tego powodu. Z rosnącego na całym świecie wsparcia dla programów dochodu publicznego można już wyciągnąć parę ważkich wniosków. Pilna potrzeba jego wprowadzenia do nich jednak nie należy.

Przerwanie łańcucha (płatności)

Odpowiedź na pandemię koronawirusa pokazała, że cięcia wydatków w finansach publicznych zawsze były decyzją polityczną, nie zaś

koniecznością. W razie potrzeby państwa mogą podejmować interwencję zwiększając wydatki na masową skalę. Kiedy najmniejsi wraz z najpotężniejszymi korporacjami obawiają się o losy będącego na ich usługach systemu, rozwijają się ostatnie pozory. Rządy zaciągają kredyty, aby obywatele – i cały kapitalistyczny system – mogli przetrwać kolejny dzień. Czynią to z błogosławieństwem Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) oraz Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW).

Jednak celem wszystkich tych programów nadzwyczajnego zwiększania wydatków jest podtrzymanie w miarę możliwości normalnego funkcjonowania tego systemu. Pracownikom i bezrobotnym płaci się nie tylko za pozostanie w domu, by powstrzymać rozprzestrzenianie się wirusa, ale także, by zapobiec zablokowaniu się gospodarki na skutek kaskady niezapłaconych czynszów i rachunków, która mogłaby runąć pod ciężarem niezakupionych towarów i usług. Celem jest przerwanie łańcucha infekcji, bez przerwania łańcucha płatności.

Jeśli brakuje pieniędzy, by zapłacić sprzedawcy w sklepie spożywczym, to nie da się zapłacić również hurtownikowi, który z kolei nie będzie mógł zapłacić producentom. Żaden z nich nie będzie w stanie z kolei zapłacić właścicielom wynajmowanych przez siebie mieszkań, którzy, jeśli zaciągnęli kredyty hipoteczne, nie mogą spłacić bankom należnych im rat kredytów. I tak nakręca się w nieskończoność spirala, która doprowadzić może jedynie do masowych bankructw i szalejącego bezrobocia. Wsparcie dochodowe pozwoli ludziom przetrwać przez jakiś czas, naoliwiając tryby handlu, które w przeciwnym razie by się zatarły, to zaś skończyłoby się katastrofą. W działaniach tych nie chodzi jednak o wprowadzenie zmian w schemacie dystrybucji zasobów na jakimś bardziej zasadniczym poziomie.

Właśnie taki cel przyświecał prawnikom takim jak Milton Friedman, gdy poparli ideę BDP: utrzymanie, a nawet wzmocnienie rynkowego społeczeństwa. Twierdzenie, że pandemia dowiodła konieczności wprowadzenia BDP oznacza, że nadal nie rozumiemy o co chodzi rządowi zapewniającym wsparcie finansowe podczas obecnego kryzysu, albo jest dowodem na to, że ulegliśmy wizji prorynkowej.

Jeśli już, to pandemia potwierdziła raczej, że BDP może stać się nader ważnym elementem utrzymania *status quo*. Wersja BDP forsowana przez prawicę okazałaby się rozwiązaniem niewystarczającym i wymagałaby rozerwania resztek państwa opiekuńczego na strzępy. Poparcie dla niej ze strony osób pokroju Milтона Friedmana czy czołowych orędowników postępowego neoliberalizmu, takich jak Kanadyjska Partia Liberalna i Światowe Forum Ekonomiczne (oświadczających np., że BDP „zwiększyłby gotowość do podejmowania dowolnego rodzaju do-

stępnej na rynku pracy”, co pomogłoby w rozwiązaniu problemu bezrobocia po pandemii) powinny skłonić przynajmniej do chwili zastanowienia.

Pandemia pokazała również, że wprowadzenie BDP w jakimś szerszym zakresie wymagałoby jeszcze większego kryzysu dotychczasowego układu niż ten, w którym pogrążeni jesteśmy obecnie. Gdybyśmy jednak mogli wywołać taki kryzys, to czy nie chcielibyśmy zmian idących dużo dalej niż BDP?

Bezwarunkowy dochód minimalny

Żeby nie pozostawić niedomówień: wszelkiego typu wsparcie dochodowe w czasie pandemii jest czymś jednoznacznie słusznym. Zapobiega masowemu bezrobociu, zapobiega utracie mieszkania i zapewnia możliwość zaspokojenia na dotychczasowym poziomie podstawowych potrzeb bytowych – i owszem, powinno obejmować również środki przeznaczone na wszystko to, na co ludzie mają ochotę przeznaczyć pieniądze otrzymane w ramach tego wsparcia, zwłaszcza po to, by poradzić sobie z codziennym stresem, na jaki narażeni są w tych piekielnych czasach. Dofinansowanie to powinno zostać zachowane tak długo, jak to konieczne.

Ale jakkolwiek daleko idące, wsparcie finansowe wypłacane w trakcie pandemii trudno uznać za próbne wdrożenie BDP. Większość Globalnej Północy już wcześniej była o wiele bliższa wprowadzenia dochodu minimalnego.

Państwa europejskie przejęły przede wszystkim listy płac: pracownicy, których nie uznano za niezbędnych i niezdolnych do zdalnej pracy niezależnie od wszystkiego otrzymywać mają większość swoich dotychczasowych zarobków. Usiłując zdusić bezrobocie u źródła, rządy europejskie niezaufaźnie wzięły na siebie obciążenia płacowe, aby przynajmniej na papierze wszystko wyglądało jak dawniej. To rządy bezpośrednio płacą odciąż milionom pracowników, szczególnie zatrudnionym w sektorze usług, które nie są niezbędne, za pracę polegającą na pozostaniu w domu. Osoby mogące pracować zdalnie nadal otrzymują wynagrodzenie od swych pracodawców.

Programy wsparcia bezrobotnych realizowane w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, bardziej przypominające quasi-BDP, wiążą się z ogromnymi obciążeniami finansowymi. W Stanach Zjednoczonych na mocy ustawy CARES wdrożono jeden z największych programów zwiększenia wydatków na opiekę społeczną, na skalę nieznana dotąd w tym kraju. Bez znaczenia jest przy tym to, że dokonano się to za sprawą szczególnej amerykańskiej mieszanki niekompetencji i podłości: zdecydowano się na dodatkowe 600 dolarów tygodniowo przyznane bezrobotnym, ponieważ systemy komputerowe obsługujące państwowe systemy opieki socjalnej są przestarzałe i zbyt zawodne, by poradzić sobie

* Analityk związkowy i pisarz. Wraz z Leigh Phillipsem jest autorem książki *The People's Republic of Walmart*.

ze złożonymi wzorami kalkulacji świadczeń, zaś zasiłki dla bezrobotnych w niektórych stanach są tak niskie, że tylko tak ogromne ich zwiększenie mogło zapewnić obywatelom możliwość zapłacenia bieżących rachunków.

Niezależnie od wszystkiego, działania te okazały się, choć stało się to niejako „przy okazji”, największym programem ograniczania ubóstwa zrealizowanym w tym pokoleniu, zabezpieczającym minimalny poziom dochodów. Płace i inne świadczenia w Stanach Zjednoczonych w lipcu 2020 r. były łącznie wyższe niż w lutym, co w większym niż cokolwiek innego stopniu dowodzi, jak niskie być musiały przed wybuchem pandemii.

Tymczasem Kanada nadal wypłaca bezrobotnym pracownikom, opiekunom i osobom chorym na Covid comiesięczny zasiłek w kwocie 2 tys. dolarów. To również wyznacza *de facto* dochód minimalny, a w każdym razie coś na jego kształt. Co ważne jednak, wiele osób utrzymujących się z zasiłków socjalnych, którym dodatkowy dochód potrzebny jest najbardziej, nadal jest go pozbawionych. Oczywiście powinno być wprowadzenie bezwarunkowego progu minimalnego, co stanowiłoby próbę udaremnienia skutków realizowanych od dziesięcioleci reform programów opieki społecznej, zmierzających w przeciwnym kierunku i mających na celu ograniczenie wypłat tego typu świadczeń i przyznawanie ich w jeszcze ściślejszym warunkowym trybie.

Pandemia pokazała, jak bardzo nieadekwatne i niesprawiedliwe były systemy wsparcia dochodowego i opieki społecznej w czasie „normalności”. Zarówno ubezpieczenia na wypadek bezrobocia, jak i zasiłki socjalne powinno się zatem przekształcić w wolne od moralnego piętna uprawnienia przysługujące wszystkim, którzy ich potrzebują, w miejsce karnych ochłapów rzucanych zasługującym na nie biedakom. Przykładowo, brytyjska New Economics Foundation opracowała plany dochodu minimalnego, mającego przysługiwać osobom, których mimo wszystko nie utrzymała sieć pandemicznego bezpieczeństwa, przy kosztach, które są niskie w porównaniu z całkowitymi wydatkami ponoszonymi w trakcie pandemii.

Fakt, że polityczna odpowiedź na pandemię ze strony państw kapitalistycznych w ostateczności nie okazała się zwiastunem BDP, nie oznacza rzecz jasna, że nie może z tego wyniknąć nic dobrego. Bliższe przyjrzenie się naukom, jakie wyciągnąć można z pandemii oraz szansom, jakie przyniosła lewicy, pokazuje jednak, że są one nader różne od tego, czego spodziewali się zwolennicy BDP.

Dobra wspólne a czeki indywidualne

Pandemia nie tylko obnażyła wszystkie dotychczasowe irracjonalności i nierówności w naszym świecie, ale także ugruntowała potrzebę zbiorowego rozwiązania naszych problemów. Rynek nie wyprowadzi nas z pandemii. To najogólniejsza lekcja dla nas wszystkich w dobie katastrofy klimatycznej i galopujących nierówności.

W dość krótkim czasie kryzys doprowadził do wyłonienia nowej wizji świata rządzącego się odmiennymi od rynkowych zasadami: kwestia, kto ma pracować, a kto nie, jaka działalność gospodarcza się rozwija, a jaka nie, teraz nie zależy już wyłącznie od rynku. Jawne planowanie gospodarcze wysunęło się znów na plan pierw-



JANUSZ PRZYBYLSKI, 31.10.76 – 1.17.76 Z CYKLU BŁĘDNE KOLE, 1976, RYSUNEK, ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, REPRODUKOWANA NA LICENCJI: CC BY-NC-ND 3.0

szy, a tego świat nie widział od czasu wojen światowych.

Ta nowa sytuacja może okazać się jedynie tymczasowa, pomyślano ją bowiem tak, by jak najszybciej umożliwić powrót do *status quo*. Chociaż część mechanizmów, takich jak choćby wsparcie dochodowe, okazała się pozytywna, wiele osób zachorowało niepotrzebnie, dotknęły ich bezrobocie lub przymusowe eksmisje, a niekiedy jeszcze coś gorszego, tylko dlatego, że rządy zbyt obawiały się bardziej zdecydowanego odejścia od panującego modelu ekonomicznego. Co więcej, wiele innych osób straci jeszcze z pewnością pracę, mieszkanie i zdrowie z tego samego powodu, z którego uda nam się wydzwignąć z pandemii.

Chociaż pandemia dowiodła czegoś oczywistego, tego mianowicie, że dawanie ubogim pieniędzy zmniejsza skalę ubóstwa, pokazała również, że rozpaczliwie potrzebujemy poszerzenia zakresu świadczeń socjalnych i dóbr publicznych. Wsparcie finansowe zasysane jest bowiem z powrotem przez właścicieli lokali i pochłaniane przez spłaty zadłużenia, podobnie jak same płace. Pandemia pokazała zatem, że w dłuższej perspektywie musimy angażować się w rozwiązania zbiorowe, a nie tylko wydawać czeki jednostkom.

Powinny one obejmować również systemy publicznej opieki zdrowotnej, prawdziwie powszechne i kompleksowe, które będą na tyle wydolne, by radzić sobie również w sytuacjach kryzysowych. Oznacza to również wysokiej jakości publiczną opiekę nad osobami starszymi. Zakrawająca wręcz na przestępstwo porażka sprywatyzowanej opieki nad osobami starszymi jest obecnie bolączką powszechną w zbyt wielu krajach. Na drugim krańcu wiekowego spektrum pandemia uwydatniła zapotrzebowanie milionów osób, zmuszonych nagle do zajmowania się w domu dziećmi, na wysokiej jakości, dostępnej opiekę wychowawczą i na publiczną oświatę. Niższe klasy nie tylko zapobiegają rozprzestrzenianiu się zakażeń, ale także przyczyniają się do zrównania szans edukacyjnych.

I na tym nie koniec. Kiedy zapewnienie dachu nad głową osobom bezdomnym stało się nieod-

zownym elementem do utrzymania zdrowia publicznego, okazało się, że istnieją wolne miejsca gotowe, by udzielić im schronienia. Puste hotele, a nawet puste mieszkania zamieniły się w domy. Ujmując ogólnie, pokazało to, że nie musimy już uznawać mieszkania za inwestycję, ale możemy potraktować je jak dom. Masowa rozbudowa bazy łatwo dostępnych mieszkań komunalnych pozwoliłaby na powszechne wdrożenie tej zasady, jednocześnie pomagając w rozwiązaniu problemu ciasnoty panującej w dzielnicach z niskimi dochodami, przyczyniającej się do znacząco nierównych wskaźników infekcji.

Pandemia ukazała słabe promyki nadziei na świat, w którym można by żyć inaczej. Oprócz inwestycji w najpilniejsze potrzeby, takie jak zdrowie, oświata i mieszkalnictwo, każde sprawiedliwe wyjście z pandemii będzie wymagało długotrwałego procesu odbudowy po zakończeniu najgorszej jej fazy. U bram czeka już na nas bowiem kryzys klimatyczny, przez co argumenty za Zielonym Nowym Ładem w inwestycjach publicznych i przemianami gospodarczymi brzmią dziś jeszcze donioślej.

Rozwiązanie tych jeszcze poważniejszych problemów przynieść może m.in. ponowne przemysłowanie otwartej na nowo przez pandemię kwestii tego, czym jest praca nieodzowna i którzy pracownicy są nieodzowni. Znowu powinniśmy zadać sobie pytanie, kto tak naprawdę wytwarza wartość: bankier czy też kurier? Menedżer z branży ubezpieczeniowej czy pielęgniarka?

Lewica pchnąć powinna *te oto* drzwi. Przed nami początek nowej walki o to, co powinno mieć wartość i kto o tym decyduje. Radykalną i emancypacyjną przeciwwagą dla kryzysu wyłaniającego się z tej pandemii powinno stać się życie, o którym decydujemy i o które dbamy odtąd *zbiorowo*.

tłum. Sławomir Królak

Tekst ukazał się pierwotnie w magazynie *Jacobin* 5.02.2021, <https://www.jacobinmag.com/2021/02/covid-19-pandemic-universal-basic-income>, przedruk za zgodą redakcji.

KIEDY WŁADZA ZAKAZUJE GRUP „RADYKALNYCH”

Rozwiązywać, aby tym lepiej panować

We Francji minister szkolnictwa wyższego Frédérique Vidal chce oczyścić uniwersytety z „islamolewactwa”, wywołując oburzenie środowisk akademickich, a ustawa „zapewniająca poszanowanie zasad republiki” przewiduje zaprowadzenie państwowej kontroli ideologicznej nad stowarzyszeniami. Władza wykonawcza, dążąc do eliminacji źle widzianych przez nią idei, coraz bardziej rozbudowuje przepisy przedwojennej ustawy, która pozwala administracyjnie rozwiązywać stowarzyszenia i inne organizacje.

DOMINIQUE PINSOLLE*

Po zabójstwie profesora Samuela Paty’ego, dokonanym 16 października 2020 r. przez islamistycznego fanatyka, francuskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych rozwiązało 2 grudnia ub.r. Komitet Przeciwko Islamofobii we Francji (CCIF). Wywołało to jedynie rzadkie protesty, a przecież zakaz tej niezwiązanej z terroryzmem organizacji ponownie stawia na porządku dziennym kwestię zasadności stosowania środka wyjątkowego, który pierwotnie miał na celu obronę republiki przed bardzo poważnym niebezpieczeństwem. Czyżby był to oręż polityczny, służący eliminacji ugrupowania opozycyjnego lub zadowoleniu elektoratu?

Początki ustawy zezwalającej na administracyjne rozwiązanie stowarzyszenia czy innej organizacji sięgają wydarzeń z 6 lutego 1934 r. Tego dnia w Paryżu zorganizowano wielką demonstrację z udziałem skrajnie prawicowych lig (Akcja Francuska, Młodzież Patriotyczna, Ognisty Krzyż...). Ligi te protestowały przeciwko odwołaniu sprzyjającego im prefekta policji Jeana Chiappe i piętnowały ówczesne władze, które uważały za skorumpowane. Demonstracja przerodziła się w rozruchy, podczas których zginęło 15 osób. Lewica uznała to natychmiast za próbę faszystowskiego zamachu stanu, uzasadniając ograniczenie wolności zrzeszania się, zagwarantowanej przez ustawę z 1901 r.

Tak zrodziła się ustawa z 10 stycznia 1936 r. „o prywatnych grupach bojowych i milicjach”. Pozwała ona władzę wykonawczą zakazać, na mocy zwykłego dekretu prezydenta republiki, wydanego na posiedzeniu rady ministrów, legalnie działającego stowarzyszenia lub ugrupowania *de facto*, które prowokuje zbrojne demonstracje, ma charakter wojskowy lub dąży do podważenia integralności terytorialnej kraju czy do obalenia republiki. Procedura ta różni się od rozwiązania stowarzyszenia czy innej organizacji pod nadzorem sądziego, co w szczególności może nastąpić w przypadku wyroku skazującego.

Krótką historią zakazów działalności

Dzięki temu nowemu narzędziu prawnemu zakazano od lutego do czerwca 1936 r. działalności lig nacjonalistycznych – stało się tak przed utworzeniem i po utworzeniu rządu Frontu Ludowego

przez Léona Bluma. 30 czerwca 1936 r. biznesmen i poseł Pierre Taittinger, który kierował Młodzieżą Patriotyczną, ostrzegł ministra spraw wewnętrznych Rogera Salengro: „Uważajcie, aby podjęte środki nie obróciły się pewnego dnia przeciwko ludziom, którzy dziś was aprobują” [1]. Rzeczywiście, rozwiązanie administracyjne, początkowo skierowane przeciwko skrajnie prawicowym ligom, szybko wykorzystano przeciwko innym ruchom. Już w 1937 r. posłużyło ono do represjonowania ruchu niepodległościowego, który ucieleśniała Algierska Partia Ludowa (PPA) Messali al-Hadżdża, a następnie, po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow, Francuskiej Partii Komunistycznej (PCF), zakazanej 26 września 1939 r., pod rządami radykała Édouarda Daladiera.

Broń ta była tak cenna, że 9 sierpnia 1944 r. z ustawy z 10 stycznia 1936 r. skorzystał Rząd Tymczasowy Republiki Francuskiej w celu wyeliminowania grup, które kolaborowały z okupantem niemieckim. Do listy powodów do rozwiązania organizacji dodano pod koniec 1944 r. utrudnianie powrotu do praworządności republikańskiej, a następnie, w 1951 r., gloryfikowanie kolaboracji lub umożliwianie byłym kolaborantom skupiania się w stowarzyszeniach.

Po 1945 r. argumentu walki z przemocą zbrojną i obrony integralności terytorium narodowego użyto przeciwko wielu organizacjom antykolonialnym. Z drugiej strony to zwolennicy Algierii francuskiej byli na celowniku Charlesa de Gaulle’a po jego powrocie do władzy w 1958 r.: kolonialistyczną, działającą w podziemiu i uprawiającą terroryzm Organizację Tajnej Armii (OAS) rozwiązano pod koniec 1961 r. Wydarzenia z maja 1968 r. były przełomowe: akty przemocy w miastach oraz starcia między aktywistami skrajnej prawicy i lewicy radykalnej już 12 czerwca skłoniły rząd do zakazania 11 organizacji lewicowo-radykalnych, w tym Ruchu 22 Marca i (antystalinowskiego) Związku Rewolucyjnej Młodzieży Komunistycznej (JCR).

124 zakazy w latach 1936-2013

W październiku 1968 r. ten sam los spotkał skrajnie prawicowe ugrupowanie Zachód, a 7 miesięcy później Lewicę Proletariacką (GP). Zakaz działalności tej organizacji maoistowskiej spowodował rozruchy w Paryżu i innych miastach. W październiku 1970 r. jej przywódca Alain Geismar z zadowoleniem komentował fakt, że „w obliczu tych prowokacji reakcja była gwał-

towna i masowa”, ponieważ „atakować maoistów w 1970 r. znaczyło atakować lud”. Jak to, parafrazując Bertolta Brechta, stwierdzono w gazecie Lewicy Proletariackiej *La Cause du peuple*, „ludu nie można rozwiązać” [2]. Reakcje poparcia dla represjonowanych były jednak znacznie liczniejsze, gdy w czerwcu 1973 r. zakazano byłego Związku Rewolucyjnej Młodzieży Komunistycznej, a teraz Związku Komunistów (LC, francuską sekcję IV Międzynarodówki), po demonstracji, którą urządził on przeciwko wiecowi grupy neofaszystowskiej Nowy Ład (NO) – ją również zdelegalizowano (podczas walki ulicznej, do której doszło między tymi dwoma ugrupowaniami, ranny odniosło ponad 70 interweniujących policjantów).

W latach 70. imperatyw eliminacji przemocy politycznej nadal dodawano do imperatywu zachowania integralności terytorium narodowego, tym razem w obliczu różnych baskijskich, bretońskich i korsykańskich ruchów autonomistycznych. Jednocześnie zakres stosowania ustawy z dnia 10 stycznia 1936 r. poszerzył się poprzez włączenie w 1972 r. faktu bezpośredniego lub pośredniego prowokowania „dyskryminacji, nienawiści lub przemocy” na tle etnicznym, narodowym, rasowym czy religijnym. W 1986 r. do ustawy dopisano siódmy motyw – tym razem wyraźnie wymierzony w organizacje terrorystyczne lub związane z terroryzmem.

W sumie w latach 1936–2013 prawnik Roman Rambaud doliczył się 124 rozporządzeń o administracyjnym rozwiązaniu organizacji, wydanych na podstawie ustawy z dnia 10 stycznia 1936 r. lub innych okolicznościowych decyzji [3]. Środki podjęte w 2013 r. przeciwko skrajnie prawicowym organizacjom przez rząd socjalistyczny Jean-Marc Ayraulta oznaczały nawrót do tego rodzaju decyzji.

Ryzyko instrumentalizacji politycznej

Po śmierci w tym samym roku antyfaszystowskiego działacza Clémenta Mérica, zabitego w bójce, zakazano pięciu grup nacjonalistycznych – najwięcej od 1987 r. Do poziomu z 1968 r. jest jeszcze daleko, ale środki podjęte w 2020 r. przeciwko dwóm stowarzyszeniom – wobec wspomnianego Komitetu Przeciwko Islamofobii we Francji oraz aktywistycznego kolektywu, oskarżonemu o współudział w terroryzmie islamistycznym, potwierdzają skłonność władz do wzmożonego korzystania z ustawy z 10 stycznia 1936 r., obecnie włączonej do kodeksu bezpieczeństwa wewnętrznego.

Środek ten, którego zastosowanie zawsze uzasadnia się troską o skuteczność i sytuacją nadzwyczajną, niesie jednak ze sobą znaczne ryzyko instrumentalizacji politycznej, tym bardziej, że władza wykonawcza cieszy się dużą swobodą działania w tej sprawie. Spośród 40 odwołań Rada Stanu unieważniła tylko 10 rozporządzeń o rozwiązaniu organizacji, wydanych na podstawie ustawy z 10 stycznia 1936 r., przy czym połowa unieważnień wynikała ze względów formalnych.

Pięć spraw, w których argumenty rządu zakwestionował co do istoty sędzia administracyjny,

* Wykładowca historii współczesnej na Uniwersytecie Bordeaux Montaigne.

dowodzi, że władza wykonawcza nie może wyeliminować z gry całego uznanego za zbyt radykalne ugrupowania. W 1957 r. unieważniono zarządzone cztery lata wcześniej rozwiązanie Stowarzyszenia Francja-Wietnam, podobnie jak w 1970 r. unieważniono rozwiązanie trzech organizacji trockistowskich – Grupy Zbuntowani, Federacji Studentów Rewolucyjnych (FER) i Internacjonalistycznej Organizacji Komunistycznej (OCI). Niedawno odwołanie się stowarzyszenia zarządzającego barem w Paryżu, w którym spotkały się dwie grupy nacjonalistyczne zamieszane w sprawę śmierci Clémenta Mérica w 2014 r., zakończyło się sukcesem w Radzie Stanu. Sprawy o stwierdzenie nieważności pozostają jednak marginalne, a motywy zakazu są na tyle szerokie, że rząd może bez większych trudności konstruować argumentację wiedząc, że prawdopodobnie nie zostaną odrzucone przez naczelne sądownictwo administracyjne.

„Działania zmierzające do prowokowania”

W istocie bowiem to nie tylko czyny mogą podpadać pod ustawę, ale również idee i dyskursy, w takiej mierze, w jakiej są one związane z działaniami, które stanowią zagrożenie dla państwa. Tak więc nie chodzi tylko o represjonowanie zamachów na integralność terytorialną państwa, ale też o możliwość zakazu organizacji, które stawiają sobie taki „cel”. Tak uzasadniono np. potwierdzenie przez Radę Stanu w 1975 r. rozwiązania baskijskiej partii niepodległościowej Enbata, choć była to partia legalistyczna. Podobnie decydująca jest nie tylko dyskryminacja rasowa jako taka, ale także „propagowanie idei lub teorii, które mają tendencję do jej usprawiedliwiania lub zachęcania do niej”. Jeśli chodzi o terroryzm, celem jest nie tylko zakaz grup, które dopuszczają się przemocy zbrojnej, ale także wyeliminowanie „działań zmierzających do prowokowania czynów” tego rodzaju.

W sprawie tej faktem jest, że kategorie te, poprzez wskazanie na związki między osobami, grupami, faktami lub doktrynami, pozwalają mieć na celowniku stosunkowo dużą liczbę stowarzyszeń. To właśnie wyjaśnia absurdalność obecnej sytuacji: oto Komitet Przeciwko Islamofobii we Francji, stowarzyszenie broniące muzułmanów, którzy są ofiarami dyskryminacji, nie był w ciągu 17 lat swojego istnienia przedmiotem żadnego postępowania karnego, lecz mimo to teraz rozwiązano go jak jakąś grupę neonazistowską czy tajną organizację, która podkłada bomby.

Ktoś może wysunąć obiekcję, że bezpośrednie niebezpieczeństwo wymaga radykalnych środków. Jednak nawet na ściśle represyjnej płaszczyźnie skuteczność administracyjnego rozwiązania organizacji wcale nie jest oczywista. Z jednej strony zakazane grupy często pojawiają się ponownie w innej formie: np. Gwiazdę Północnoafrykańską (ENA) zastąpiła w 1937 r. Algierska Partia Ludowa (PPA), a tę następnie, w 1946 r., Ruch na rzecz Zwycięstwa Swobód Demokratycznych (MTLD), który zakazano z kolei w 1954 r. [4]

Gdy zakazy okazują się przeciwnie skuteczne

Z drugiej strony stosowanie ustawy z 10 stycznia 1936 r. może mieć przeciwny do zamierzonego skutek. Na przykład zakaz lig skrajnie prawicowych w 1936 r. „sprzyjał, na zasadzie reakcji”, utworzeniu Tajnego Komitetu Akcji Rewolucyjnej (CSAR, znanego jako „La Cagoule”, Kaptur), który był odpowiedzialny za próbę puczu w 1937 r. [5] Historyk Nicolas Lebourg, opierając się na pracy Xaviera Crettiez i Isabelle Sommier, zwraca również uwagę na



FABRIEN BOUTARD, KNEBEL NR 5, 2020

to, że rozpad pewnych struktur może prowadzić do działania izolowanych aktywistów lub powodować wzrost przemocy między nowymi konkurującymi ze sobą grupami. Tak więc w 1973 i 1974 r. liczba zamachów dokonywanych przez skrajną prawicę lub lewicę radykalną wzrosła o ponad 30% po tym, jak zakazano skrajnie prawicowego Nowego Ładu i lewicowo-radykalnego Związku Komunistów po gwałtownym starciu, do którego między nimi doszło. W 1974 i 1975 r., mimo zakazu Korsykańskiego Krajowego Frontu Wyzwolenia (FPCL), na Korsyce było czterokrotnie więcej zamachów niż w ciągu całej poprzedniej dekady [6].

Nie oznacza to, że wszelkie rozwiązanie administracyjne jakiegokolwiek organizacji jest bezzasadne lub bezpodstawne. Zależy to jednak, jak stwierdza Lebourg, od powiązania stosowanego środka ze „strategią reintegracji społecznej, z przejściem z marginesu do normy”. Innymi słowy, jeśli ryzyko spowodowania większej liczby niepokojów jest zbyt duże, w najlepszym interesie państwa leży umożliwienie ewolucji niektórych grup radykalnych w nadziei, że ich działacze pochłoną działania rutynowe lub że w końcu włączą się w tradycyjną grę polityczną i wyborczą. Dlatego pewnych organizacji, które można by rozwiązać, nie rozwiązuje się i w wielu przypadkach władze wolą je nadzorować, a nie ich zakazywać.

Pozostaje jednak faktem, że ustawodawstwo zawiera luki prawne, z których może korzystać władza nie troszcząc się zbytnio o podstawowe wolności. Ograniczenie jego stosowności na rzecz sądownictwa zmniejszyłoby to ryzyko. Rambaud uważa nawet, że „powstaje pytanie, czy należy utrzymać samą zasadę rozwiązania administracyjnego”, w takiej mierze, w jakiej „współ-

czesne dane polityczne i prawne nie są danymi z lat 30. i być może, ze względu na konieczność ochrony swobód, nie uzasadniają utrzymywania tak bardzo elastycznej procedury” [7].

Obecny rząd dokonał zupełnie innego wyboru. Do projektu ustawy „zapewniającej poszanowanie zasad republiki” włączono przepisy ustawy z 10 stycznia 1936 r., aktualizując i wydłużając listę przyczyn rozwiązania organizacji. Do przemocy zbrojnej dopisano np. poszerzając ją fakt prowokowania „gwałtownych działań przeciwko osobom lub mieniu”. Demonstranci, to ostrzeżenie dla was.

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[1] *Journal officiel*, 1 lipca 1936 r.

[2] Cyt. za G. Ferragu, „1970: L'été indien de la révolution. Commentaire de la couverture de *La Cause du Peuple*, n° 27, sierpień 1970”, *Parlement[s]. Revue d'histoire politique* nr 28, 2018.

[3] R. Rambaud, „La loi du 10 janvier 1936 sur les groupes de combat et milices privées (article 212-1 du code de la sécurité intérieure): l'arme de dissolution massive”, *Revue des droits et libertés fondamentaux* nr 9, 2015.

[4] G. Ferragu, *Histoire du terrorisme*, Perrin, Paryż 2014.

[5] F. Monier, *Le complot dans la République. Stratégies du secret de Boulanger à la Cagoule*, La Découverte, Paryż 1998.

[6] N. Lebourg, „Usages, effets et limites du droit de dissolution durant la V^e République”, w: R. Sèze (red.), *Les États européens face aux militantismes violents. Dynamique d'escalade et de désescalade*, Riveneuve, Paryż 2019.

[7] R. Rambaud, op. cit.



ROBERT COMBAS, REPUBLIKA MOJEGO SERCA... 1988

CZY POWRÓT Z ROŻAWY JEST PRZESTĘPSTWEM?

Jak państwo terroryzuje antyterrorystów

Pod pretekstem walki z terrorystami islamistycznymi parlament francuski uchwalił liczne ustawy „antyterrorystyczne”, które pozwalają zamiarem zastąpić dowód. Ustawy te stanowią obecnie podstawę prawną do polowania na tych, którzy u boku Kurdów walczyli z dżihadyzmem w Syrii. Jeśli chwyciłeś tam za broń przeciwko Organizacji Państwa Islamskiego, to w oczach francuskiej maszyny policyjnej jest to okoliczność obciążająca.

PHILIPPE BAQUÉ

Dnia 8 grudnia 2020 r. Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DGSİ) aresztowała w Val-de-Marne i w Ile-et-Vilaine (w departamencie Dordogne) 6 mężczyzn i kobietę. Przedstawiani jako członkowie „ultralewicy” i podejrzani o przygotowywanie aktów przemocy we Francji, są oskarżeni o to, że zawiązali „terrorystyczne stowarzyszenie przestępcze”, za co grozi im kara 30 lat więzienia. Niektóre media donoszą, że utworzyli tajną komórkę w celu przeprowadzenia ataków na siły bezpieczeństwa. Tygodnik *Le Point* rozpisuje się o „niepokojącym profilu lidera ultralewicowej grupy” (13 grudnia 2020 r.).

Sensacyjne tytuły w prasie nie wystarczą jednak, aby zamaskować kruchość sprawy. Przedmioty zatrzymane podczas rewizji to głównie produkty, które mogą być stosowane w produkcji materiałów wybuchowych, ale powszechnie używane (woda utleniona, aceton, kwas solny) oraz strzelba myśliwska, replika pistoletu, kask Republikańskich Kompanii Bezpieczeństwa (CRS)... Żaden z upublicznionych dotychczas dowodów nie świadczy o terrorystycznych zamiarach ani

o żadnym konkretnym planie popełnienia czynu terrorystycznego. Prokuratura antyterrorystyczna nie wydała żadnego komunikatu, chociaż jest to zwyczajowe posunięcie, a prokurator prowadzący dochodzenie odmówił odpowiedzi na nasze pytania.

Prześladowanie internacjonalistów

Rzekomemu „przywódcy” grupy zarzuca się głównie, że walczył w Syrii przeciwko Organizacji Państwa Islamskiego (OPA – Daesz). Po raz kolejny DGSİ próbuje kryminalizować działalność tych, którzy zaangażowali się do walki w szeregach arabsko-kurdyjskich Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), wspieranych przeciw... francuską Dyrekcję Generalną Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zgodnie z ocenami aktywistów, w latach 2015-2019 około 30 młodych Francuzów pojechało walczyć w Rożawie. W sumie wśród 30 tys. bojowników (głównie kurdyjskich, ale także arabskich, jezydzkich, syriackich itp.), poległych w obronie regionu autonomicznego, było 47 ochotników międzynarodowych (w tym 11 Amerykanów, 7 Brytyjczyków, 5 Niemców i 3 Francuzów).

Wśród ochotników z Francji, obok byłych wojskowych, były tam osoby, które zasadniczo chciały walczyć z dżihadystami z OPI. Wśród nich znalazła się również garstka działaczy marksistowskich, wolnościowych lub antyfaszystowskich, bliskich lewicowym organizacjom antykapitalistycznym. Chcieli bronić procesu rewolucyjnego, zachodzącego w północnej Syrii [1]. Po powrocie do Francji prawie wszyscy ci aktywiści byli wzywani na przesłuchania i monitorowani przez DGSİ.

W swojej relacji [2] André Hébert występuje publicznie pod pseudonimem zarówno dla swojego osobistego bezpieczeństwa, jak i po to, aby nie indywidualizować zbiorowej walki. Po dwóch pobytach w Rożawie ten młody działacz marksistowski jest teraz, podobnie jak wielu jego towarzyszy, oznaczony w teczach osób podlegających nadzorowi służb specjalnych symbolem „S”, od *sûreté*, bezpieczeństwo, tzn. uznanych za osoby stanowiące potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. W grudniu 2016 r. policjanci z DGSİ skonfiskowali jego paszport i dowód tożsamości, aby uniemożliwić mu opuszczenie kraju. Działali na mocy ustawy „antyterrorystycznej”, uchwalonej w 2014 r. po to, aby młodzi Francuzi nie mogli wstępować w szeregi dżihadystów [3].

Sąd oddala policyjne machinacje

Zgodnie z komunikatami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdyby Hébert „był w stanie ponownie wstąpić w szeregi bojowników Oddziałów Samoobrony Ludowej (YPG), jego powrót do kraju stanowiłby szczególnie poważne zagrożenie dla porządku publicznego, ponieważ uzyskane na miejscu doświadczenie operacyjne mógłby wykorzystać w ramach wymierzonych w interesy francuskie gwałtownych działań ultralewicowych

rewolucyjnej”. W marcu 2017 r. sąd administracyjny w Paryżu uchylił rozporządzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. „Sąd nie pozostawił suchej nitki na narracji skonstruowanej przez DGSI, uzasadniając to tym, że nie stwierdzono, iż działalność YPG miała charakter terrorystyczny”, wyjaśnił adwokat Héberta, Raphaël Kempf. „Sędziowie przyznali również, że po powrocie do Francji nie stanowił on zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego”.

DGSI nie odpuściła jednak działaczom zaangażowanym w Rożawie i nadal rozprowadza alarmistyczne narracje, podchwytywane przez część mediów [4]. W styczniu 2021 r. Laurent Nuñez, krajowy koordynator wywiadu i walki z terroryzmem, odniósł się do, jak to określił, „zahartowanych w walce” aktywistów, powracających z północnej Syrii i skojarzył ich z „ultralewicową” mgławicą, która dopuściła się kilkudziesięciu aktów przemocy „o niskiej intensywności”, w większości skierowanych przeciwko wieżom telefonicznym. Aktywiści ci, powiedział Nuñez, nawiązali kontakty z „ruchami panafrkańskimi oraz ruchami ujawniającymi przemoc policyjną, ekologicznymi lub piętnującymi islamofobię państwową”, których celem jest „obalenie instytucji republikańskich” [5]. Kolektyw Francuskojęzycznych Bojowniczek i Bojowników z Rożawy (CCFR) odpowiedział na to stwierdzając, że kontestuje panujący we Francji system polityczny innymi środkami niż stosowanie przemocy. „Po powrocie do domu nie spodziewaliśmy się, że otrzymamy Legię Honorową, a nawet, że ktokolwiek będzie nam wdzięczny, ale nie wyobrażaliśmy sobie, że zostaniemy wskazani jako wrogowie wewnętrzni i będziemy traktowani na równi z dżihadystami, z którymi walczyliśmy” [6].

Hołd dla Rożawy

Hébert idzie w swoim zaangażowaniu w ślady rewolucyjnych działaczy internacjonalistycznych, którzy walczyli u boku republikanów hiszpańskich w 1936 r. Praca zbiorowa, której jest współautorem [7], nawiązuje do *Hołdu dla Katalonii* – książki, w której George Orwell opowiada o swojej walce podczas wojny w Hiszpanii u boku milicjantów z antystalinowskiej Robotniczej Partii Zjednoczenia Marksistowskiego (POUM). Dla autorów wydanej we Francji *Hołdu dla Rożawy* ważne jest powiązanie świadectwa walki z Organizacją Państwa Islamskiego ze świadectwem trwającego nadal doświadczenia „komunistycznego”, opartego na socjalizmie, świeckości, równości kobiet i mężczyzn, a także równości w stosunkach między grupami etnicznymi i religijnymi.

„Wyjechaliśmy, aby poprzeć tę rewolucję”, mówi Hébert. „Byliśmy zwykłymi ludźmi i w pewnym momencie naszego życia świadomie i bez fanatyzmu zostawiliśmy wszystko, aby walczyć u boku ludów syryjskiego Kurdystanu. Lecz po 2016 r. to DGSI decyduje, kto jest dobrym, a kto złym ochotnikiem, walczącym w szeregach YPG. Tych, którzy nie byli upolitycznieni, pozostawiono w spokoju, natomiast tych, którzy mają profile działaczy, monitoruje się i rejestruje. W napiętym kontekście politycznym służby policyjne czynią z nas straszaki”.

Pod koniec 2016 r., tuż po uzyskaniu tytułu licencjata na uniwersytecie, działacz, który prosi, aby nazywać go Siyah, wyjechał na półtora roku do Rożawy. Po raz drugi powrócił tam na 8 miesięcy w lutym 2019 r. Brał udział w licznych walkach z Organizacją Państwa Islamskiego, ale także z armią turecką i jej islamistycznymi bojówka-

mi, podczas najazdu tej armii na część Rożawy w marcu 2018 r., a następnie w październiku 2019 r. Walczył u boku Syryjskich Sił Demokratycznych, porzuconych w tym czasie przez Donalda Trumpa i przez Zachód. Podczas intensywnego bombardowania Afrinu i Ras al-Ajnu przez lotnictwo tureckie Siyah stracił dziesiątki swoich kurdyjskich, arabskich i internacjonalistycznych towarzyszy.

Państwowe obsesje

Po pierwszym powrocie do Francji przesłuchano go w DGSI. „Pytali mnie przez kilka godzin o moje zaangażowanie w Rożawie, ale także o całą moją przeszłość jako działacza we Francji i Europie”, mówi. „W obliczu mojej złej woli dali mi do zrozumienia, że raczej powinienem być zainteresowany współpracą z nimi. Lecz ramy ich interwencji nie były legalne, ponieważ fakt, że udałem się do Syrii, aby walczyć u boku sił kurdyjskich, jeszcze nie jest przestępstwem... Teraz figuruję u nich jako «S» i mam wiele problemów na lotniskach, kiedy podróżuję po Europie. Policja bierze mnie za islamistę”.

Siyah zwraca uwagę na niespójność państwa francuskiego, które próbuje kryminalizować działalność ochotników internacjonalistycznych, choć wysłało własne siły specjalne do wspierania sił kurdyjskich. „DGSI doskonale wie, że YPG nie jest ruchem terrorystycznym. Państwo francuskie cierpi na swojego rodzaju nerwicę. Policjanci starają się za wszelką cenę powiązać nasze tamtejsze zaangażowanie z naszym zaangażowaniem tutaj. Od dawna starają się kryminalizować działalność ruchów rewolucyjnych we Francji. Mają obsesję na punkcie rewolt ludowych, «żółtych kamizelek», tych, którzy działają w ekologicznych czy rolniczych «strefach do obrony», «czarnych bloków» i fantazjują o ultralewicę i jej tajnych komórkach”.

Służby państwowe wykorzystują przepisy kodeksu karnego, pierwotnie przeznaczone do zwalczania terroryzmu, w celu sprawowania kontroli nad ruchami politycznymi i społecznymi. „Może wydawać się szokujące, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uniemożliwia André Hébertowi, lewicowemu aktywistcie, walkę z Daeszem, na mocy swojej decyzji administracyjnej, dozwoloną przez ustawę antyterrorystyczną z 2014 r.”, mówi mecenas Kempf. „Problem wynika jednak z tych przepisów, które umożliwiają stosowanie przymusu wobec niektórych naszych współobywateli na podstawie zwykłych podejrzeń. Podejrzenia pochodzą od służb wywiadowczych i mają jedynie oparcie w «białych notatkach» – dokumentach często bez daty czy tytułu, które zawierają informacje o tym, co służby wywiadowcze rzekomo zebrały”.

„Łajdackie ustawy” z końca XIX w.

W swojej książce *Wrogowie państwa* [8] Kempf przeszedł pochodzenie współczesnej akumulacji praw wolnościobójczych – okazuje się, że wywodzą się one z uchwalonego pod koniec XIX w. „łajdackiego ustawodawstwa”, które służyło do represjonowania anarchistów, lecz szybko wykorzystano je na znacznie szerszą skalę. Adwokat ten stwierdza, że ustawy nadzwyczajne, uchwalone w celu zwalczania terroryzmu islamistycznego, wykorzystuje się obecnie przeciwko muzułmanom, których uważa się za „nazbyt” wierzących, jak również przeciwko „nazbyt” radykalnym ekologom, „nazbyt” zawziętym demonstrantom, a nawet przeciwnikom politycznym. Teraz do listy tej dopisuje się aktywistów, którzy byli zaangażowani w Rożawie.

Zarzut zawiązywania „stowarzyszeń przestępczych” wprowadzono w drugiej z trzech „ustaw łajdackich”, przyjętych w 1893 i w 1894 r. W ustawie z 22 lipca 1996 r. termin uzupełniono przymiotnikiem „terrorystycznych”, rozszerzając jego zastosowanie, zanim w innych ustawach, uchwalonych w 2004 i 2016 r., zaostrzono kary. Sekretarz generalna związku zawodowego sędziów, sędzia śledcza Sarah Massoud przypomina o wieloletnim sprzeciwie swojego związku wobec takiego proceduru. „Dla nas są to przepisy o zamiarach, zredagowane aż nadto niejasno zarówno w odniesieniu do ich elementu materialnego, jak i w odniesieniu do ich elementu intencjonalnego. Nie szukamy już wcale przejścia do czynu i nie będziemy wychodzić poza elementy intencjonalne, aby szukać zamiaru bezpośredniego. Takie definiowanie inkryminacji jest niebezpieczne, ponieważ tworzy bardzo plastyczne prawo karne, którego kontury są niezwykle elastyczne” [9].

Przepisy o „terrorystycznych stowarzyszeniach przestępczych” wykorzystano już dwukrotnie przeciwko działaczom wolnościowym lub antykapitalistycznym. Pierwsza sprawa z 2007 r. dotyczyła aktywistów ściganych za umieszczenie pod ławetą policyjną środka zapalającego, który nie zadziałał. Wymierzono im kary od pół roku do roku więzienia. Druga sprawa, znana jako „Tarnac”, doprowadziła w 2008 r. do postawienia w stan oskarżenia 8 aktywistów podejrzanych o przynależność do „niewidzialnej” komórki, „mającej na celu walkę zbrojną” i sabotażowanie sieci trakcyjnej kolei dużej prędkości TGV. Po 10 latach policyjnych machinacji, 12 kwietnia 2018 r. sąd nakazał uwolnienie wszystkich oskarżonych. To fiasko prawne ilustruje nadużycia, do jakich dochodzi w walce z terroryzmem, kiedy instrumentalizuje się ją do celów politycznych. Zarzut pozostał jednak i wykorzystano go w połowie grudnia, ponownie aresztując 7 wspomnianych osób.

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[1] Zob. M. Court, Ch. Den Hond, „Przyszłość Rożawy pod znakiem zapytania”, *Le Monde diplomatique – edycja polska*, styczeń-luty 2020.

[2] A. Hébert, *Jusqu'à Rakka. Avec les Kurdes contre Daech*, Les Belles Lettres, Paryż 2019.

[3] Ustawa nr 2014-1353 z 13 listopada 2014 r.

[4] M. Suc, J. Massey, „Ces revenants du Rojava qui inquiètent les services de renseignement”, *Mediapart*, 1 września 2019 r.

[5] J. Chichizola, Ch. Cornevin, „Laurent Nuñez: «Avec 170 sabotages perpétrés depuis mars 2020, l'ultra-gauche monte en puissance»”, *Le Figaro*, 13 stycznia 2021 r.

[6] „Opération antiterroriste du 8 décembre. Tribune du Collectif des combattantes et combattants francophones du Rojava en soutien à leur camarade incarcéré”, *Lundi matin*, 2 lutego 2021 r., na <https://lundi.am>.

[7] Praca zbiorowa *Hommage au Rojava. Les combattants internationalistes témoignent*, Libertalia, Montreuil 2020.

[8] R. Kempf, *Ennemis d'État. Les lois scélérates, des anarchistes aux terroristes*, La Fabrique, Paryż 2019. Zob. również idem, „Le retour des lois scélérates”, *Le Monde diplomatique*, styczeń 2020 r.

[9] F. Blisson, „Risques et périls de l'association de malfaiteurs terroriste”, *Délibérée* nr 2, 2017.

EUROPEJSKIE WSPARCIE OPERACJI „BARCHAN”

W Sahelu Francja wojny zleca podwykonawcom

W styczniu tego roku we francuskim nalocie w Mali zginęło 19 cywilów. To nie jedyne koszty obecności wojskowej Paryża w Sahelu – wydatki na utrzymanie wojsk w regionie sięgają niemal miliarda euro rocznie. Nic dziwnego, że Francja zabiega o poparcie u swoich europejskich partnerów. Po wysłaniu sprzętu i doradców technicznych kilka krajów ostatecznie zgodziło się na posłanie tam niewielkich oddziałów wojskowych.

ROMAIN MIELCAREK*

W oddalonej o około 20 kilometrów od Gao wiosce, w północnym Mali, pośród lepianki rozmieszczono trzy pojazdy opancerzone. Żołnierze ukryci między osłami z karabinami w ręku przystępują do obserwacji otoczenia. Około 20 minut mieszkańcom zabiera stawienie się przed oficerem francuskiej operacji „Barchan”, gotowym wysłuchać ich skarg. W niechętnie pozie rozsiadł się na krześle z rozkraczonymi nogami. Mieszkańcy wioski nie wydają się jednak zbyt zadowolonymi z tego widoku.

„A wiecie, ile kosztuje kilogram ryba?”, zaczyna żołnierz, pytaniem tym próbując przełamać lody na środku pustyni. Przedstawiciel mieszkańców, miejscowy nauczyciel nie rozumie pytania, „Nie mamy tu niczego takiego. Mamy wielbłąda, kozę, krowę”. Niewzruszony porucznik ripostuje, „To ile za kilogram wielbłąda?” Pada odpowiedź: 5000 franków CFA (7,60 euro). Cena wydaje mu się wygórowana. „Ale to uczciwa cena, w wielbłądzie są też lekarstwa”, zapewnia Malijsczyk.

Ten dialog ślepego z głuchym stanowi jedynie wstęp do gorącej dyskusji o potrzebach miejscowej ludności. Mieszkańcy wioski jednomyślnie wzywają do wykopania studni. Porucznik obiecuje napisać raport w tej sprawie, sugeruje jednak, że w zamian za to chce otrzymać dodatkowe informacje na temat wroga. Jego rozmówca nie bardzo wie, jak mu pomóc: pląga się tu bandyci i złodzieje bydła. Żadnych dziadactw. „To się nigdy nie skończy”, żali się jeden z mieszkańców. „Francuzi, Estończycy, Holendrzy,

Niemcy... przyjeżdżają tu co tydzień. Pytają, czego nam potrzeba. Ale nic nigdy nie robią.”

Estońscy podwykonawcy

Ta scena może wydawać się całkiem rutynowym działaniem prowadzonym w ramach operacji „Barchan” czy w życiu biorących w niej udział 5 tys. żołnierzy – mężczyzn i kobiet, wplątanych w wojnę w Sahelu. Jest tylko jeden dodatkowy szczegół: patrolujący tę osadę żołnierze nie są Francuzami, ale Estończykami. Od marca 2018 r. pod francuską flagą rozmieszczono tutaj oddział piechoty liczący około 50 żołnierzy z prestiżowego batalionu Eesti Scouts. Zatrudniono ich do ochrony olbrzymiej bazy wojskowej Gao, a teren ich działań rozciąga się w promieniu około 20 kilometrów. Kilku z nich zostało rannych w lipcu 2019 r. w wyniku samobójczego zamachu. Tallin jednak, pozujący na niezachwianego sojusznika Paryża, obiecał podwoić liczebność swojego oddziału w Sahelu: w grudniu tamtejszy parlament wyraził zgodę na podwyższenie kontyngentu do 175 osób.

Co takiego porabiają Estończycy w głębi Mali? Dla małego bałtyckiego państwa zagrożenie militarne płynie przecież ze wschodu, gdzie przeży swe muskuły Rosja. Argo Sibul, dowódca oddziału w Gao, przyznaje, że dopiero poznaje ten teren. „Już w 2014 r. wysłaliśmy wraz z Francuzami nasz pododdział do Republiki Środkowoafrykańskiej. Ale takie zacieśnienie współpracy jest dla nas czymś nowym”. Widzi w tym jednak okazję do wymienia się dobrymi praktykami, wykraczającymi daleko poza Mali: „Obecność tutaj nie jest bezpośrednio związana z obroną naszego kraju. Niektóre jednostki odpowiedzialne są za zapewnienie bezpieczeństwa tutejszym mieszkańcom,

a pozostałe bronią naszego kraju w ramach inicjatywy Wzmocnionej Wysuniętej Obecności NATO”.

Wysunięta Wzmocniona Obecność (Enhanced Forward Presence, eFP) to mechanizm uruchomiony w Europie Wschodniej przez Organizację Traktatu Północnoatlantyckiego (NATO) podczas szczytu w Warszawie w 2016 r. Nawet jeśli Estończycy unikają na ogół nazwania rzeczy po imieniu, stanowi on przykład tzw. dyplomacji wymiennej: w zamian za zaangażowanie oddziału 300 Francuzów i ich czołgów Leclerc w ramach eFP, Tallin zgodził się na wzięcie udziału w operacji „Barchan”. Oficjalnie nazywa się to jednak częściej „solidarnością”. Północnoafrykańskie ugrupowania zbrojne „nie stanowią bezpośredniego zagrożenia dla Estonii”, przyznaje estońska podsekretarz obrony Kadi Silde w jednym z e-maili. „W pełni świadomi jesteśmy jednak zagrożenia, jakie stanowią one bezpośrednio dla naszych europejskich sojuszników i współobywateli ich państw. [...] W geście takiej samej solidarności, gdy Rosja dokonuje zamachu na nasze demokratyczne wartości, podejmuje agresywne działania i narusza naszą przestrzeń powietrzną, Francja wraz z pozostałymi naszymi sojusznikami staje u boku Estonii, gotowa chronić nas przed tym zagrożeniem”.

Zdaniem generała Riho Terrasa, eurodeputowanego z ramienia Europejskiej Partii Ludowej (EPL) dowodzącego od początku siłami rozlokowanymi przez jego kraj w Afryce w 2018 r., chodzi również o podniesienie jej wartości w oczach ich najpotężniejszych zachodnich partnerów. „Chcemy w ten sposób pokazać nasze zaangażowanie w Sojusz [Atlantycki]” – jak wyjaśnia. „To samo robiliśmy u boku Amerykanów w Iraku i Brytyjczyków w Afganistanie.” Dla Estonii udział w operacjach fran-

cuskich czy NATO-wskich oznacza to samo.

Instruktorzy, specjaliści wywiadu, wsparcie logistyczne

50 żołnierzy obecnych w Gao nie narusza zasadniczo równowagi sił na tym terenie. Ale francuskiemu dowództwu pozwala to na przerzucenie części własnych żołnierzy bezpośrednio na front działań zbrojnych. Ze swojej strony Brytyjczycy i Duńczycy udostępnili odpowiednio trzy śmigłowce Chinook od 2018 r. i dwa Merliny w 2019 r. Francuska armia nie dysponuje tak ciężkim sprzętem, a ten umożliwia transport większych ilości ładunku i żołnierzy w pobliże pola walki.

Choć wkład ten jest niezwykle cenny, to wciąż za mało dla Paryża, zdeterminowanego, by przekonać Europejczyków do wysłania kolejnych posiłków. „Co nieustannie powtarzam ambasadorom – oświadczam nam w N’Djamenie generał dywizji Marc Conruyt, dowódca operacji „Barchan” – w skali każdego z krajów i całej Europy wydawać by się mogło, że dwa helikoptery to niezbyt wiele. Ale dla mnie to ogromne, zbytne obciążenie. Jeśli chcecie nam pomóc, pomóżcie nam w tym zakresie”.

Kiedy więc tylko nadarza się sposobność, Francuzi biorą swoich sojuszników pod włos. Najmniejsze choćby wsparcie witane jest z radością i wdzięcznością. Generał Conruyt nie szczędzi wyrazów uznania Estończykom, Brytyjczykom i Duńczykom obecnym już na miejscu. „Z ogromnym podziwem przyglądam się temu, jak znakomicie współpracują z nami kontyngenty z tych trzech krajów”, zapewnia. „Są naprawdę gotowe z własnej woli śpieszyć z pomocą. Zawsze chcą robić więcej. Gdyby tylko mogły, robiłyby więcej niż wymagają od nich warunki ich zaangażowania określone przez ich zwierzchników, tylko po to, by pomóc swoim francuskim towarzyszom broni i jak najlepiej odegrać swoją rolę w tych operacjach.”

Kiedy zaczynamy zagłębiać się w szczegóły, okazuje się, że każdy kraj rzeczywiście nakłada pewne ograniczenia, zawężające swobodę działania francuskiego dowództwa. Londyn np. zakazuje swoim ciężkim helikopterom bezpośredniego udziału w walkach. Jego lotnicy muszą bezwzględnie unikać narażania własnych ludzi i sprzętu na niebezpieczeństwo. Gdy pojawia się ryzyko wymiany ognia, do gry wkraczają Duńczycy. Ci mają pozwolenie na zbliżenie się do frontu działań, ale tylko w ciągu dnia. Katastrofa jednego z ich samolotów w Afganistanie w 2014 r. pokazała bowiem, że ich załogi w niedostatecznym stopniu opanowały nocne manewry. Dlatego Francuzi

* Dziennikarz, doktor nauk o informacji i komunikacji, autor książki *Marchands d'armes. Enquête sur un business français*, Tallandier, Paryż 2017.

muszą żonglować tymi wszystkimi ograniczeniami. Nocą do działań angażuje się Brytyjczyków. W pobliżu stref działań zbrojnych do lotów zatrudnia się Duńczyków. Gdy zapada noc i zachodzi ryzyko bezpośredniego starcia, trzeba sobie radzić samemu.

Stopniowe tworzenie nowego oddziału sił specjalnych, nazwanego Task Force Takuba, zmienia nieco sytuację: tym razem europejscy żołnierze wcieleni w szeregi francuskiej armii posłani zostaną u ich boku na pierwszą linię frontu. Inicjatywa ta, zaproponowana przez Francję na szczycie w Pau w styczniu 2020 r., ma na celu wzmocnienie i skoordynowanie międzynarodowych działań wojskowych w Sahelu. Wyżsi rangą francuscy oficerowie operacji „Barchan” nadzorować będą operacje wojskowe. Koncepcja ta, początkowo budząca pewien sceptycyzm, przekonała ostatecznie jednak nie tylko Estonię, ale również Szwecję, Republikę Czeską, a od niedawna także Grecję. Mówi się, że oficerom francuskich sił specjalnych udało się przekonać swoich kolegów do tego, że Sahel zapewni im szczególnie szerokie pole manewru. Ci z kolei mieliby przekonać do tego swoich zwierzchników. Szczegółowe ustalenia liczbowe wymagają jeszcze doprecyzowania, ale wspomina się o 500 żołnierzach i kilku dodatkowych helikopterach.

Przedmiot troski wszystkich Europejczyków

Od N’Djameny po Gao, od Niamey po Menaka (w regionie Gao), siły specjalne, mimo starań o zachowanie jak największej dyskrecji, są coraz bardziej widoczne w bazach. Gdzieniedzie pojawiają się pojazdy, z których tylko oni korzystają. Tu i ówdzie odznaki i inne drobne przedmioty w barwach szwedzkiej armii, która przysłała garstkę swoich oficerów do zbadania pracy lądowiska dla helikopterów, które miało przyjąć Black Hawki. „Prawdziwy postęp polega na tym, że zgadzają się oni pełnić znacznie bardziej eksponowane funkcje” – jak zdradza nam, pod warunkiem zachowania anonimowości, jeden z doradców pani minister sił zbrojnych Florence Parly. „To skok jakościowy i ilościowy, który udało się osiągnąć na szczycie w Pau. Przeświadczenie, że bezpieczeństwo w Sahelu powinno być przedmiotem troski wszystkich Europejczyków, zaczęło w końcu zyskiwać powszechne uznanie.”

W rzeczywistości region ten od dawna budzi zaniepokojenie w części stolic Starego Kontynentu. „Stacjonujemy tam od 2013 r.”, twierdzi np. szwedzki minister obrony Peter Hultqvist. „W ramach Szkoleniowej Misji Unii Europejskiej w Mali [EUTM] oraz MINUS-



FREDÉRIC PÉTRY, FRANCUSKA BAZA WOJSKOWA W GAO, MALI, CZERWIEC 2019

MA [Wielowymiarowej Zintegrowanej Misji Stabilizacyjnej Narodów Zjednoczonych w Mali] w Timbuktu, gdzie dysponujemy jednostką wywiadowczą.” Niemcy, Niderlandy, Hiszpania, Polska, Republika Czeska, Wielka Brytania i Włochy również wysłały swoich instruktorów, specjalistów ds. wywiadu i zapewniły wsparcie logistyczne w ramach obu tych międzynarodowych operacji.

Zainicjowana w 2013 r. na wniosek rządu malijskiego i zatwierdzona przez Radę Bezpieczeństwa ONZ misja EUTM realizowana jest w ramach Wspólnej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony Unii Europejskiej (WPBiO). Podlega ona bezpośrednio ministrom rządów 27 krajów Unii oraz wysokiemu przedstawicielowi do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, piastującemu obecnie tę funkcję Josepowi Borrellowi. Życzące sobie tego państwa członkowskie mogą wysłać swoich specjalistów wojskowych, których zadaniem jest doradztwo i szkolenie malijskich sił zbrojnych. Po burzliwej debacie na temat zasad zaangażowania wojskowego w marcu 2016 r. ministrowie zgodzili się co do tego, by europejscy instruktorzy towarzyszyli miejscowym oddziałom aż do granicy koszar w Gao i Timbuktu, ale nie mogą oni być obecni na terenie działań zbrojnych ani w nich uczestniczyć. Siły pokojowe MINUSMA z kolei koncentrują się na ochronie ludności cywilnej i wspieraniu procesów pokojowych.

Znaczenie tych starań Francuzi w pełni doceniają i sami w nich uczestniczą. Paryż skądinąd wnosi największy wkład finansowy do EUTM. Niemniej operacja „Barchan” różni się znacznie od tych misji międzynarodowych, w jej ramach bowiem ściga się wroga i ściera z nim w najbardziej odległych

rejonach. Strategia ta zaś nie jest pozbawiona pewnych ograniczeń.

Zaangażowanie sił europejskich tłumaczy częściowo decyzja byłego prezydenta USA Donalda Trumpa o wycofaniu wojsk północnoamerykańskich z Iraku i Afganistanu, a następnie wojsk Sojuszu Atlantyckiego, który stara się zająć jak najkorzystniejszą dla siebie pozycję w obliczu wahań jego następcy Josepha Bidena. Taka strategia bowiem uwolniłaby jego oddziały od konieczności prowadzenia nowych działań zbrojnych. W grudniu 2020 r. Belgia ogłosiła, że w 2021 r. operację „Barchan” wzmocni jej kontyngent złożony 250 żołnierzów – taką samą ich liczbę, jaka ma opuścić Afganistan. Chociaż Parlament Europejski musi jeszcze zatwierdzić tę decyzję, szef wydziału operacyjnego i szkolenia w sztabie generalnym, admirał Wim Robberecht, podtrzymuje takie stanowisko: „Nasze zasoby są ograniczone. Jeśli uszczuplimy nasze siły w Afganistanie, pozwoli to nam na zaproponować rządowi nowe inicjatywy”.

Sposób na walkę z oskarżeniami o imperializm

Nawet w przypadku krajów, które zamiast polować na terrorystów wolą inwestować w rozwój, pójsie w ogień okazuje się niezbędne, jeśli zależy im na zachowaniu wysokiego poziomu umiejętności technicznych i na wyszkoleniu się we współpracy między sojusznikami w wielonarodowym otoczeniu. Pomoże też w zaprawieniu ich wojsk w bezpośrednich starciach. W tym właśnie zamiarze Dania posłała swoje helikoptery o dużej ładowności, najpierw do Afganistanu w 2014 r., a następnie do Sahelu. Wycofano je z Afryki dopiero pod koniec 2020 r. z myślą o ewentualnym ich rozmieszczeniu w Iraku. Takie krótkie, jednoroczne misje po-

zwalają na zgromadzenie doświadczeń bez angażowania się w poszukiwanie rozwiązań politycznych i strategicznych na danym obszarze konfliktu.

Francuskie wojsko zazwyczaj nie zbyt chętnie angażuje się w zbyt wymagające operacje międzynarodowe. W 2013 r. nie kryło jednak dumy, że prawie samodzielnie udało mu się przeprowadzić operację „Serwal”. Konfliktu tego nie udało się jednak zażegnać i nie ma realnych szans ani na zwycięstwo, ani na jego zakończenie. „To była wojna François’a Hollande’a”, uważa Élie Tenenbaum, badacz z Francuskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (IFRI). „Za Emmanuela Macrona w Pałacu Elizejskim zwyciężyła niecierpliwość. W latach 2017-2018 pojawił się również pomysł wykorzystania Sahelu jako poligonu dla tego, czym stać się powinna nowa europejska polityka obronna.”

W czerwcu 2018 r. Paryż wdrożył Europejską Inicjatywę Interwencyjną (EII). Do przeprowadzenia wspólnych operacji wojskowych nie wymaga już ona poddawania się uchodzącym za nazbyt uciążliwe procedurom w ramach WPBiO, wystarczy zgoda gotowych na udział w niej państw. EII obejmuje obecnie Niemcy, Belgię, Danię, Hiszpanię, Estonię, Francję, Finlandię, Włochy, Norwegię, Holandię, Portugalię, Szwecję oraz Wielką Brytanię, przy czym Brexit nie zmienił zobowiązań w zakresie obrony.

Umiedzynarodowienie interwencji w Sahelu pozwala zatem Francji odrzucić oskarżenia o imperializm. Nawet jeśli żadne spotkanie, nawet na szczeblu lokalnym, nie może się odbyć bez udziału przedstawiciela dowództwa operacji „Barchan”.

tłum. Sławomir Królak

SKRAJNA PRAWICA POGODZIŁA SIĘ Z BRUKSELA

Włochy, europejskie laboratorium polityczne

Kiedy kilka lat temu skrajnie prawicowa Liga stała się jedną z czołowych włoskich partii politycznych, ostro atakowała Unię Europejską i politykę oszczędnościową. W lutym br. dołączyła jednak do rządu Mario Dragiego, byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego. Jak wyjaśnić taki zwrot?

STEFANO PALOMBARINI*

Około 10 lat po Mario Montim i jego rządzie technokratów inny były dyrektor Goldman Sachs przeniósł się właśnie do Pałacu Chigi. Podobnie jak jego poprzednik i podobnie jak Emmanuel Macron podczas francuskiej kampanii prezydenckiej w 2017 r., Mario Draghi twierdzi, że pokonuje przepaść, dzielącą prawicą i lewicą – wznosi się ponad podziałami i przynosi oświeconą wizję eksperta, a faktycznie trzyma się ściśle ram wyznaczonych przez Brukselę: ortodoksji budżetowej i neoliberalizmu. Byłemu prezesowi Europejskiego Banku Centralnego (EBC) udało się zgromadzić wokół siebie wszystkie partie włoskie, od lewicy do skrajnej prawicy, w tym te, które dawniej prosperowały politycznie na swoim sprzeciwie wobec takiego programu.

Uzyskał poparcie Ruchu 5 Gwiazd (M5S) i Ligi – dwóch partii, które trzy lata wcześniej wygrały wybory parlamentarne, obiecując zerwać z oszczędnościami i sprzeciwiać się europejskim dyktatom. Fakt zasiadania w rządzie Dragiego skrajnie prawicowych ministrów nie poruszył zbyt wielu osób ani w ministerstwach spraw zagranicznych państw europejskich, ani w mediach, w których tę koalicję narodową daje się za wzór zdrowego rozsądku. Nikt nie obraził się również na tę szczególną demokrację włoską, w której wyborcy mogą w marcu 2018 r. głosować w przeważającej mierze przeciwko narzuconej przez Brukselę polityce oszczędnościowej, a następnie, nawet bez ponownych wyborów, tworzy się w lutym 2021 r. rząd, zapowiadający taką samą politykę, przeciwko której głosowali. Historia tego

odwrócenia to dramat polityczny w trzech aktach.

„Blok mieszczański”

Akt I, sierpień 2011 r. Zaraz po powołaniu Mario Dragiego na stanowisko prezesa EBC wystosował on list do Silvio Berlusconi, szefa rządu włoskiego. Przedstawił w nim posunięcia niezbędne do uzyskania pomocy banku: cięcia wydatków publicznych i emerytur, liberalizację w sektorze usług, zmianę przepisów dotyczących zwolnień z pracy, obniżenie wynagrodzeń pracowników sfery budżetowej. Prezes włoskiej rady ministrów nie mógł sobie pozwolić na sprzeciw, ponieważ bez pomocy EBC wzrosłyby stopy zadłużenia, a sytuacja szybko stałaby się nie do utrzymania. Prawicowa większość była jednak zbyt podzielona na to, aby zaangażować się w realizację takiego programu. Trzy miesiące po liście Dragiego proponowany przez Berlusconi budżet przyjął parlament, a pałeczkę u steru rządów przejął Monti, „ekspert” bez etykiety politycznej.

Zaczął się okres, który trwał 7 lat i podczas którego Włochy miały 4 premierów: po Montim byli nimi kolejno Enrico Letta, Matteo Renzi i Paolo Gentiloni. Działania tych rządów, w całości skupione na reformach instytucjonalnych o inspiracji neoliberalnej, opierały się na porozumieniu między Partią Demokratyczną (centrolewicą, wywodzącą się z prawego skrzydła dawnej Włoskiej Partii Komunistycznej) a prawicą Berlusconi. Poparcia udzielały klasy zamożne i znaczna część klas średnich, dokonując osobliwego przewrótka przynależności politycznej, opartej na podziale na prawicę i lewicę: był to „blok mieszczański” [1] – koalicja społeczna podobna do tej, którą kilka lat później Macron stworzył we Francji.

Akt II: partie, które postępowały zgodnie z planem działania EBC, surowo ukarano w wyborach parlamentarnych. „Blok mieszczański” upadł, gdyż nie tylko nie był w stanie rozszerzyć swojego zaplecza wyborczego – uzyskać poparcia znacznej części klas ludowych – ale co więcej nie zdołał utrzymać poparcia klas średnich, które teraz od niego się zdystansowały. Forza Italia, partia Berlusconi, i Partia Demokratyczna, które 9 lat wcześniej uzyskały 70% głosów, teraz uzyskały tylko 32%. Jednocześnie ci, którzy byli w opozycji, osiągnęli teraz niezwykle wyniki. Liga Matteo Salvini stała się główną siłą prawicy i skrajnej prawicy, a M5S – partią wiodącą: padła na nią prawie jedna trzecia głosów.

Bankier jako mąż opatrnościowy

Akt III, luty 2021. Chociaż równowaga w parlamencie nie zmieniła się od czasu wyborów w marcu 2018 r., konieczne okazało się powołanie kolejnego rządu. Dwa poprzednie – jeden oparty na sojuszu Ligi z M5S, a drugi na sojuszu M5S z Partią Demokratyczną – utrzymywały się każdy nieco ponad rok. Teraz Draghiemu, temu samemu, który w swoim czasie sporządził w swoim liście do Berlusconi brewiarz dla „bloku mieszczańskiego”, przypadło zadanie utworzenia rządu. W sposób, który może wydawać się zaskakujący, były bankier stał się mile widzianym mężem opatrnościowym w oczach nie tylko partii, które wdrażając jego program poniosły kiedyś klęskę wyborczą, ale także partii, które sprzeciwiając się temu programowi zmajoryzowały scenę polityczną [2].

Draghi mnożył sygnały, które nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że jest gotowy do powrotu na ścieżkę reformy neoliberalnej. Na swojego doradcę ekonomicznego wybrał Francesco Giavazziego, a ten był już jednym z „ekspertów” powołanych przez rząd Montiego w celu określenia wydatków publicznych, które należało obciążyć [3]. W swoim pierwszym przemówieniu, wygłoszonym w Senacie 17 lutego, Draghi powiedział, że wkrótce ogłosi nowe reformy. Celem będzie wzmocnienie konkurencji, „uproszczenie” systemu fiskalnego, obniżenie podatków, zwiększenie wydajności administracji (tzn. zwolnienia) i promowanie powstawania badań-

czych ośrodków doskonałości. Przede wszystkim jednak zapowiedział, że wykorzystanie pomocy, którą Włochy uzyskają w ramach pakietu Next Generation EU, wspierającego odbudowę Unii Europejskiej po pandemii Covid-19, będzie selektywne i uznaniowe. Pomoc ta nie będzie wyglądała jak deszcz pieniędzy, wbrew temu, jak przedstawiają ją media, które piszą o kwocie ponad 200 mld euro. Ta wymyślna z premedytacją liczba wynika ze zsumowania dotacji pochodzącej z funduszu, który Włochy będą musiały pokryć w taki sam sposób jak inne kraje UE, oraz pożyczek, które Komisja Europejska będzie mogła udzielić w swoim imieniu, umożliwiając Włochom płacenie odsetek niższych niż gdyby miały one zadłużyć się bezpośrednio.

Unijne środki pomocowe

W rzeczywistości pomoc wyniesie w najlepszym razie 66 mld euro, rozłożonych na 6 lat [4]: 11 mld rocznie, czyli mniej niż 0,7% PKB, który w 2020 r. spadł o prawie 9%. Jest to zatem skromna pomoc, nijak mająca się do skali recesji gospodarczej; nie pozwoli na istotne ożywienie działalności gospodarczej. Wykorzystanie dotacji i wszelkie pożyczki będą ściśle obwarowane planem, który musi być negocjowany z instytucjami europejskimi. W swoim wystąpieniu w Senacie nowy prezes rady ministrów jasno dał do zrozumienia, że negocjacje nie będą skomplikowane: jego koncepcja „skutecznego” wykorzystania pomocy zbiega się pod każdym względem z koncepcją Komisji Europejskiej. Pieniądze z UE przede wszystkim trafią do przedsiębiorstw.

W przypadku gospodarstw domowych, które historyczny spadek produkcji wtrącił w ubóstwo, Draghi powołał się jedynie na zwykłą neoliberalną perspektywę „aktywnej polityki zatrudnienia”, która będzie polegała na „wzmocnieniu szkoleń dla pracowników i bezrobotnych”. Zadbaj jednak również o to, aby wyjaśnić, że wśród masy przedsiębiorstw, które poszkodował spadek działalności gospodarczej, jego rząd będzie rozróżniał między przedsiębiorstwami skazanymi na upadłość a tymi, które zachowają zdolność konkurencyjną i innowacyjną: tylko te ostatnie skorzystają z planu naprawczego.

Pod pozorem napędzania transformacji cyfrowej i ekologicznej rząd przygotowuje w ten sposób głęboką reformę włoskiego kapitalizmu. Nie przejdzie ona przez żadne ustawodawstwo i będzie polegała na wyczyszczeniu struktury produkcyjnej z przedsiębiorstw zatrudniających nisko wykwalifikowanych pracowników, zbyt zorientowanych na rynek wewnętrzny lub zmuszonych do układania się z uważanymi za nadmiernie konfliktowe związkami zawodowymi.

* Wykładowca na VIII Uniwersytecie Paryskim.

Zatem (tymczasowy) finał trzyaktowego dramatu jest następujący: strategia, która kierowała włoską polityką w latach 2011-2018, w dużej mierze odrzucona w ostatnich wyborach, powraca bez nowych wyborów parlamentarnych przy dźwiękach fanfar z niemal jednogłośnym poparciem parlamentu.

Komuniści poszli za Blair'em

Aby wyjaśnić ten ekstrawagancki finał, należy cofnąć się o 30 lat. Na początku lat 90. Włochy przestały być najbardziej ustabilizowanym politycznie państwem spośród demokracji liberalnych. Chrześcijańska demokracja, centrowy filar wszystkich bez wyjątku rządów od 1948 r., upadła i znikła z powierzchni ziemi, podobnie jak partie, które były jej sojusznikami. Zgodnie z powszechnym wówczas poglądem było to konsekwencją dochodzeń w sprawie korupcji, które miały przynieść zbawienną odnowę klasy politycznej. Okazało się jednak, że kryzys jest znacznie głębszy. Wynikał on z zerwania specyficznego kompromisu społecznego, opartego co najmniej od końca lat 70. na wzroście zadłużenia publicznego i penalizacji klas pracowników najemnych [5].

W tym samym czasie, po upadku muru berlińskiego w 1989 r., Włoska Partia Komunistyczna, która, skazana dotychczas na działalność opozycyjną, od dawna była główną formacją komunistyczną w Europie Zachodniej, weszła w fazę rewizji doktrynalnej. Doszło do serii zmian nazwy tej partii i stopniowo wiązała się ona z teoretyzowaną przez socjologa Anthony'ego Giddensa „trzecią drogą” [6], którą w sferze politycznej poszli Anthony Blair w Wielkiej Brytanii i William Clinton w Stanach Zjednoczonych.

Na początku lat 90. była próba budowa demokracji przemiennej – takiej, w której raz rządzą jedne partie, a innym razem inne. Jej historia to opowieść o porażce. Koalicja społeczna, która popierała prawicę, była od samego początku podzielona. Z jednej strony składały się na nią środowiska związane na północy kraju z małymi i średnimi przedsiębiorstwami oraz sprzyjające reformom neoliberalnym i procesowi integracji europejskiej. Z drugiej strony były to klasy pracujące i prekariat, bardziej obecne w centrum i na południu kraju i cierpiące z powodu oszczędności narzuconych przez traktaty europejskie.

Dwubiegunowy system

Równie hipotetyczne było istnienie bloku społecznego, zdolnego wspierać centrolewicę. „Trzecia droga” dawała priorytet równości szans, a nie równości warunków życia i opierała się na ślepej wierze w korzyści płynące z wolnego rynku.

Głównym skutkiem odnowy lewicy, polegającej na akceptacji zasad „trzeciej drogi”, było jej odsunięcie się od ludowego bloku klas pracowników najemnych. Sprzeczności, które podminowały obie koalicje społeczne, doprowadziły do porażki wszystkich kolejnych rządów w latach 1994-2011, często osłabionych wewnętrznymi sporami i systematycznie przegrywających wybory pod koniec swoich kadencji. Tak było do końca czwartego rządu Berlusconi, który stracił poparcie większości parlamentarnej w listopadzie 2011 r.

W tym czasie narastała świadomość trudności utrzymania dwubiegunowego systemu politycznego. W Partii Demokratycznej linia blairystowska miała zdecydowanie większościowe poparcie: oczekiwania robotników postrzegano w tej partii jako przeszkodę, stojącą na drodze do modernizacji gospodarki. Doszło do konwergencji z neoliberalnym odłamek prawicy, torującej drogę do doświadczenia „bloku mieszczańskiego”. Tak więc blok ten nie tylko odpowiadał strategii, mającej na celu zawarcie pewnego szczególnego sojuszu społecznego, w którym klasa średnia i wyższa, wcześniej podzielone na lewicę i prawicę, połączyły się, aby wspierać reformy neoliberalne: był to również kulturowy i ideologiczny projekt całkowitej restrukturyzacji przestrzeni politycznej. Projekt taki realizowano w wielu państwach, lecz to we Włoszech odniósł on pełny sukces.

W kraju tym podmioty polityczne nie sytuują się oraz oczekiwania elektoratu nie organizują się już wokół polaryzacji na lewicę i prawicę, lecz czynią to w przestrzeni zdefiniowanej przez podziały na zwolenników Europy i nacjonalistów, na kosmopolitów i tożsamościowców, federalistów i suwerenistów. Konsekwentnie prowadzona kampania medialna oddziela od siebie „odpowiedzialne” programy polityczne (tj. zgodne z wymogami transformacji neoliberalnej) i stanowiska „populistyczne” (etykieta ta jest zarezerwowana dla wszystkich, którzy sprzeciwiają się tym programom).

Ponad lewicą i prawicą

Wybory parlamentarne, które w marcu 2018 r. wygrały Ruch 5 Gwiazd i Liga, oznaczały zarówno porażkę wyborczą „bloku mieszczańskiego”, jak i konsolidację jego hegemonii, co przekładało się na zdolność do kierowania strategią jego przeciwników. W związku z wyborami Liga nadała sobie wizerunek partii (pozornie) wrogo nastawionej do euro i nacjonalistycznej, a M5S wystąpił przeciwko „kaście” tych, którzy na różnych szczeblach piastują stanowiska z wyboru, i przeciwko uprzywilejowanym „elitom”:



oba ruchy twierdziły, że funkcjonują w przestrzeni politycznej poza prawicą i lewicą, co było zgodne z wizerunkiem, który nadał sobie wcześniej „blok mieszczański”.

Na jednym z biegunów, kształtujących tę przestrzeń, znajduje się stosunkowo jednorodny sojusz, który prezentuje się jako otwarty, proeuropejski, postępowy, a zarazem maskuje centralną przecież w jego projekcie rolę reformy neoliberalnej. Sojusz ten – „blok mieszczański” – reprezentuje jednak mniejszość społeczną. Na przeciwnym biegunie znajduje się niejednorodna większość społeczna, która zmiennie łączy się czy to wokół hasła odrzucenia kasty, czy wokół wrogości wobec euro, czy wreszcie wokół zabarwionych ksenofobią porywów nacjonalistycznych.

Pierwszy rząd Giuseppe Conte, oparty na sojuszu dwóch zwycięzców z 2018 r., pokazał, że trudno jest określić strategię mediacji, która byłaby zdolna przeobrazić tę większość społeczną w zwarty blok. Wcale nie chwalebniejszy los drugiego rządu Conte (Ruch 5 Gwiazd i Partia Demokratyczna) pokazał jednak, że w obliczu układu sił hegemonicznych, który prowadzi do negacji znaczenia podziału na lewicę i prawicę, szanse odbudowy lewicy, nawet w bardzo wpływawej wersji różowej, są bliskie zeru. W przestrzeni zorganizowanej ponad tym podziałem przez ideologię „bloku mieszczańskiego” jedyną spójną strategią polityczną jest zatem... „blok mieszczański”.

Na tym nie koniec

Oto wyjaśnienie zaskakującego finału włoskiego dramatu w trzech aktach – finału, polegającego na społecznie mniejszościowej jedności narodowej, związanej wokół projektu neoliberalnego i proeuropejskiego. Finał ten jest jednak tymczasowy. Będą kolejne akty, a ich aktorami będą klasy poświęcane w toku dotychczasowych i przyszłych reform strukturalnych. W jakich rolach i w jakich formach

wystąpią? Jest za wcześnie, aby odpowiedzieć na to pytanie, podobnie jak jest za wcześnie, aby wiedzieć, czy klasy te będą szukały nowej, demokratycznej drogi po rozczarowaniu, jakie przyniosły im w końcu wybory z 2018 r. Uważały je bowiem za swoje wielkie zwycięstwo, a tymczasem doprowadziło ono ostatecznie do tego, że rządzi Mario Draghi.

Dalszy ciąg tej historii będzie w dużej mierze zależał od zdolności tych, którzy sprzeciwiają się reformom neoliberalnym, do ułożenia w sercu konfliktu politycznego konkretnych skutków tych reform: prekaryzacji stosunków pracy, eksplozji nierówności, redukcji osłon socjalnych, degradacji usług publicznych. Tylko tak będzie można zakwestionować hegemonię „bloku mieszczańskiego”. Również tylko tak będzie można spowodować jego prawdziwą klęskę.

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[1] Zob. B. Amable, E. Guillaud, S. Palombarini, *L'Économie politique du néolibéralisme. Le cas de la France et de l'Italie*, Éditions rue d'Ulm, Paryż 2012.

[2] O strategiach włoskich partii politycznych zob. S. Palombarini, „Avec le gouvernement Draghi, le retour paradoxal du bloc bourgeois”, *Contretemps*, 21 lutego 2021 r., na www.contretemps.eu.

[3] Zob. budujący portret tego włoskiego ekonomisty: L. Zamponi, „Il governo dei Giavazzi”, *Jacobin Italia*, 25 lutego 2021 r., <https://jacobinitalia.it>.

[4] Zob. E. Brancaccio, R. Realfonzo, „Draghi's Plan Needs Less Keynes, More Schumpeter”, *Financial Times*, 12 lutego 2021 r.

[5] Zob. S. Palombarini, *La Rupture du compromis social italien. Un essai de macroéconomie politique*, CNRS Éditions, Paryż 2001.

[6] A. Giddens, *Poza lewicą i prawicą. Przyszłość polityki radykalnej*, Zysk i S-ka, Poznań 2001.

MĄDROŚĆ BAŃKI ZAMIAST WIEDZY O ŚWIECIE

Dziennikarstwo wojen kulturowych

Bycie pośrodku już się nie opłaca. Dawniej karmiąca się reklamową manną prasa umiarkowana celowała w masowego odbiorcę, kusząc go fałszywym obiektywizmem. Teraz mamy nowy przepis. Media kwitną, podsycając wojny kulturowe spolaryzowanych, wojowniczych społeczeństw. Na dobre i złe, pod czujnym, chwilami sekciarskim okiem własnego czytelnika.

PIERRE RIMBERT, SERGE HALIMI

Przejął hurtem media i wydawnictwa (Vivendi, Editis, Prisma), ma chrapkę na Europe 1, tnie personel i koszty, promuje dziennikarstwo natrętne, nastawione na skrajną prawicę (CNews), zaprowadza w redakcjach rządy terroru i grozi pozwem *Le Monde diplomatique*, który bada jego poczynania w Afryce – jeśli szukamy uosobienia zła kapitalizmu medialnego, pierwsze przychodzi na myśl nazwisko Vincenta Bolloré.

Szeroko komentowana w prasie brutalność bretońskiego miliardera nie jest jednak najlepszym wskaźnikiem trendu, który przeorał dziennikarski krajobraz lat 20. Tej wschodzącej siły nie odzwierciedla ani galeria właścicieli, ani lista reklamodawców. Jej przejawem jest skwapliwość, z jaką redakcje przepraszają, kiedy artykuł nie podoba się czytelnikom. Tym nowym filarem gospodarki gazutowej, od dawna uważanym za piąte koło u medialnego wozu, są prenumeratorzy. Ich rosnący wpływ odbija się w sercu redakcji echem niepokojów i podziałów wewnątrz naszych społeczeństw. Jak na razie ruch ten objął tylko kilka tytułów. Ale odzwierciedla głębsze zjawisko.

Wielkie cięcie w mediach

Oczywiście w wielkim monopolu komunikacyjnym własność prywatna zawsze rozdaje karty. Ale nie zaburza już sektora, który od dawna podlega własnej rynkowej logice, wciśnięty we własny mendedżerski gorset – w miarę jak ekrany przejmują coraz łapczywiej nasz czas i proces komunikacji, kurczy się personel produkujący informacje. We Francji liczba dziennikarzy spada w umiarkowanym tempie (o 6% w latach 2008-2019), ale w Stanach Zjednoczonych to już

prawie jedna czwarta. Ta średnia przesłania pewną różnicę: amerykańskie redakcje zamknęły 36 tys. miejsc pracy w prasie drukowanej, tworząc 10 tys. w mediach elektronicznych.

Od dawna zapowiadany system informacyjny dwóch prędkości – bogaty dla bogatych i biedny dla biednych – powstaje na naszych oczach. Odtwarza geografii nierówności edukacyjnych i kulturowych. Prasa lokalna, z uwagi na wiek i przyzwyczajenia czytelników mniej elastyczna w przechodzeniu online, zubaża ofertę, ulega koncentracji lub zamiera, jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie od 2004 r. znikło ponad 2100, tzn. jedna czwarta ogółu dzienników i tygodników, bardzo często zastępowanych siecią zaangażowanych politycznie stron internetowych, które dzięki stylowi dziennikarstwa, klasycznemu układowi graficznemu i zasięgowi terytorialnemu służą jako parawan do rozpowszechniania artykułów finansowanych przez zainteresowane tym partie polityczne. Przetrwanie prasy lokalnej zależało od reklam i ogłoszeń, dwóch źródeł finansowania przejętych przez Facebook i Google, które same nie produkują informacji, tylko kradną je gazetem, którym wcześniej odebrały reklamodawców.

Cena reklamy drukowanej była proporcjonalna do liczby oglądających ją oczu. Zupełnie inne reguły obowiązują w internecie, gdzie ilość odbiorców zastąpiła jakość targetowania. W tej dziedzinie nikt nie dorówna drapieżnikom z Doliny Krzemowej. Ich konkurencja zmusza prasę do sprzedaży przestrzeni cyfrowej za głodowe stawki – od 2000 r. (kiedy Google stworzył swoją sieć) do 2018 r. jej przychody z reklam spadły trzykrotnie. Ostateczny cios zadała jej pandemia. W drugim kwartale 2020 r. za-

mknięcie gospodarki zmniejszyło o 20% dochody z reklam *Le Monde* i o 44% *New York Timesa* (6 sierpnia 2020).

Koniec prasy reklamodawców

To model „ryнку dwustronnego”, zaproponowany w 1836 r. przez Émile’a de Girardina, który z jednej strony kusił klientów niską ceną, a z drugiej sprzedawał czytelników handlowcom chcącym zamieścić swoje reklamy. Taki system oznaczał podwójną zależność: od reklamodawców, kiedy wszystko szło dobrze i od udziałowców, w chudych latach zachęcanych do inwestycji ratujących firmę. Przeżywał swój złoty wiek w latach 60. i 70. XX w., a potem jeszcze lepsze lata w czasie „bańki internetowej”, która pękła w 2000 r. – w redakcji *Libération*, dziennika nafaszerowanego reklamami, dziennikarze śmiali się, że teraz mogą zrezygnować ze sprzedaży. Tak zwane „darmowe” gazety skonkretyzowały tę genialną strategię w 2002 r., zanim znikły w czarnej dziurze gospodarki cyfrowej.

W drugiej połowie XX w. dominacja zasobów reklamowych zmieniła wizję ukazywanego czytelnikom świata społecznego. Jak zauważył profesor dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia Nicholas Lemann, „spadło zainteresowanie mediów światem pracy, przenosząc się z instytucjonalnej siły związków zawodowych na odczuwaną przez konsumentów uciążliwość strajków”. Era reklamy zbiegła się z odczuwalnym wzrostem zarobków, statusu i poziomu wykształcenia ludzi mediów. Kończy się w klimacie niepewności wśród producentów informacji, dyskredytacji mediów i radykalnej nieufności między klasami ludowymi a warstwą intelektualną. Jak poinformowała w styczniu firma kon-

sultingowa, „po raz pierwszy mniej niż połowa Amerykanów ufa mediom głównego nurtu”.

Niespodziewany wybór Donalda Trumpa w 2016 r. rozwił w oczach czytelników *New York Timesa* miraż społeczeństwa rynkowego, spacyfikowanego plusami edukacji i komunikacji. Powstaje nowy model, lepiej dostosowany do reklamowej anemii i realiów podzielonego społeczeństwa – model mediów ultrapartyjnych, masowych lub niszowych, których finansowanie zależy od schlebienia gustom solidnej bazy prenumeratorów.

„O przyszłości! Wizjo wzniosła! Media nie zmierzają ku otchłani”, trawestuje Wiktora Hugo współczesny prenumerator. Wierni prenumeratorzy, kiedyś dla geniuszy internetu, przekonanych, że informacje online będą darmowe lub nie będzie ich wcale, coś spoza ich bajki, po piętnastu latach stają się przedmiotem marzeń i adoracji. Płatne kanały i platformy strumieniowego przesyłu audio/video dowodzą, że w epoce darmowości i powszechnego piractwa użytkownicy skłonni są płacić za usługi, których nie znajdują gdzie indziej.

Dyktatura czytelniczej bańki

W grze polegającej na zamianie internetowego darmozjada w płacącego czytelnika triumfują najpotężniejsze i najbardziej wyspecjalizowane tytuły. Dla urodzonych w epoce druku sukces ekonomiczny to oszczędności na papierze i cięcie kosztów druku i dystrybucji. Na początku tego roku *Le Monde* miał 360 tys. prenumeratorów cyfrowych i planuje dojść do miliona w roku 2025, przy ledwie 100 tys. prenumeratorów papierowych. Z kolei po dekadzie szybkiej cyfryzacji *The New York Times* chwalił



ROBERT MANGOLD, SZARA EUPSA-CZERWONA PANKA, 1989-1990

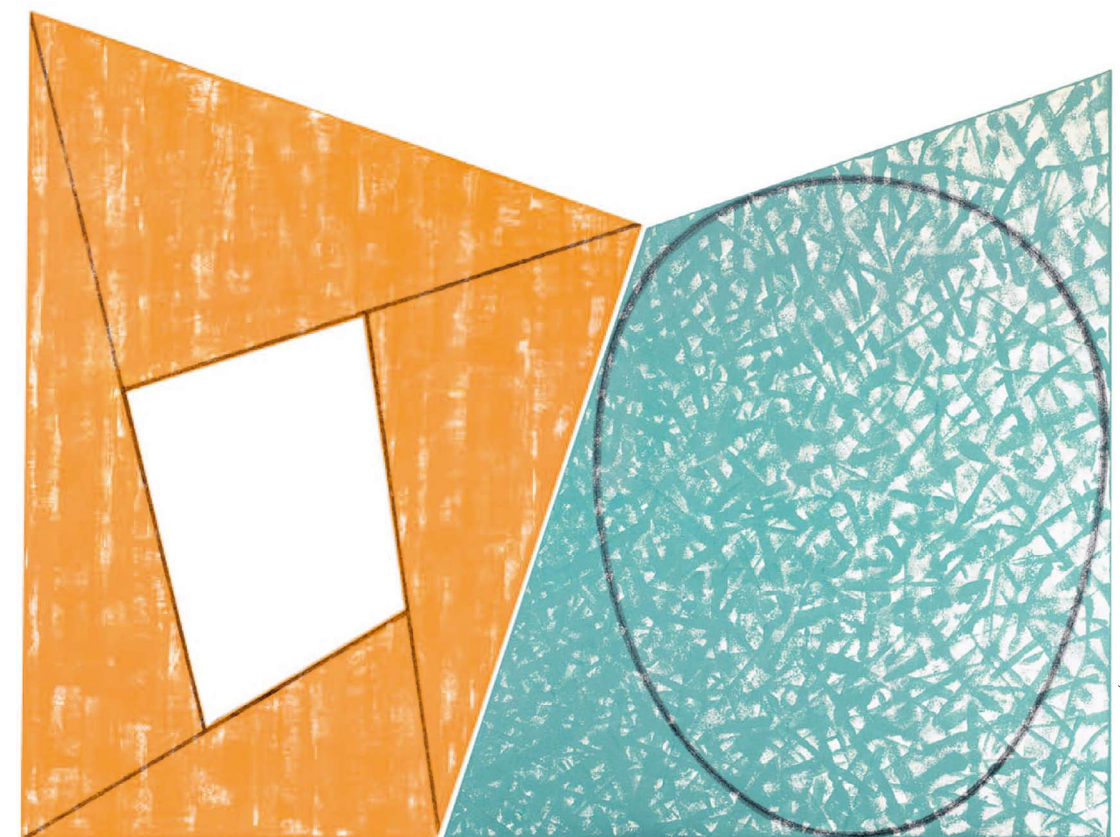
się, że „po raz pierwszy przychody od abonentów cyfrowych przewyższyły papierowe” (5 listopada 2020 r.). Ówczesna proporcja wynosiła 4,7 mln czytelników cyfrowych do ledwie 831 tys. papierowych, ekonomiczne przetrwanie wymagało więc rekrutacji cyfrowej na wszystkich frontach. Zaskakującym podsumowaniem naszych czasów jest to, że producenci papieru gazetowego, m.in. Norske Skog, dostosowują swój park maszynowy do produkcji opakowań kartonowych dla Amazona.

„Przed internetem *The New York Times*, jak inne gazety, zadowalał się służeniem swoim reklamowym panom. Dziś, kiedy wyschły inne źródła – rządowe dotacje i fundacje non-profit – o życiu i śmierci tytułów decydują czytelnicy”, podsumowuje Ross Barkan, dziennikarz i działacz lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej. „A to daje społeczeństwu nową władzę”. Na pierwszy rzut oka to zwrot ku niezależności – czyż abonenci nie domagają się jak najlepszej informacji, a reklamodawcy jedynie dostępu do ich umysłów?

Dawniej czytelnicy, uchodzący za grupę niejednorodną i pozbawioną środków nacisku, rzadko byli w stanie oddziaływać na linię redakcji. Zyskując tożsamość – polityczną we Francji, lokalną w Stanach Zjednoczonych – każdy nowy tytuł gromadził publiczność odpowiadającą jego światopoglądowi. Z kolei redaktorzy prasy „ambitnej” stworzyli sobie na podstawie nadchodzących listów obraz czytelnika: oświeconego liberała, uczulonego na sekciarstwo, zainteresowanego sprawami publicznymi i losami świata, wyrabiającego sobie poglądy wyłącznie na podstawie faktów połączonych rozumowaniem; krótko mówiąc, „uczciwego człowieka”, dla którego lektura codziennej gazety jest, jak to ujął Hegel, „poranną modlitwą realisty”. Dziennikarstwo wymyśliło więc sobie wierny lud, dla którego jest bogiem.

Jak sprzedać podział?

Ten miraż rozwił się. Każde źródło finansowania niesie ryzyko wpływu na linię pisma i model prenumeraty nie jest tu wyjątkiem. W latach 90. i 2000. rosła rozbieżność między coraz większą polaryzacją społeczeństwa a względną jednorodnością mediów głównego nurtu. Szacunki ilościowe wskazują, że udziały w rynku, podobnie jak głosy wyborców, zdobywa się w centrum. Od czasów brexitu i Trumpa elita dziennikarska nauczyła się jednego: zaostrożanie podziałów politycznych – a zwłaszcza kulturowych – gwarantuje zainteresowanie, mobilizuje czytelników i generuje zyski. „Dawniej



ROBERT MANGOLD, FOWAŁCZOWA RAMKA – NIEBESKA ELIPSA, 1988

firmy medialne starały się przyciągnąć jak najszerszą publiczność; teraz pracują nad przechwyceniem i utrzymaniem grup odbiorców – podsumował amerykański dziennikarz Matt Taibbi – W istocie oznacza to, że prasa, kiedyś sprzedająca wizję rzeczywistości, która miała być akceptowalna dla szerokiego grona odbiorców, teraz sprzedaje podział”. *New York Times* nie zwraca się już do „starych” czytelników, którzy nadal widzą w nim samodzielny podmiot redakcyjny w pełnym tego słowa znaczeniu; woli uwodzić „społeczności”, które w sieciach społecznościowych dostają linki do pojedynczych artykułów, odseparowanych od całości wydania, ale ściśle odpowiadających ich oczekiwaniom. Na każdy temat, który je mobilizuje, i każdy błąd, małe grupy reagują lawiną oburzonych tweetów.

Debata oscyluje od uspokajającego konsensusu po zapewniające zyski klótnie, dopasowując się do trybu sieci społecznościowych. Do niedawna charakterystyczny dla Facebooka i Twittera model bańki, przekazującej niestrudzenie użytkownikom to, co chcą przeczytać i usłyszeć, przeniósł się na tradycyjne media, z tą różnicą, że czytelnicy płacą gotówką za informacje, które odpowiadają ich gustom. Dziennikarze przekonani, że Twitter rządzi życiem publicznym – zwłaszcza, że sami przesiadują na nim wiele godzin – łatwo mylą polemiczne wzmożenie, napędzane codzienną falą twittów wylewających się spod klawiatury, z oczekiwaniami setek tysięcy prenumeratorów. Wielu redaktorów,

przestraszonych kolejnymi burzami cyfrowego zgorszenia, woli nie zrażać sobie klikających aktywistów. „Finansowane przez czytelników dziennikarstwo online faworyzuje najbardziej ideologiczne redakcyjne treści: artykuły, które potwierdzają, nie zaś kwestionują, to, co i tak myślą ich czytelnicy”, pisze Lemann. Tak działają kanały informacyjne kablówki.

Według sondażu Pew Research Center z końca 2019 r. 93% respondentów, dla których głównym źródłem informacji politycznych jest Fox News, uważa się za Republikanów. Analogicznie, 95% wybierających MSNBC uważa się za Demokratów, podobnie jak w przypadku prasy papierowej 91% czytelników *New York Timesa*. Dwie przedzielone barierą kulturową i zamknięte w swoich bańkach społeczności uzbrajają swoje przekonania, przekazują je online i przy najmniejszym odstępstwie wzywają ulubione media, by celniej strzelały lub przegnały odszczępieńców.

Twitteryzacja dziennikarstwa

Czy jednak organizujące internetowe polemiki burze tweetów naprawdę wpływają na wytwarzanie informacji? Wiele wyjaśnia czekający na publikację sondaż. Analizując kilka tysięcy „wydarzeń” lansowanych w sieciach społecznościowych i podchwycenych przez media tradycyjne, badacze ustalili, że popularność tematu na Twitterze – mierzona liczbą generowanych tweetów, retweetów i cytatów – decyduje o uwadze, jaką poświęci mu prasa: „Wzrost

liczby tweetów o jeden procent oznacza wzrost liczby artykułów o 8,9%”. Jeszcze wyraźniej widać to w dziennikach, których redaktorów najbardziej podniecają 280-znakowe przekazy.

Dziennikarze znaleźli w tej części narcystycznej, bezwzględnej, kierującej się owczym pędem sieci społecznościowej świat podobny do ich własnego. „Twitter to okno na świat, dlatego niektóre z najbardziej aktywnych kont należą do dziennikarzy”, ogłasza poświęcona „dobrym praktykom” strona grupy założonej przez Jacka Dorsey’a. Oto znakomita egemplifikacja efektu Larsena: dziennikarze najaktywniejsi w sieci społecznościowej, w której grasuje wielu ich kolegów, w swoich felietonach powielają to, co tam znaleźli. Wywodzący się prawie wyłącznie z wykształconego mieszczaństwa (ponad połowa redaktorów *New York Timesa* i *Wall Street Journal* kończyła elitarnie amerykańskie uniwersytety) dziennikarze zapominają, że sam Twitter przyciąga klientelę bardziej wykształconą, zamożną, młodsza, a lewicowa niż większość społeczeństwa. I że samo „okno” ma bardzo mętne szyby, ponieważ 10% najpłodniejszych tweetujących generuje 80% tweetów. „Warto zauważyć, że użytkownicy twittera nie są reprezentatywni dla ogólnej populacji czytelników prasy”, podkreślają autorzy wspomnianej ankiety. Ale jakże miło – a przez jakiś czas jakże opłacalnie – brać swoje odbicie za zwierciadło świata...

tłum. Anastazja Dwulit

OBURZENI I IGNORANCI

Jak Donald Trump i media spustoszyli życie publiczne

Reakcje, które nadal prowokuje inwazja zwolenników Donalda Trumpa na Kapitol w styczniu tego roku, a także jego chęć dalszego dyktowania swoich wyborów Partii Republikańskiej, zdają się wskazywać, że media wciąż są zafascynowane byłym prezydentem.

PIERRE RIMBERT, SERGE HALIMI

Przewrotna gra Trumpa z mediami zatruwała amerykańskie życie polityczne przez ostatnie 5 lat. Przed deregulacją amerykańskie finanse funkcjonowały na zasadzie „3-6-3”: depozyty na poziomie 3%, kredyty na poziomie 6%, o trzeciej po południu gra w golfa... Ten spokojny świat został zniszczony przez „kapitalizm kasynowy”, przynoszący wielkie korzyści, bo sprzyjała temu ówczesna sytuacja gospodarcza. A potem eksplodowały bańki spekulacyjne. Obecny stan amerykańskich mediów przypomina nieco tamtą sytuację. Dla nich „Donald Trump” był żłą złotą, był odpowiednikiem dziesięcioleci finansowego szaleństwa. Klęska byłego prezydenta nie gwarantuje końca gry systemem „martingale”.

Przez długi czas „golfem o trzeciej” amerykańskiego dziennikarstwa były nie tylko reklamy, które go żywiły, ale także obiektywizm, którym się szczyciło. Oparte na faktach, ściśle, bez jawnych uprzedzeń czy przesady, służyło jako wzór dla całego świata. Tłumaczenie artykułów z *New York Timesa*, a nawet publikowanie ich bez tłumaczenia, we Francji uznano za genialny pomysł, robiły to na wypródkę *Le Monde*, *Le Figaro* i *Liberation*. Z pewnością amerykańska prasa była politycznie zaangażowana, ale zasłaniała to zdaniem typu „Jedni mówią to, drudzy tamto”, co skłaniało rozsądnego czytelnika do wiary, że prawda leży pośrodku. Tyle że zarówno „jedni”, jak „drudzy” mieli bardzo podobne zdanie na temat większości aktualnych kwestii: neoliberalnej polityki gospodarczej, zamachów stanu w Ameryce Łacińskiej, wojen na Bliskim Wschodzie.

Niezwykła zgodność mediów w czasie inwazji na Irak w 2003 r., tzn. ich gotowość do potwierdzania zbrodniczych kłamstw administracji Busha – bo robił to zarówno *Washington Post* z lewej i Fox News z prawej strony – wzbudziła pierwsze wąt-

pliwości. „Badamy sprawę, a kiedy przychodzi czas na pisanie, przestajemy używać mózgu i powtarzamy formułki pojawiające się po obu stronach – mówi dziennikarz Ken Silverstein. Boimy się pojawić się z opinią, która spowodowałaby oskarżenie nas o stronniczość [1]. Skutek takiej praktyki: gdy kandydat miał na sumieniu jakieś grzeszki, dobrze wykształcony dziennikarz natychmiast zabezpieczał mu tyły, zamieszczając również informacje zbijające z tropu jego przeciwnika. A potem partycja golfa...

Narodziny dziennikarstwa oporu

Od 2015 r. polityczna kariera Trumpa zapowiadała koniec tego tandetnego obiektywizmu, nagle uznanego za „fałszywą równowagę” lub nawet „środek uspokajający”. Tak narodziło się „dziennikarstwo oporu”. Deklarację tego dziennikarstwa opublikowano 8 sierpnia 2016 r. na pierwszej stronie *New York Timesa*. Artykuł wywołał sensację. Albowiem ustanawiał nowe przykazania: „Jeśli sądzisz, że Donald J. Trump jest demagogiem, który gra na najgorszych rasistowskich i nacjonalistycznych tendencjach narodu, cacka się z antyamerykańskimi dyktatorami i że byłoby wielkim ryzykiem powierzyć mu atomowy przycisk (...), to trzeba odrzucić reguły, które rządziły dziennikarstwem amerykańskim w drugiej połowie XX w. Trzeba zasilić szeregi opozycji. (...) Trump i jego zwolennicy uznają to za niesprawiedliwe, ale dziennikarze, jeśli mają odpowiedzieć przed historią, muszą mówić prawdę swoim czytelnikom” [2]. Dzień po nieoczekiwanej porażce Hillary Clinton *The New York Times* uhonorował szlachetne ambicje nagłówkiem: „Demokraci, studenci i zagraniczni sojusznicy przeciwstawiają się prezydenturze Trumpa”. Krótko mówiąc, nie chodzi już o obserwowanie, relacjonowanie faktów, informowanie o wyniku, ale o uczestnictwo, sygnalizowanie swo-

im czytelnikom – demokratom, studentom, zagranicznym sojusznikom – że rozumiemy ich lęki i że będziemy im towarzyszyć w walce.

Cel wyznaczony, reszta ułoży się sama. Czy miliarder z Nowego Jorku to cyniczny i egoistyczny mitoman? To prawda i przypomina o tym prawie każde zdanie w każdym artykule, bez względu na temat. Wystarczy nadużyć słów: „chęć się”, „przesadzać”, „wygadywać”, „tyrada” czy „kazanie”. A jeśli zwycięstwa Trumpa w 2016 r. nie przypisuje się wyłącznie spiskom Kremla, to winą obarcza się patologię jego wyborców: „Ci, którzy za wszelką cenę chcą zrozumieć zwolenników Trumpa – wyjaśnia reporter *Boston Globe* – w kategoriach jakiejś masowej psychoterapii, nie chcą wiedzieć, że wszyscy zwolennicy Trumpa, niezależnie od tego, czy należą do klasy robotniczej, czy do wyższej klasy średniej, głosowali zgodnie z ich głównym interesem – zachować tożsamość amerykańską, czyli białą, chrześcijańską i heteroseksualną” [3].

Himalaje dezinformacji

Wolimy nie myśleć, jak zdziwić się musiał autor tego artykułu, dowiedziawszy się w listopadzie zeszłego roku, że jedną z nielicznych grup demograficznych, które 4 lata temu rzadziej głosowały na Trumpa, byli biali mężczyźni i że kandydat Republikanów zyskiwał zwłaszcza wśród Czarnych i Latynosów. Terror swoistej ortodoksji uniemożliwiał rozważenie tej hipotezy i zbadanie możliwych przyczyn zjawiska sprzecznego ze wszystkim, co głoszą media. A potem zawsze było coś pilniejszego, bardziej uspokajającego, jak śledztwo w sprawie Ku Klux Klanu i QAnon czy reportaż o neonazistowskim działaczku z Ohio, Tonym Hovaterze (25 listopada 2017 r.). Ale i to bywa groźne: za ujawnienie paru błahych szczegółów z prywatnego życia tego indywiduum, zdradzających jego rasizm i nienawiść do homoseksualistów, *New York Times* musiał nazajutrz przeprosić. Skutkiem tego było „unormalnienie” nazisty w sytuacji, gdy bardziej „świadomi” (*woke*) czytelnicy woleli wiedzieć o nim tylko tyle, że jest nazistą.

Rzadko kiedy „niepokorność” była tak rozleniwiająca, a zarazem dochodowa. Rozleniwiająca, bo doniesienia można było ograniczyć do jednego tematu, Trumpa. Główne amerykańskie media – jak molierow-

ski szarlatan, który na każde pytanie pacjenta odpowiadał „toż mówię, płuca, płuca” – interpretowały pod tym kątem każde wydarzenie, nawet gdy chodziło, powiedzmy, o zapaść włoskiej gospodarki. A że bohater lub cel wymiany ciosów nie był ani skromny, ani szczególnie dyskretny, program – spektakl – był gwarantowany. Jak zauważył znany dziennikarz Michael Massing, w niektóre dni „*The Washington Post* publikował kilkanaście artykułów na temat Trumpa i waszyngtońskiej polityki, i tylko jeden czy dwa o reszcie kraju”. O reszcie świata lepiej nie mówić, chyba że wmieszał się lub był wmieszany sam Trump.

Niezdrowe fiksacje

Niezdrowa fikcja ma pewne zalety. Zdaniem Massinga „pisanie o Trumpie napędzało karierę niektórych akredytowanych przy Białym Domu korespondentów, pozwalając im wystawiać rachunki na dziesiątki tysięcy dolarów za konferencję i zyskać setki tysięcy twitterowych fanów” [4]. Przypadkowy atak Trumpa na jednego z nich był jak kura złotonioska – poszły za tym wielkie kontrakty z wydawcą i stanowisko konsultanta zaoferowane przez jeden z wielu wrogich prezydentowi kanałów. Jim Acosta z Cable News Network (CNN) opublikował bestseller, a Yamiche Alcindor z Public Broadcasting Service (PBS) została komentatorką MSNBC. Aż nadto, by zachęcić oboje do zaostrzenia stanowiska.

Przepadł gdzieś kult precyzji i szacunek dla faktów. Kiedy arcywróg (Trump) kłamał z oszałamiającą nonszalancją, „niepokorni” dziennikarze dotrzymywali mu kroku. Jako że fake news z Białego Domu pochłaniały im każdą chwilę, nie mieli czasu przyjrzeć się własnym zawodowym brakom – odkładają to na potem lub na nigdy. Tymczasem w kategorii codziennych manipulacji eksprezydent, który bez trudu zdystansował wszystkich przeciwników, nie był jedynym zawodnikiem na ringu. Począwszy od zdjęcia jednego z mityngów, zrobione parę godzin przed jego rozpoczęciem, by zasugerować, że nie było tłumów (*The Washington Post*), po takie zredagowanie wypowiedzi ministra sprawiedliwości, by móc mu zarzucić mu, że nie powiedział dokładnie tego, co zostało wycięte (NBC News) – sztuczki zarezerwowane zwykle na czas wojny, na użytek wroga, który zaatakował od wewnątrz.

W dniu, w którym Trump wprowadził się do Białego Domu, *Time* odpalił pierwszy pocisk, donosząc fałszywie, że przed przybyciem nowego gospodarza usunęto popiersie Martina Luthera Kinga. Trump, facet ze stalowymi jajami, wykorzystywał każde potknięcie przeciwnika: „U nich wszystko wygląda źle, bo oni kłamią, a ich newsy są obrzydliwe. Co się stało z uczciwą prasą i dzienni-

karstwem?”. Co począć z mnóstwem dezinformacji i tysiącami godzin paranoicznych doniesień w ramach blisko trzyletniej medialnej młócki o tzw. Russiagate? Z całym szacunkiem dla *The New York Timesa*, wątpliwe, by ta *Watergate* na opak, Pearl Harbor amerykańskiego dziennikarstwa, zasłużyła na szczytne miano wydarzenia „na miarę historii”. Lecz wszystko zależy od jurorów: na kilka miesięcy przed raportem Muelle-
ra, który obalił fundament ich hipotezy, za zbadanie rosyjskiego tropu w kampanii kandydata Republikańców dziennikarze dostali – zamiast oślich uszu – nagrodę Pulitzera [5].

Dziennikarze na śniadanie

Nic nie sprzyja bardziej zapatrzonemu w siebie prezydentowi, który buduje wokół siebie kult jednostki, niż obsesyjna, często nienawistna, uwaga przeciwników. Eufemizmem byłoby powiedzieć, że grał mediami, grał przeciw nim i bawił się nimi. „Wie pani, dlaczego panią atakuję?” – wyznaje pewnego dnia dziennikarce CBS, która nie kryje szczerej nienawiści. „Chcę panią zdyskredytować tak, żeby nikt już nie uwierzył w pani wrogi mi rewelacje.” W dziedzinie *public relations* nowojorski miliarder miał pewne doświadczenie. Jak pisał w książce *The Art of the Deal* (1987), „Prasa zawsze potrzebowała sensacji. Jeśli jesteś choć trochę ekstrawagancki i kontrowersyjny, będą o tobie pisać. Dziennikarze w większości nie przejmują się sensem tego, co mówisz, szukają sensacji”. „Co – dodaje – mogło działać na moją korzyść?”

30 lat później swą pierwszą konferencję prasową w Białym Domu poświęcił w znacznej części oskarżaniu mediów. Dziennikarze uznali z mety, że dla prezydenta to katastrofa, ale zupełnie inne obserwacje praktyczne poczynił konserwatywny komentator: „Byłem na siłowni, gdzie wszyscy oglądali konferencję prasową. Ludzie śmiali się i mówili, że Trump zjada dziennikarzy na śniadanie. Nijak nie rozumieją, co on im robi”. Bloger *Washington Post* spieszy z wyjaśnieniem: „Trump rozumie, że w oczach jego zwolenników media są uosobieniem wszystkiego, czego nienawidzą w amerykańskim społeczeństwie: elit ze wschodniego i zachodniego wybrzeża, absolwentów najlepszych w kraju szkół prywatnych, którzy uważają zwykłych ludzi za głupich i niewykształconych” [6].

Zabetonować poglądy i konflikty

Krótko mówiąc, nienawiść przeciw nienawiści. To wymarzony przepis na zwiększanie nakładów opozycyjnych dzienników, oglądalności kanałów informacyjnych (takich jak Fox News, CNN i MSNBC) i rzeszy subskrybentów konta Trumpa na Twitterze (88 mln w chwili zawieszenia). Demokratyczny prezydent James Carter, którego prasa nie oszczędzała, przyznał, że jego dużo późniejszy

następca obrywał znacznie mocniej: „Media nie wahały się twierdzić, że jest on chory psychicznie. Były surowsze dla Trumpa niż dla jakiegokolwiek prezydenta, którego pamiętam” [7]. Nie tylko chory psychicznie. Parę godzin po wyborze Josepha Bidena czołowy publicysta CNN Anderson Cooper opisuje pokonanego, ale wciąż urzędującego prezydenta jako „przewróconego na grzbiet otyłego żółwia, który macha łapami w palącym słońcu”. Niemal w tym samym czasie w MSNBC historyk Michael Beschloss dzieli się uczuciem ulgi: „Jak wiecie, mamy z żoną dwoje dzieci koło dwudziestki. Przez 3 lata i 10 miesięcy czułem, że są w niebezpieczeństwie. Teraz nie muszę się martwić, że nasi urzędnicy pracują dla obcego rządu. I myślę, że dziś wieczorem zasną spokojnie”.

Równie egzaltowanym tonem przemawiał przeciwny obóz medialny – z pewnością rzadziej w prasie głównego nurtu, częściej zaś w szeregu portali ziejących nienawiścią do Demokratów. 30 marca w Fox News młoda dziennikarka o miękkim sercu zwraca się do swego bohatera: „Panie prezydencie, czy mogę zadać ostatnie pytanie: jak możemy się za pana modlić?”. Kilka tygodni wcześniej, na tym samym kanale, z którego Trump miał wkrótce zostać usunięty, dziennikarz ekonomiczny, nazwany wówczas przez prezydenta „wielkim Lou Dobbssem”, oburzał się, że Stany Zjednoczone tracą czas na wybory: „Zważywszy wszystko, co ten prezydent zrobił i co robi co dzień, to obrzydliwe, że musimy przez to przechodzić. Gdyby Demokraci dostrzegli jego inteligencję, jego dalekowzroczność, jego zdolność do przewodzenia wolnemu światu, nie byłoby głosowania w listopadzie: poddaliby tę grę”.

Obie strony starają się więc zabetonować poglądy, uprzedzenia i animozje zaangażowanej części opinii publicznej, tak by ustawiczny strach przed tym, co może się wydarzyć, uniemożliwiał nawet oddychanie bez swoich mediów, które najmniejsze odstępstwo karzą lawiną oburzonych komentarzy. W *New York Timesie* zalecenia wykonano co do joty, bo wszyscy publicyści gazety nienawidzą golfisty rezydującego obecnie w Mar-a-Lago, w przeciwnym bowiem razie natychmiast wylecieliby z pracy. Jak zauważył w wywiadzie z sierpnia 2018 r. Massing, jeden z nich, Charles Blow, 36 z 42 swoich tegorocznych felietonów poświęcił potępieniu republikańskiego prezydenta. Ostatni opublikowany w tym czasie nosił powściągliwy tytuł „Trump, zdradziecki zdrajca” [8].

Zwracanie się do partyjnej publiczności, prognozowanie jej humorów, ukrywanie tego, co mogłoby jej nie pasować, oraz zbieranie za to hołdów i nagród nie jest typową drogą wszystkich „niepokornych”. Nie zdając sobie z tego sprawy, kraj przewodzący demokratycznemu światu przejmuje od

arabskich dyktatorów pewne techniki manipulacji, o których pisał badacz Peter Harling: „Inwestują w podziały i zaostrzają je, wyszukując kolejne konflikty. Radykalizując część społeczeństwa, okopują się w innej, unikając wszelkich konstruktywnych programów, a strach przed tymi, którzy mogliby ich zastąpić, wystarczy do utrzymania władzy” [9].

Media moralnej paniki

Typowy repertuar mediów społecznościowych dopełnia ten mechanizm: ciągłe oburzenie i rozgoryczowanie; składanie wszystkich skrywanych lęków na karb jakiegoś wszechobecnego zła; momentalne przechodzenie z jednej fazy paniki do następnej, bez wyjaśnienia, dlaczego to, co najgorsze, nigdy w końcu nie nadchodzi. Te komponenty niemal gwarantują, że wspólnoty i odruchy solidarności organizują się wokół sprzecznych lęków i paranoi. Ale jak podsumował to z humorem lewicowy dziennikarz Matt Taibbi, mogą one mieszkać w jednym domu. Na przykład Fox News celuje w „trochę stukniętego prawicowego wuja, oferując mu kanał pełen historyjek o przestępczych imigrantach i mniejszościach. Zaś inne kanały chcą zadowolić smarkacza w koszulce z Che Guevarą. Jeśli obaj oglądają różne stacje w różnych pokojach, wkrótce znienawidzą się” [10].

Lecz niekoniecznie ze słusznych powodów. Jeśli bowiem za polityczną edukację wielbiciela Che odpowiada MSNBC, „bastion oporu” wobec Trumpa, niewiele mógł się on dowiedzieć o najtragiczniejszej w skutkach decyzji jego prezydentury, jej niezachwianym poparciem dla Saudyjców w toczącej się w Jemenie wojnie z Huti – poparciem, któremu właśnie poświęcił kres Biden. W roku 2018, kiedy liczba ofiar cywilnych w Jemenie sięgała już tysięcy, MSNBC poświęciła im ledwie jeden program. Dużo mniej dyskretna okazała się w kwestii romansu Trumpa z gwiazdą porno, o którym była mowa aż 455 razy [11]. Już kilka lat temu, wyliczając jego zdaniem priorytetowe tematy kampanii – zmiany klimatyczne, nierówności w dochodach i bogactwie, koszty edukacji i zdrowia – Bernie Sanders zauważył, że „media, które są narzędziem klasy rządzącej krajem, wolą rozmawiać o czymkolwiek, byle nie o sprawach najważniejszych”.

Co nie jest sexy?

To jakby ślepa plamka w oku tych, którzy piszą o polaryzacji amerykańskiej opinii publicznej. O wiele łatwiej kręcić się wokół najlepiej sprzedających się teraz tematów „kulturowych”, jak usuwanie pomników generałów Konfederacji, noszenie maseczek podczas pandemii, rzekomych seksistowskich wypowiedzi senatora Sandersa (który nie przyznaje się do winy), czy starcia werbalnego między młodym zwo-

lennikiem Trumpa i rdzennym Amerykaninem. Lista tematów, które nie są przedmiotem poważnej dyskusji między dwoma głównymi obozami, jest bez wątpienia dłuższa. Ale dość wymienić parę, by zrozumieć, że nie są to sprawy drugorzędne – obie izby Kongresu przytłaczającą większością zwiększyły i tak już rozdęty budżet Pentagonu; Senat, który 4 lata temu przegłosował sankcje przeciwko Rosji 98 głosami przeciw 2, właśnie potwierdził utrzymanie ambasady Stanów Zjednoczonych w Jerozolimie stosunkiem głosów 97 do 3; sprzedaż broni bojowej Ukrainie, której sprzeciwiał się prezydent Barack Obama, zatwierdził jego następca przy niemal jednogłośnie poparciu parlamentarzyistów i mediów; kiedy w kwietniu 2017 r. Trump zbombardował Syrię, 46 z 47 wstępniaków na ten temat w stu największych amerykańskich gazetach pochwaliło ten sprzeczny z prawem międzynarodowym akt agresji; z kolei administracja Bidena uznaje Juana Guaidó za legalnego prezydenta Wenezueli i w ślad za administracją Trumpa wzywa do ekstradycji Juliana Assange’a, którego Stany Zjednoczone prześladowały, odkąd ujawnił niektóre z amerykańskich zbrodni wojennych.

W społeczeństwach podzielonych i zagubionych handel wojnami kulturowymi przyczynia się do rozkwitu mediów. Ten typ sprytnie reklamowanej niezgody oferuje ludziom igryską zamiast szczęśliwszej przyszłości.

tlum. Anastazja Dwulit

[1] W: Michael Massing, „The press: The enemy within”, *The New York Review of Books*, 15.12.2005. 13 lat później ten sam dziennikarz analizował przemiany, jakim podlega jego profesja w „Journalism in the age of Trump: What’s missing and what matters”, *The Nation*, 19.07.2018.

[2] Jim Rutenberg, „Trump is testing the norms of objectivity in journalism”, *New York Times*, 8 sierpnia 2016.

[3] Cyt. za: Matt Taibbi, *Hate Inc. Why Today’s Media Makes Us Despise One Another*, OR Books, Nowy Jork 2019.

[4] Michael Massing, *Journalism in the age of Trump*, op. cit.

[5] Por. „Tchernobyl médiatique”, *Le Monde diplomatique*, maj 2019.

[6] Chris Cillizza, „Donald Trump delivers a series of raw and personal attacks on the media in a news conference for the ages”, *The Washington Post*, 16.02.2017.

[7] Maureen Dowd, „Jimmy Carter lusts for a Trump posting”, *The New York Times*, 21.10.2017.

[8] Charles Blow, „Trump, treasonous traitor”, *The New York Times*, 15.07.2018.

[9] Peter Harling, „Ce qu’annonce l’éclatement irakien”, *Le Monde diplomatique*, lipiec 2014.

[10] Matt Taibbi, *Hate Inc.*, op. cit.

[11] Zob. Marlo Safi, „MSNBC is too busy serving up red meat to cover a humanitarian crisis”, *National Review*, 31.07.2018.

ZBYT DOCHODOWE SZPITALA

Dyktat ekonomii w niemieckiej służbie zdrowia

W szczycie epidemii koronawirusa niemiecki system opieki zdrowotnej dzięki największej liczbie łóżek na oddziałach intensywnej terapii stał się wzorem dla innych krajów. Jednak w samych Niemczech pracownicy służby zdrowia i szpitale od lat skarżą się na strukturalny brak zasobów i personelu. Przyczyną jest m.in. sposób finansowania, dość podobny do obowiązującego w Polsce systemu finansowania „według wykonanych świadczeń”.

RACHEL KNAEBEL*

Axel Hopfmann przez długi czas pracował jako pielęgniarz w szpitalu. W 2004 r. jego placówkę w Hamburgu sprywatyzowano. Mężczyzna wolał wtedy pozostać w administracji publicznej, niż zostać pracownikiem dużej korporacji nastawionej na zysk. „Teraz pracuję w biurze”, mówi. Constanze Weichert, która przed 10 lat była pielęgniarką, opuściła inny szpital w Hamburgu, aby zająć się opieką ambulatoryjną osób starszych. „Kochałam pracę w szpitalu – zapewnia – bardzo chciałabym tam wrócić, ale zrobię to tylko wtedy, gdy zmienią się warunki pracy.” Dla Steffena Hagemanna do świadczenia pracy w szpitalu było bardzo trudne, w zawodzie pielęgniarskim wytrzymał tylko 7 lat. „Musimy się poświęcać dla etosu tego zawodu, kierownictwo gra na tym, żeby uciszyć nasze roszczenia”. Pracownicy służby zdrowia w Niemczech coraz częściej skarżą się na warunki pracy, które „uległy znacznemu pogorszeniu”, co potwierdza Anja Voigt, pielęgniarka na oddziale intensywnej terapii w Berlinie. „Pamiętam czasy, kiedy mieliśmy przerwy w pracy, czasy, kiedy miałam czas dla pacjentów. Dzisiaj robię sobie przerwę może raz w miesiącu”.

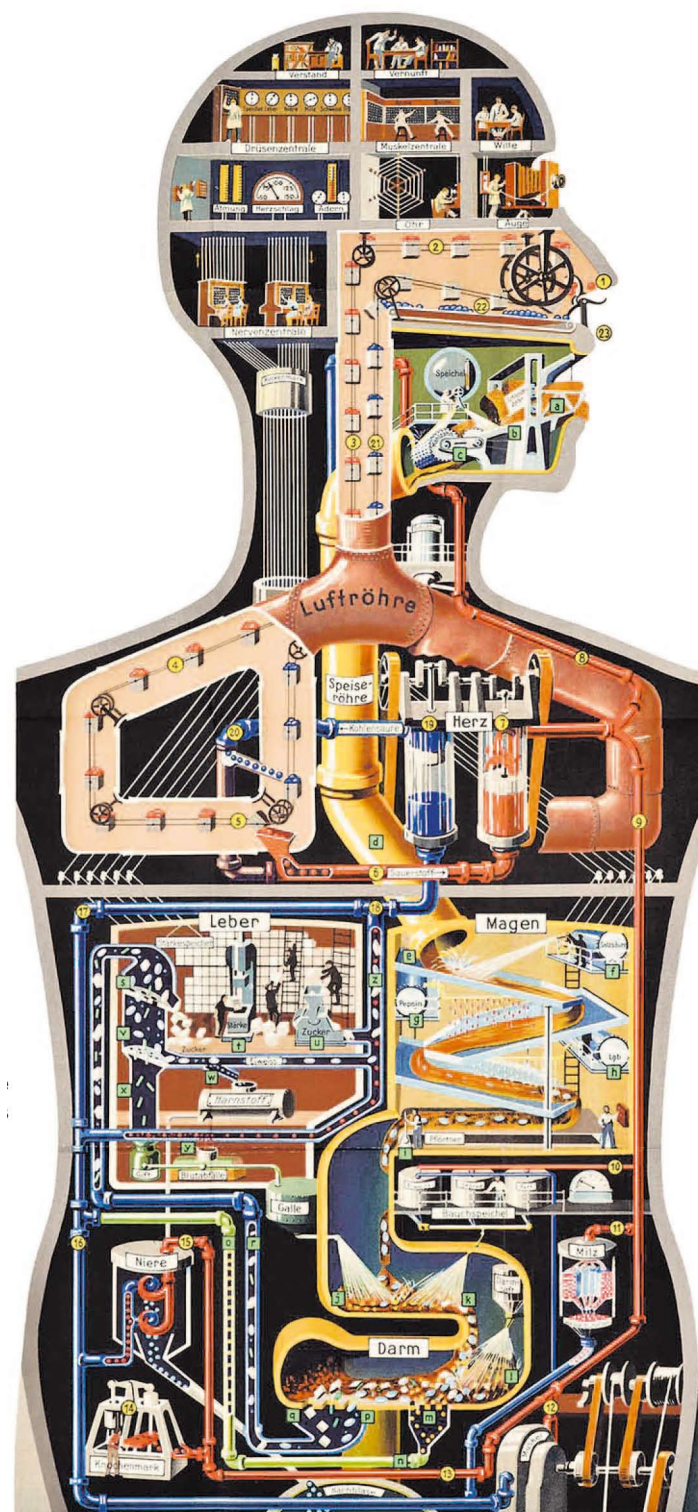
Zamknąć połowę szpitali

Niemiecki system opieki szpitalnej, daleki od idyllicznego obrazu, jaki stworzyły francuskie media podczas kryzysu koronawirusa, też cierpi na niedobór zasobów i personelu. Związki zawodowe pielęgniarów, podobnie jak związki zawodowe lekarzy, ubolewają nad

ogromnym niedoborem pełnoetatowych stanowisk pielęgniarskich w szpitalach. Badanie przeprowadzone przez Fundację Hansa-Böcklera szacuje liczbę pielęgniarek, jakie należałoby zatrudnić w pełnym wymiarze godzin na 100 tys. [1] Zawód pielęgniarki czy pielęgniarskiego jest tak ciężki, że nie jest łatwo znaleźć w sferze budżetowej chętnych na te stanowiska. Faktycznie Niemcy mają znacznie więcej łóżek do intensywnej terapii niż ich europejscy sąsiedzi: 34 na 100 tys. mieszkańców wobec 16,3 we Francji czy 8,6 we Włoszech [2]. „Gdybyśmy mieli tylu ciężko chorych na Covid-19 pacjentów, co północne Włochy, faktycznie moglibyśmy zapewnić im łóżka, ale już nie personel, który by się nimi zajął”, ironicznie podsumowuje Nadja Rakowitz, dyrektorka Stowarzyszenia Lekarzy Demokratów (*Verein demokratischer Ärztinnen und Ärzte, VdÄÄ*). Kilka miesięcy przed epidemią Niemcy dyskutowali nawet o sensie utrzymywania tak wielu szpitali – badanie przeprowadzone przez Fundację Bertelsmanna zalecało zamknięcie ponad połowy szpitali w kraju [3]. „Wtedy pojawił się koronawirus i wszyscy zrozumieli, że faktycznie dobrze jest mieć dużo szpitali i łóżek...” – zauważa pani Rakowitz.

Ryczałt na każdy przypadek

Żeby zrozumieć te paradoksy, trzeba przyrzeć się decyzjom politycznym dotyczącym szpitali podjętym w Niemczech w ostatnich dziesięcioleciach. W 1985 r. prawo otworzyło rynek opieki szpitalnej dla nastawionych na zysk firm prywatnych. Wtedy zaczęły powstawać i umacniać swoją pozycję wielkie niemieckie sieci szpitali:



FRITZ KAHN, DER MENSCH ALS INDUSTRIEPALAST (CZŁOWIEK JAKO PAŁAC PRZEMYSŁOWY), 1926

Sana, Asklepios, Röhn, Helios (przejęte przez międzynarodową firmę Fresenius zajmującą się sprzętem medycznym). Placówki publiczne, prywatne non-profit i prywatne nastawione na zysk pod względem finansowym traktowane są tak samo. Wszystkie one wpisane są w regionalną ofertę opieki

zdrowotnej, nie ma między nimi różnic nawet na poziomie języka potocznego. Poza tym, w 2004 r., czyli w tym samym czasie, kiedy Francja wprowadziła system finansowania według wykonanych świadczeń (T2A), Niemcy przyjęły bardzo podobny system, czyli „ryczałt za każdy przypadek”. Fi-

* Dziennikarka niemiecka.

nansuje się już nie faktyczną opiekę, ale kwoty ryczałtowe zgodnie z katalogiem patologii, niezależnie od tego, przez ile dni konieczna jest hospitalizacja. Działania techniczne, np. wszczepienie protezy biodra czy kolana, w ogóle operacje chirurgiczne, są znacznie lepiej wynagradzane niż poród naturalny lub pediatria. Francuski T2A i niemiecki „ryczałt za przypadek” mają ostatecznie to samo pochodzenie: system „jednorodnych grup pacjentów” (JGP, *diagnosis related groups*) importowany ze Stanów Zjednoczonych, gdzie wprowadzono go na początku lat 80. [4] „W sposób oczywisty celem nowego systemu finansowania było osiągnięcie większej rentowności – co samo w sobie nie byłoby jeszcze takie złe. Ale chodziło również o zwiększenie konkurencji między poszczególnymi placówkami, co ostatecznie doprowadziło do zmniejszenia liczby szpitali”, uważa Uwe Lübking ze Związku Gmin Niemieckich. Oprócz uniwersyteckich ośrodków szpitalnych (CHU), które są zależne od landów, szpitale publiczne w Niemczech podlegają jurysdykcji gmin i okręgów międzygminnych (Landkreisów).

Prywatyzuj i zamykaj

Społeczności te same muszą radzić sobie z deficytami. Czasami sprzedają swoje szpitale prywatnym grupom, a potem widzą, jak te same grupy je zamykają, gdy przestają być wystarczająco dochodowe. Od 2000 r. w Niemczech zamknięto ponad 300 szpitali i klinik, zlikwidowano 50 tys. łóżek szpitalnych, podczas gdy liczba leczonych przypadków wzrosła o kilka milionów. W tym samym czasie nastawiony na zysk sektor prywatny powiększył swoją bazę: w 1992 r. prywatne placówki stanowiły 15%, w 2018 już 37%, czyli ponad jedną trzecią [5]. Wiele szpitali publicznych całkowicie sprywatyzowano, czasem mimo protestów. Na przykład w 2004 r. sprzedaż 7 hamburskich placówek służby zdrowia grupie Asklepios przeprowadzono wbrew woli mieszkańców – w lokalnym referendum trzy czwarte wyborców było przeciw. Sprywatyzowane placówki często koncentrują się na najbardziej dochodowych chorobach. Z kolei publiczne szpitale, finansowane w ten sam sposób, rozpoczęły wyścig o efektywność.

„Placówki służby zdrowia zmuszone w ten sposób do rywalizacji zwracają uwagę na to, co w systemie „ryczałtu za każdy przypadek” jest najbardziej opłacalne – np. kardiologia czy ortopedia, i odpowiednio się wyposażały. „Moim zdaniem dlatego mamy tak wiele miejsc na oddziale intensywnej terapii”, wyjaśnia pani Rakowitz. Kolejna specyficzna cecha niemieckich szpitali to podwójne finansowanie. Tzw. koszty opera-

cyjne, a zatem koszty personelu, pokrywa ubezpieczenie zdrowotne, zaś koszty inwestycji (w budynki, sprzęt itp.) zazwyczaj muszą pokrywać landy, zarówno w przypadku zakładów publicznych, jak i prywatnych. Jednak „wszystkie landy w kontekście polityki «hamulca długu publicznego» oraz własnej sytuacji budżetowej przeznaczają na to za mało pieniędzy”, analizuje Harald Weinberg, deputowany do Bundestagu z ramienia partii Die Linke (Lewica). Według szacunków grupy Deutsche Krankenhausgesellschaft szpitalom brakuje prawie 4 mld euro rocznie z publicznych pieniędzy. „Tak więc budżet przeznaczony na koszty operacyjne jest częściowo wykorzystywany do finansowania inwestycji. Oszczędza się na personelu”, dodaje poseł.

Kodowanie zamiast leczenia

Wraz z przejściem na wycenę za usługę, w ramach ograniczonego budżetu kluczową sprawą stało się zarządzanie. Pojawił się zupełnie nowy sektor zatrudnienia: „menedżerowie JGP”, kontrolerzy i „kodowacze” odpowiedzialni za poprawne rejestrowanie usług zgodnie z ponad tysiącem kategorii, które zawiera obecnie niemiecki cennik. „Kodowanie na komputerze to co najmniej 20% mojego czasu pracy. W wypadku lekarzy jest jeszcze gorzej”, opowiada pielęgniarka z Berlina Anja Voigt. Pracujący w niemieckich szpitalach lekarze, zmęczeni faktem, że liczy się głównie logika ekonomiczna, coraz częściej buntują się przeciw temu systemowi. Pod koniec 2019 r. tygodnik *Stern* opublikował apel kilkudziesięciu lekarzy i stowarzyszeń zawodowych o „ratowanie medycyny” [6]. „Pacjenci i pacjentki, którzy mają jakieś pytania, którzy boją się bólu lub śmierci, nie są brani pod uwagę w systemie finansowania działalności”, skarżą się lekarze. I dodają jeszcze – „Dyktat oszczędzania przyczynił się do odczłowieczenia medycyny w naszych szpitalach”.

Od 2015 r. coraz częściej strajkują ratownicy medyczni walczący o lepsze warunki pracy. Ruch rozpoczął się w berlińskim szpitalu Charité. Od tego czasu w prawie 20 szpitalach publicznych w całym kraju wprowadzono umowy ustalające stosunek potrzebnego personelu do liczby pacjentów, różny dla każdego oddziału i określony na podstawie doświadczenia pracowników. Dni przepracowane w sytuacji niedoboru personelu dają pielęgniarkom i pielęgniarzom prawo do wolnego czasu.

„Celem tych umów jest zmusić dyrektorów placówek do zatrudnienia większej liczby pracowników. I to działa”, zapewnia Michael Quetting, który prowadził negocjacje z ramienia federacji związków zawodowych Verdi. „Strajki persone-

lu pomocniczego generalnie cieszą się szerokim poparciem opinii publicznej, w przeciwieństwie np. do protestów kierowców autobusów. Obecnie pracownicy sektora opieki zdrowotnej są w stanie pokonać neoliberalizm. Udałoby się to po raz pierwszy i miałoby znaczenie dla wszystkich innych sektorów gospodarki”, uważa związkowiec.

Niezależnie od pracowników szpitali w kilkunastu miastach w Niemczech powstały sojusze obywatelskie na rzecz „większej liczby personelu w szpitalach”. W czterech miastach i regionach (Bawarii, Bremie, Berlinie i Hamburgu) zebrano miliony podpisów potrzebnych do rozpisania lokalnego referendum na ten temat. Wszędzie władze odrzuciły wniosek, argumentując, że sprawa nie podlega jurysdykcji landów. A jednak to władze landów decydują o wzorcach opieki szpitalnej.

W stronę rekomunalizacji

Na poziomie gmin prywatyzacja zaczyna zwalniać. W ostatnich latach niektóre szpitale zostały nawet „ponownie upaństwowione”. Na początku czerwca w powiecie Ludwigslust-Parchim w Meklemburgii-Pomorzu Przednim sejmik zdecydował np. o wykupieniu przez gminę małego 74-łóżkowego szpitala sprywatyzowanego w 1997 r. Wniosek – jak podkreśla lokalny poseł Stefan Sternberg – przeszedł „jednogłośnie”. Tuż przed Bożym Narodzeniem firma, do której należy placówka, filia grupy Asklepios, bez konsultacji ogłosiła, że chce zamknąć oddział położniczy. „Nastąpiła silna mobilizacja mieszkańców. Ta wiadomość sprowokowała debatę na temat tego, jak zorganizować świadczenie usług zdrowotnych na obszarach wiejskich, zwłaszcza na obszarach słabo zaludnionych, takich jak nasze”, tłumaczy 37-letni socjaldemokrata. Jego zdaniem „komunalizacja nie jest panaceum, ale jeśli chodzi o dostęp do opieki zdrowotnej, myślę, że powinniśmy iść tą drogą, współpracując z partnerem prywatnym, który zna się na zarządzaniu”. Jego plan polega na utrzymaniu kontroli nad szpitalem na poziomie 51%, sprzedaży pozostałych udziałów prywatnemu podmiotowi i współpraca z innymi szpitalami na terytorium już współzarządzanym przez społeczność. „Nie mamy wpływu na system cen – wyjaśnia – ale zarządzając kilkoma placówkami o różnych specjalizacjach, możemy osiągnąć korzyści skali”. W 2016 r. w Hesji prawicowy poseł Michael Koch zainicjował również „ponowną komunalizację” jednej z klinik w swoim kantonie. Jego zdaniem „niemieckie szpitale są niedofinansowane. Należałoby pokryć koszty ich utrzymania, koszty dostępu do opieki zdrowotnej w razie potrzeby, zwłaszcza na obszarach wiejskich. Porównuje

szpitale do straży pożarnej lub policji: „Nie opłaca się przecież tych służb tylko na podstawie liczby ich interwencji”.

Niezadowolenie z niedofinansowania ostatecznie doprowadziło do zmiany polityki rządu. Od początku 2020 r. szpitale dysponują określonym budżetem na personel niemedyczny, do tej pory finansowany niezależnie od finansowania według wykonanych świadczeń (T2A). Podczas kryzysu zdrowotnego szpitale otrzymywały pieniądze na puste łóżka, przygotowane na przyjęcie ewentualnych pacjentów z Covid-19, co jest dokładnie przeciwne założeniom systemu T2A, zgodnie z którym łóżko bez pacjenta nie ma racji bytu. Jednak i tutaj epidemia wpłynęła na kasy chorych i rachunki zakładów opieki zdrowotnej, które przez kilka miesięcy przeprowadziły bardzo mało operacji. Istnieją obawy, że wkrótce znów zacznie się dyskusja o zamykaniu szpitali. Personel medyczny czuje się zagrożony. W apogeum epidemii rząd kraju związkowego Nadrenii Północnej-Westfalii z konserwatystą Arminem Laschetem na czele (przez pewien czas typowanym na następcę Angeli Merkel) rozważał przyjęcie rozporządzenia nakazującego osobom przeszkolonym pracę w szpitalu nawet wbrew ich woli. Propozycja ta wywołała silny sprzeciw i ostatecznie została odrzucona. Byli pielęgniarze, Axel Hopfmann i Steffen Hagemann na razie nie będą zmuszeni znów zakładać białe fartuchy.

tłum. Anastazja Dwulit

[1] Michael Simon, *Von der Unterbesetzung in der Krankenhauspflege zur bedarfsgerechten Personalausstattung*, Hans-Böckler-Stiftung, październik 2018.

[2] *Beyond Containment: Health systems responses to COVID-19 in the OECD*, Organisation de coopération et de développement économique (OCDE), Paryż 16 kwietnia 2020.

[3] „Zukunftsfähige Krankenhausversorgung”, Fondation Bertelsmann, Gütersloh 2019.

[4] Czyt. Philippe Froguel, Catherine Smadja, „La peau de chagrin du système public après six ans de reaganisme”, *Le Monde diplomatique*, 06.1987, a także: Reinhard Busse, Alexander Geissler, Wilm Quentin, Miriam Wiley (red.), *Diagnosis-Related Groups in Europe*, Open University Press, Maidenhead 2011.

[5] Źródło: Destatis, Institut Arbeit und Qualifikation na uniwersytecie Duisburg-Essen.

[6] „Der Ärzte-Appell: Rettet die Medizin!”, *Stern*, Hamburg, 1.10.2019, www.stern.de.

PLAN ODKURZENIA WIZERUNKU ROSYJSKIEJ STOLICY

Moskwa marzy o staniu się „miastem globalnym”

Od 10 lat stolica Rosji dba o poprawę swojego publicznego wizerunku. Podążając za najnowszymi trendami w marketingu miejskim, miasto to zamierza, wzorem innych wielkich metropolii tego świata, przyciągać inwestorów i kadry wielkich korporacji. Ale polityka ta nie jest w stanie przesłonić przejścia miasta z powrotem przez Kreml, tym razem dokonującego się w służbie pogłębiania nierówności terytorialnych.

VLADIMIR PAWLITSKY*

U podnóża Kremla turyści – rosyjscy i zagraniczni – uzbrojeni w teleskopowe tyczki do robienia zdjęć, tłoczą się na kładce dla pieszych na terenie nowopowstałego parku Zariadje, z którego roztacza się widok na rzekę Moskłę. W parku tym, będącym kwiatową syntezą Rosji, rozpościerają się krajobrazy stepu, tundry, lasów i bagien. Znajdziemy w nim również jaskinię lodową, muzeum archeologiczne, znakomite restauracje, kompleks multimedialny, w którym organizowane są pokazy filmowe i wystawy, salę koncertową na 1600 miejsc i zewnętrzny amfiteatr o podobnej pojemności, który od dnia oficjalnej inauguracji parku 9 września 2017 r. gości najbardziej prestiżowe międzynarodowe imprezy stolicy. Stanowiący chlubę radnych miasta Park Zariadje od 2018 r. znajduje się w rankingu najpiękniejszych miejsc do odwiedzenia na świecie, przygotowywanym przez amerykański magazyn *Time*.

Zariadje, pierwszy większy moskiewski park, jaki otwarto od 50 lat, jest częścią przedsięwzięcia mającego na celu upiększenie i podniesienie rangi stolicy w oczach świata, zapoczątkowanego 10 lat temu przez burmistrza Moskwy Siergieja Sobjanina. Były urzędnik federalny, wieloletni poplecznik prezydenta Władimira Putina, obejmując stanowisko mera w 2010 r., postawił sobie zadanie odkurzenia wizerunku stolicy tak, by dołączyć je do światowego wyścigu między wielkimi metropoliami. Innymi słowy, by stanęła do konkurencji z Nowym Jorkiem, Londynem, Tokio czy Paryżem i urosła do rangi „miasta globalnego”, w myśl koncepcji spopularyzowanej przez amerykańską socjologkę i ekonomistkę Saskię Sassem – obecną zresztą w jury konkursu na projektanta tego parku.



DAVIDE MONTELEONE/GRUPA „DEKARTY” NA BUDYNKU WOKÓŁ PRAWIELEKIEJ W MOSKWIE, 2019

W gospodarce uzależnionej od (wysoko chwiejnych) cen węglowodorów Moskwa musi stać się światowym ośrodkiem stabilności finansowej i innowacyjności. Rosja, a przede wszystkim jej uprzywilejowana platforma do realizacji inwestycji zagranicznych, czyli metropolia moskiewska, stara się przechwycić międzynarodowe przepływy gospodarcze i finansowe, zachęcając do otwierania na swoim terenie siedzib i filii międzynarodowych korporacji oraz rozwijając działalność kulturalną i turystykę.

Budowanie narracji metropolitalnej

W tym celu musi jednak spełnić szereg warunków. Oprócz poszanowania własności prywatnej, korzystnych podatków, niezbyt uciążliwych wymogów biurokracji czy prestiżowego adresu, międzynarodowe korporacje szukają atrakcyjnego środowiska miejskiego i wysokiej jakości infrastruktury zbiorowej, które mogłyby zaofiarować kadrom kierowniczym. Należą one do osławionej „klasy kreatywnej”, motoru nowej gospodarki, podobnie jak naukowcy, inżynierowie, artyści, pracownicy mediów, edukacji, zdrowia i wymiaru sprawiedliwości. Ojciec tej koncepcji, Richard Florida [1], sam udał się w tym celu do Moskwy. W 2018 r. był honorowym gościem Moskiewskiego Forum Miejskiego (Moscow Urban Forum, MUF). Ten ogromny zlot poświęcony kwestiom miejskim gromadzi corocznie parę tysięcy widzów i setki aktorów – decydentów publicznych, ekonomistów, urbanistów – z ponad 50 krajów. A od 2017 r. odbywa się właśnie w Parku Zariadje.

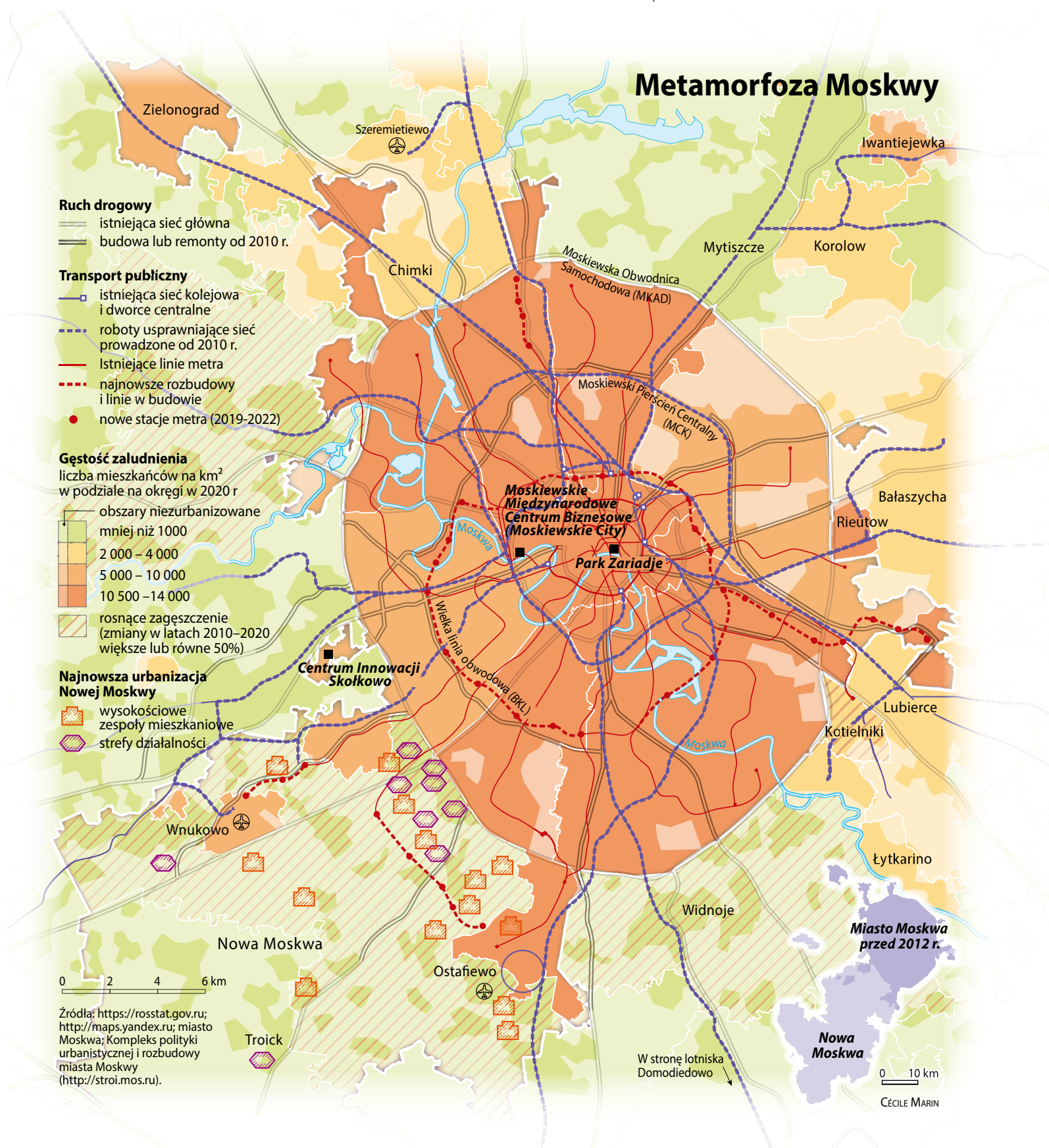
Współorganizator tej imprezy, firma Mosinzhproekt, „budownicze ramie” władz miejskich,

będących jego jedynym właścicielem, od 2018 r. (za stawkę wysokości 10 tys. euro miesięcznie) [2] zapewnia sobie usługi doborowego przedstawiciela handlowego, pana Maurice’a Leroya, który pełni funkcję zastępcy dyrektora generalnego. Były poseł z departamentu Loir-et-Cher i minister odpowiedzialny za sprawy miejskie w trzecim rządzie François Fillona (2010-2012), zajmujący się wówczas projektem rozbudowy Wielkiego Paryża, sprawuje pieczę nad szeroko zakrojonymi międzynarodowymi projektami moskiewskiego przedsiębiorstwa publicznego. W szczególności nadzorował on podpisanie programu współpracy pomiędzy Sobjaninem i Prezydentem Metropolii Wielkiego Paryża, Patrickiem Ollierem, w dniu 4 lipca 2019 r. Porozumienie to pozwoliło na udział kilku francuskich przedsiębiorstw, takich jak Électricité de France (EDF) czy Suez. Moskiewskie Forum Miejskie (MUF) daje władzom miejskim wyjątkową okazję do promowania wyników swojej polityki miejskiej wśród międzynarodowych liderów i inwestorów.

Moskwę zdobią odtąd pisane wielkimi (o wysokości jednego metra) literami hasła, które można zobaczyć na wielu placach w centrum miasta, oraz kolorowe i ukwiecone loga. Wi-Fi dostępne jest wszędzie; szata graficzna ratusza została opracowana we współpracy z ludnością za pośrednictwem aplikacji dostępnych na smartfony.

Na ekranach w metrze pokazywana jest transmisja miejskiego kanału Moskwa 24, gdzie między obrazami przedstawiającymi brazylijskich kibiców świętujących na Placu Czerwonym podczas Mistrzostw Świata FIFA 2018 zobaczyć można, jak mer miasta otwiera kolejne wszelkiego rodza-

* Doktorant geografii we Francuskim Instytucie Geopolityki (Uniwersytet Paris-VIII).



ju przybytki użyteczności publicznej – parki, stacje metra, drogi, szpitale – a nawet całe dzielnice na jego obrzeżach. Sam wysiłek rozbudowy jednak już nie wystarczy; potrzeba również rozreklamować go wśród ludności, snując nową wielkomiejską opowieść: o mieście w nieustannym ruchu, włączonym w główne globalne obiegi.

Z pomocą ogromnego PR-owego wysiłku, Sobianin zamierza zamknąć księgę rządów Jurija Łużkowa, mera stolicy w latach 1992–2010, których bilans obecnie jest surowo krytykowany. W oczach ludzi jego kadencja pozostaje związana z silnym wzrostem demograficznym miasta. Faktycznie, od połowy lat 90. deweloperzy bez trudu uzyskiwali kolejne pozwolenia na budowę. Z 8280 mieszkańców na kilometr kwadratowy w 1989 r. gęstość zaludnienia miasta wzrosła do 10681 w 2010 r., osiągając poziom wyższy

niż we francuskim departamencie Hauts-de-Seine (9164 mieszkańców na kilometr kwadratowy w 2017 r.), mimo istnienia wielu parków i lasów w jego granicach. W rytm uderzeń młotów pneumatycznych Moskwa rozpościera jednak jeszcze jeden, mniej pozytywny obraz, powstały w pierwszej połowie lat 90., kiedy to czterokrotnie wzrosła liczba zabójstw. Co więcej, nawet po ustaniu strzelanin urządzanych przez rozmaite grupy przestępcze na środku ulicy, miasto regularnie nękała korupcja.

Sama postać Łużkowa ponadto stanowi uosobienie konfliktu interesów. Jego małżonka, Elena Baturina, poślubiona w przeddzień objęcia przezeń stanowiska w 1991 r., została prezeską giganta budowlanego Inteko. Za kadencji swojego męża dorobiła się takiej fortuny, że zdobyła tytuł pierwszej miliarderkę w kraju. Wspólnie wdra-

żają oni również, utrzymane w stylu łączącym pastisz z modernizmem, zakrojone na szeroką skalę projekty związane z dziedzictwem historycznym, których celem jest zatarcie wszelkich śladów radzieckości przez powrót do przedrewolucyjnych korzeni. Odbudowa w latach 1995–2000 katedry Chrystusa Zbawiciela, wysadzonej w 1931 r. przez komunistyczne władze oraz odsłonięcie w 1997 r. pomnika cesarza Piotra Wielkiego, stojącego na monumentalnym żagłowcu, wykonanego z brązu, świadczą o wątpliwym smaku tamtej doby.

Ale jednym z najbardziej strukturalnych aspektów polityki Łużkowa było pchnięcie stolicy na tory gospodarki rynkowej. Za jego rządów doszło do gwałtownej ekspansji powierzchni han-

Miraże e-demokracji

Oprócz organizowania wielkich międzynarodowych konkursów architektonicznych rosyjska stolica wprowadza również najnowsze innowacje w dziedzinie „lokalnej e-demokracji”. Cel: dostrojenie się do trendów marketingu miejskiego, aby przełamać wizerunek typowo radzieckiego miasta, monumentalnego, sztywnego i autorytarnego oraz dołączyć do klubu „miast globalnych”.

Uruchomiona w 2014 r. platforma internetowa „Aktywny obywatel” liczy obecnie 3 mln użytkowników, zgromadziła także 140 mln opinii i prawie 4,5 tys. pytań poddanych pod głosowanie. Dotyczą one 24 głównych tematów, takich jak transport („Czy Moskwa potrzebuje nowej linii metra?”), ekologia („Z jakich krzewów powinno tworzyć się żywopłoty w twojej okolicy?”), budownictwo („Czy powinniśmy kłaść większy nacisk na parkingi, place zabaw czy spacer z psami?”), szkolnictwo („Jakie tematy powinny poruszać szkolne wycieczki z przewodnikiem?”) czy sport („Na którym moskiewskim stadionie

wolałbyś uczestniczyć w Mistrzostwach Świata w piłce plażowej?”).

Nie chodzi jednak o postawienie obywatelom ważnych pytań, wręcz przeciwnie, ale o zadawanie im takich, na które odpowiedzi spodobać się mogą władzom miejskim, pomagając im w ten sposób uprawomocnić ich działania w tym obszarze. Aby zapewnić trwałe użytkowanie tej platformy, mimo poruszania na niej dość anegdotycznych tematów, podawanych pod dyskusję, miasto oferuje różne upominki: pamiątki, ubrania, bilety na wystawy, bilety parkingowe, bilety transportu, kody promocyjne itp. Tego rodzaju klientelistyczna strategia pozwala mu gromadzić różnorodne dane osobowe. Kwestionariusze nie są anonimowe, a aby wziąć w nich udział, podać należy garść informacji, takich jak miejsce zamieszkania i pracy, adres e-mail, liczbę dzieci, zawód, upodobania estetyczne czy poglądy polityczne itp. Innymi słowy niezliczone dane, które mogą okazać się przydatne do manipulowania wyborami.

VP

>>>

dłowych i biurowych, w ZSRR praktycznie nieistniejących. Jego głównym osiągnięciem była rozpoczęta w 1998 r. budowa dzielnicy biznesowej, Moskiewskiego City (Moskiewskiego Międzynarodowego Centrum Biznesowego), w którym wznosi się dziś 7 z 10 najwyższych drapaczy chmur w Europie. Wzniesiony na brzegu Moskwy, naprzeciw stalinowskich budynków wzdłuż Alei Kutuzowa, w których mieszkali dostojnicy partii komunistycznej, symbolizuje dołączenie stolicy Rosji do grona światowych metropolii. Jednak w 2006 r. z 5,5 mln metrów kwadratowych powierzchni biurowej, czyli 0,56 metra kwadratowego na mieszkańca, Moskwa pozostawała znacznie poniżej średniej międzynarodowej. W tym samym czasie w Paryżu na jednego mieszkańca przypadało 4,5 metra kwadratowego. Popyt na nie w Moskwie był jednak tak wysoki, że ceny za metr kwadratowy powierzchni biurowej do wynajęcia w ciągu jednego roku poszybowały w górę, wzrastając w 2008 r. do poziomu 900 euro. Moskwa tym samym prześcignęła pod tym względem Paryż (840), Singapur (826) czy Dubaj (780), plasując się jednak nadal jeszcze za Tokio (1400) i Londynem (1017), wedle danych z raportu brytyjskiej firmy doradczej Knight Frank [3].

Powrót na łono federacji

Nie dość, że względny niedobór powierzchni biurowej osłabia międzynarodową atrakcyjność tego miasta, problemem pozostaje również ich rozmieszczenie. Jedna trzecia miejsc pracy zlokalizowana jest w śródmiejskiej dzielnicy stolicy, stanowiącej mniej niż jedną dziesiątą całej jej powierzchni [4]. Do codziennego ruchu milionów moskiewskich pracowników dołącza się jeszcze 1,4 mln osób dojeżdżających marszrutkami do pracy z regionu moskiewskiego, co stanowi 30% jego aktywnej populacji. Część z nich mieszka w bardzo gęsto zaludnionych sypialniach miastach satelickich graniczących ze stolicą lub w małych miejscowościach położonych nawet do 10 km od Moskiewskiej Obwodnicy Samochodowej (MKAD). Każdego dnia spędzają oni od 40

do 240 minut w podróży w obie strony [5]. Dlatego powierzchnie handlowe, pochłaniające większość gruntów, pojawiają się także na obrzeżach miejskich sypialni. W Chimkach na przykład, przedmieściu położonym na północny zachód od stolicy, w 2000 r. otwarto pierwszy sklep sieci Ikea; w jego ślady w 2002 r. poszedł Auchan. Setki rosyjskich i zagranicznych sprzedawców detalicznych wkrótce podążyło za nimi, rozmieszczając swe siedziby wzdłuż obwodnicy, na skrzyżowaniach z federalnymi autostradami, celem maksymalnego poszerzenia swojego zasięgu.

Zwiększenie dostępności prywatnego samochodu, do którego doszło wraz z upadkiem ZSRR, pociągnęło za sobą istotne zmiany w tkance miejskiej. Co rzadko spotykane w dużych miastach europejskich pod koniec XX w., w latach 1993-2016 tamtejszy współczynnik zmotoryzowania gwałtownie wzrósł z 113 do 308 samochodów na 1000 mieszkańców. I to w mieście, w którym w ogólnych planach z 2000 r. nie przewidywano więcej niż 8,5 mln mieszkańców do 2025 r., podczas gdy obecnie liczy ono niemal 13 mln. W konsekwencji transport w Moskwie należy obecnie do najbardziej przeładowanych na świecie [6].

Powołanie w 2010 r. pana Sobianina, byłego szefa administracji prezydenta (2005-2008), który został mianowany wicepremierem Federacji (2008-2010), oznaczało zerwanie z dotychczasową polityką. Wraz z wyznaczeniem wyższych urzędników federalnych do zadań kierowania głównymi wydziałami administracji miejskiej, Moskwa, po 18 latach względnej autonomii politycznej, powróciła na łono Federacji. Ożywieniu temu towarzyszyło kilka miesięcy później ogłoszenie nowej proaktywnej polityki miejskiej. 17 czerwca 2011 r., podczas Międzynarodowego Forum Ekonomicznego odbywającego się w Sankt Petersburgu, prezydent Dmitrij Miedwiediew ogłosił, że pragnie przesunąć granice miasta i przenieść główne instytucje federalne – w szczególności niższą i wyższą izbę Dumy oraz prokuraturę generalną na przylegające obszary, tworząc w ich obrębie rozległą dzielnicę administracyjną, co miało na celu od-

ciążenie centrum miasta i usunięcie z niego biurokratycznych instytucji.

„Biznes zawsze pragnie pozostać blisko rządu, ministerstw i agencji rządowych”, twierdzi Sobianin. Przekonany jest również, że ten nowy teren będzie magnesem dla inwestycji i stanowić będzie główne narzędzie jego polityki przekierowania przepływów transportowych [7]. Na prośbę prezydenta o przedstawienie planów poszerzenia obszaru stolicy, Sobianin wraz z Borysem Gromowem, ówczesnym gubernatorem obwodu moskiewskiego, wyznaczyli teren w kształcie krawatu o powierzchni prawie 1480 kilometrów kwadratowych mieszczący się na osi południowo-zachodniej, powiększający 2,4-krotnie całkowity obszar miasta. Teren ten, ochrzczony mianem „Nowej Moskwy”, zamieszkały był wówczas przez zaledwie 232 tys. mieszkańców i roztaczał przed stolicą szerokie perspektywy rozwoju. Po tej aneksji, ratyfikowanej 1 czerwca 2012 r., Moskwa ze swoimi 2561 kilometrami kwadratowymi powierzchni (obszarem stanowiącym 25-krotność powierzchni śródmieścia Paryża), stała się szóstym co do wielkości miastem na świecie, o średniej gęstości zaludnienia wynoszącej 4919 mieszkańców na kilometr kwadratowy, tj. dwukrotnie mniejszej niż wcześniej, z czysto statystycznego punktu widzenia.

Nowa Moskwa jak Hanoi

Rosyjskie władze chętnie porównują Nową Moskwę do Wielkiego Londynu (1999) czy Metropolii Wielkiego Paryża (2016). W przypadku Wielkiej Brytanii nad stolicą i Wielkim Londynem zwierzchnią władzę sprawuje dodatkowy szczebel administracyjny. Rządy nad tą strukturą sprawuje w przeważającej mierze burmistrz Londynu Sadiq Khan. Metropolia Wielkiego Paryża z kolei zarządzana jest przez mechanizm koordynujący władzę w 131 gminach. Oba te ustroje znacznie różnią się od tego, z którym mamy do czynienia w przypadku Moskwy, ponieważ rosyjska stolica przewidującą wchłonęła tereny słabo zurbanizowane. Trafniejsze byłoby prawdopodobnie porównanie z Hanoi, kolejnym postkomunistycznym miastem, które potroiło swoją wielkość w 2008 r. po aneksji graniczącej z nim prowincji Hà Tây [8]. Choć z pewnością wciąż mniej prestiżowe.

Celem opracowania sposobu organizacji tego nowego terytorium, moskiewski ratusz rozpoczął w styczniu 2012 r. szeroko zakrojone międzynarodowe konsultacje z 10 ubiegającymi się o udział w tym przedsięwzięciu zespołami. Konkurs wygrała amerykańska firma Urban Design Associates. Zaproponowała ona utworzenie powiązanych ze sobą 12 „klastrow funkcjonalnych” (przemysłowego, administracyjnego, handlowego, szpitalnego, oświatowego, naukowego, turystycznego, logistycznego itp.) skupionych wokół nowego federalnego centrum administracyjnego. Przewidziano dla 1,7 miliona ludzi i mający stworzyć 800 tys. miejsc pracy, plan ten przewiduje połączenie Nowej Moskwy ze „starym miastem” szybką i wydajną siecią transportu.

Projekty te niestety w większości zrealizowane zostały jedynie na błyszczącym papierze folderów reklamowych. Choć plan przeniesienia siedzib instytucji politycznych nie został oficjalnie odwołany, faktycznie zniknął z porządku obrad. W kontaktach z prasą urzędnicy powołują się na wolę Putina (który ponownie został prezydentem w 2012 r.), który pierwszeństwo postanowił przyznać finansowaniu szczytu Wspólnoty

Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) we Władystoku w 2012 r. oraz Igrzysk Olimpijskich w Soczi w 2014 r.

Pozbawiona instytucji federalnych, Nowa Moskwa stała się rajem dla deweloperów, podobnie jak jej francuski odpowiednik w ramach projektu Grand Paris Express [9].

Świadczy o tym nieprzerwany taniec buldożerów. 8 stacji metra budowanych w celu połączenia nowego miasta z istniejącą siecią odgrywa rolę potężnych generatorów wzrostu wartości dodanej tamtejszych gruntów. A do 2035 r. światło dzienne ujrzyć ma 17 kolejnych stacji. Według ratusza z ziemi wyrosło już ponad 14 mln metrów kwadratowych mieszkań i ponad 4,3 mln metrów kwadratowych powierzchni handlowej. Populacja Nowej Moskwy podniosła się z 232 tys. w 2012 r. do 404 tys. w 2020 r., co stanowi wzrost o 74%. W tym samym okresie według oficjalnych danych powstało również 170 tys. nowych miejsc pracy. Widać już niestety pierwsze oznaki przeciążenia sieci. Lokalna prasa od czasu do czasu donosi o korkach czy przepełnieniu metra na tym obszarze, a mieszkańcy udają się do centrum miasta do pracy przez nowe stacje, do których często dowożeni są marszrutkami.

Jak utykają inwestycje

Uświadomiwszy sobie, że plany przeniesienia instytucji utknęły w martwym punkcie, mer Moskwy zmienił kurs. Zważywszy na to, że wpływy podatkowe miasta gwałtownie wzrosły (o 11,3% w latach 2015-2016), a federalny minister finansów planował dodatkowo uszczuplić budżet moskiewski na rzecz innych okręgów [10], stolica zaczęła odczuwać silną potrzebę jakiegoś alternatywnego projektu. W związku z tym w 2017 r. rozpoczęto realizację ambitnego programu rewitalizacji miasta, którego koszty oszacowano na 100 mld rubli (1,5 mld euro). Jego celem miało być wyburzenie 5 tys. popadających w ruinę budynków. Ten zespół mieszkaniowy, składający się głównie z chruszczówek, prefabrykowanych budynków budowanych masowo w latach 1957-1968, kiedy to ZSRR rządził Nikita Chruszczow, obejmował 350 tys. mieszkań, zajmowanych przez ponad milion osób, czyli niemal jedną dziesiątą Moskwian. Zgodnie z rozporządzeniem władz miejskich z 1 sierpnia 2017 r. ich rozbiórka miała pozwolić na „nadanie nowoczesnego wizerunku stolicy Federacji Rosyjskiej” przy jednoczesnym „utworzeniu policentrycznej struktury”.

W wywiadzie udzielonym serwisowi gospodarczemu RBK federalny Minister Budownictwa Michaił Men zapowiedział przesiedlenie tamtejszych mieszkańców: „W obrębie tej samej dzielnicy lub w jej pobliżu, ale obiecuję: nie do Nowej Moskwy [11]!”, co można zinterpretować jako niewypowiedziane wprost przyznanie się do porażki tego ostatniego przedsięwzięcia. Ponadto mieszkania te miały mieć taką samą powierzchnię, co poprzednie, tyle że mieszcząc się w znacznie wyższych budynkach (do 62 dwóch kondygnacji!) [12] o funkcjach mieszanych, czyli obejmujących zarówno same mieszkania, jak i biura i obiekty handlowe. Chodziło tutaj o wprowadzenie nowych funkcji w dzielnicach, które wcześniej miały w przeważającej mierze charakter mieszkalny, a to w celu „ograniczenia [potrzeb] ludności w zakresie przemieszczania się oraz obciążenia infrastruktury transportowej [13]”. Każda dzielnica miała zgodnie z tym planem stać się stosunkowo niezależną wyspą – ośrodkiem – gdzie da się mieszkać, gdzie można znaleźć pracę, gdzie można posłać swoje dzieci do szkoły.

8% populacji

MOSKWA to nie cała Rosja”. O jakiej stolicy nie słyszy się podobnych opinii? Ta jednak, przede wszystkim, odzwierciedla pewną rzeczywistość statystyczną. W 2018 r., z jej 12,6 mln mieszkańców, Moskwa, największe miasto w kraju, wyprzedzając Petersburg (z 5,3 mln mieszkańców), liczyła 8% ludności całej Rosji. Jej budżet jest prawie czterokrotnie większy niż budżet dawnej stolicy imperium. Jej przewaga przejawia się również w wytwarzaniu bogactwa: 21% produktu krajowego brutto (PKB). W większości regionów Rosji infrastruktura transportowa znajduje się w stanie krytycznym, produkcja jest ukierunkowana głównie na rynki lokalne, a turystyka praktycznie nie

istnieje. Trudno się dziwić, że w 2013 r. w Moskwie skupiało się blisko 60% siedzib zagranicznych korporacji. Zjawisko to okazuje się zatem występować w mniejszym nasileniu niż w Paryżu (73%), Tokio (70%) czy Londynie (69%), ale w znacznie większym niż w miastach takich jak Frankfurt nad Menem (18%) czy Nowy Jork (16%), należących do państw związkowych [1].

[1] Olivier Di Lello, Céline Rozenblat, „Les réseaux de firmes multinationales dans les villes d'Europe centre-orientale”, Cybergeog, n° 678, 20 czerwca 2014, <https://journals.openedition.org>.

Zapowiedziane rok przed wyborami samorządowymi i prezydenckimi w 2018 r. plany te, opracowane w perspektywie wyborów, wywołały krótkotrwałe poruszenie. W natychmiastowej reakcji, ratusz uruchomił w krótkim czasie, od 15 maja do 15 czerwca 2017 r., z pomocą miejskiej aplikacji mobilnej „Aktywny obywatel”, szerokie konsultacje społeczne. Stukając w smartfony, mieszkańcy – z których wielu od 1992 r. otrzymało nieodpłatnie akty własności mieszkań zajmowanych w czasach Związku Radzieckiego – mogli wyrażać swoje poglądy na temat losów zajmowanego przez nich budynku. Jeśli ponad jedna trzecia współwłaścicieli sprzeciwiała się rozbiórce, odwoływano ją. Wynik głosowania okazał się dla miasta sukcesem: tylko 11% wpisanych do rejestru budynków usunięto z listy przeznaczonych do wyburzeń.

Z tego powodu gęstość zaludnienia nieustannie rośnie, który to proces zapoczątkowany został jeszcze za rządów Łużkowa. Tym razem postawiono jednak na nowe technologie, pozwalające na rozładowanie ewentualnych konfliktów społecznych za pomocą gromadzenia danych osobowych (patrz ramka). Pod koniec pierwszej dekady XXI w. miasto nie przejmowało się już zbyt demokratyczną uczestniczącą. Władze przykładowo masowo fałszowały podpisy właścicieli mieszkań, aby powierzyć zaprzyjaźnionym ze sobą pełnomocnikom obowiązki zarządzania apartamentowcami w stolicy. Metody te, czerpiące inspirację z marketingu miejskiego, stanowią jednak pewien przełom.

Bardzo odległa przyszłość

Wszystkie te projekty odmieniają życie Moskwian. Wielu ekspertów obawia się, że przyłączenie kolejnych terenów i „odnowienie” starej Moskwy, zamiast przywrócić równowagę szkieletowi podtrzymującemu stolicę, spowodują tylko nowe problemy. Sama Moskwa – bez przedmieść – przechwyciła 70% z dodatkowych 5,1 mln mieszkańców miast należących do grona 15 wielomilionowych miast w Rosji od 1989 r., i nie wydaje się, by tendencja ta miała się odwrócić. „Dynamicznego, aktywnego życia Rosji, na jej ogromnym terytorium, nie da się skupić w kilku zaledwie megalopoliach” – jak oświadczył Putin w 2018 r. Samokrytyka? Nie do końca. „Wielkie miasta powinny rozproszyć swoją energię, służąc za wsparcie dla harmonijnego, zrównoważonego rozwoju przestrzennego całej Rosji”, dodał [14]. Chodzić ma zatem o „rozproszenie energii”. W kontekście skrajnej centralizacji (patrz ramka poniżej) politycznej

i budżetowej mit rozprzestrzeniającej się w świetlaną energię w świetlaną przyszłość wydaje się być pieśnią odległej przyszłości.

Vladimir Pawlowsky
tłum. Sławomir Królak

[1] Richard Florida, *Narodziny klasy krea-tywnej oraz jej wpływ na przeobrażenia w charakterze pracy, wypoczynku, społeczeństwa i życia codziennego*, przeł. T. Krzyżanowski, M. Penkala, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2010. Zob. również Benoît Bréville, „Une idée, un business”, *Le Monde diplomatique*, listopad 2017.

[2] David Bensoussan, „Quand les Russes recrutent d'anciens députés français”, *Challenges*, Paryż, 5 stycznia 2019.

[3] *Global real estate markets – Annual review and outlook*, Knight Frank, Londyn, 2009.

[4] Pascal Marchand, *Moscou, Autrement*, coll. Atlas Mégalopoles, Paryż, 2010.

[5] Alla Makhrova, Roman Babkine, „Metodologia wytyczania granic aglomeracji moskiewskiej na podstawie danych od operatorów telefonicznych” (po rosyjsku), *Studia regionalne*, nr 2, Moskwa, 2019, www.smolgu.ru.

[6] Zob. Hélène Richard, „À Moscou, rêves de liberté et grand embouteillage”, *Le Monde diplomatique*, sierpień 2015.

[7] Wywiad w radiu Echo Moskwy, 17 czerwca 2011.

[8] Zob. Xavier Montheard, „À Hanou, les grattociers dévorent les rizières”, *Le Monde diplomatique*, kwiecień 2010.

[9] Zob. Hacène Belmessous, „Le Grand Paris ou le pactole pour les bétonneurs”, *Le Monde diplomatique*, październik 2018.

[10] *Forbes*, edycja rosyjska, Moskwa, 27 kwietnia 2019.

[11] RBK, 27 lutego 2017, www.rbc.ru.

[12] *Kommersant*, Moskwa, 29 grudnia 2019.

[13] Rozporządzenie N-497, 2017. Ustawy zarządu miasta N-497-PP z dn. 1 sierpnia 2017 dotyczące programu odnowy zasobów mieszkaniowych Moskwy.

[14] Cyt. za Jean Radvanyi, „La nouvelle stratégie de développement territorial russe. Entre volontarisme et utopie?”, *Regards de l'observatoire franco-russe*, Paryż 2020.



PAWEŁ JARODŹKI, KAMALEON, 2016, MALARSTWO, ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, REPRODUKCJA NA LICENCJI: CC BY-NC-ND 3.0

PRAWO DO CIEMNOŚCI

Czy znowu będziemy oglądać gwiazdy?

Jednym z najbardziej widocznych efektów działalności człowieka jest to, co staje się niewidoczne: gwiazdziste niebo zanika, pożerane przez sztuczne światło. Do tego stopnia, że w wielu krajach Drogę Mleczną można podziwiać już tylko w rezerwatach przyrody. Oprócz wpływu na zdrowie, zanieczyszczenie światłem stawia pytanie, na które wcześniej czy później społeczeństwa będą musiały odpowiedzieć: czego naprawdę potrzebujemy?

RAZMIG KEUCHEYAN*

Nie pojawia się w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 r. ani w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 r. A jednak prawo do ciemności powinno stać się nowym prawem człowieka. Ciemność i prawo? Owszem, bo „zanieczyszczenie światłem” to jedna z plag naszej epoki. Oznacza coraz potężniejszą obecność w naszym życiu sztucznego światła, co pociąga za sobą znikanie ciemności i nocy. Podobnie jak drobny pył zawieszony, toksyczne odpady i związki endokrynnie czynne światło, po przekroczeniu pewnego progu, staje się zanieczyszczeniem. W krajach rozwiniętych oświetlenie jest dziś 10 razy silniejsze niż pół wieku temu [1].

Oświetlenie publiczne i oświetlenie w domach, kiedyś świadectwo postępu, dziś stało się utrapieniem. Zanieczyszczenie światłem jest szkodliwe dla środowiska naturalnego, fauny i flory. Na przykład otaczająca miasta świetlista aureola dezorientuje migrujące ptaki, skłania je do przedwczesnego przenoszenia się do letnich siedzib lub latania wokół aż do wyczerpania, a czasem śmierci. To samo dotyczy niektórych owadów. Naturalne światło tworzy mechanizm przyciągania i odpychania, który kształtuje zachowanie gatunków. Roślinom intensywność światła i długość dnia wskazują porę roku. Zbyt silne światło, które sztucznie wydłuża dzień, opóźnia procesy biochemiczne przygotowujące je na zimę [2].

Cena zanieczyszczenia światłem

Zanieczyszczenie światłem jest też bardzo szkodliwe dla ludzi. Utrud-

nia zasypianie, opóźniając syntezę melatoniny, zwanej „hormonem snu”. Ciało ludzkie to cały zestaw zegarów biologicznych, których cykle są zgodne z następstwem dnia i nocy, które z kolei jest podstawą cykli miesięcznych i pór roku. Zestaw ten określa się mianem rytmu circadiennego czyli okołodobowego – od *circa dies*. Jego rozregulowanie wpływa na wiele aspektów naszego metabolizmu – ciśnienie krwi, stres, zmęczenie, apetyt, drażliwość i koncentrację. Szczególnie szkodliwe pod tym względem jest światło niebieskie, emitowane przez ekrany telewizyjne, monitory komputerowe i telefony komórkowe. Wiele badań medycznych łączy zanieczyszczenie światłem z rakiem, w tym rakiem piersi [3]. Sztuczne oświetlenie wpływa nawet na nasze myśli i nastroje. Ludzki umysł jest – dosłownie – zanieczyszczony [4]. Do wymiarów fizjologicznych i psychologicznych dochodzi aspekt kulturowy. Obserwacja gwiazdzistego nieba od zarania ludzkości była uniwersalnym egzystencjalnym doświadczeniem, dostępnym każdej osobie, względnie niezależnie od jej pochodzenia klasowego, płciowego lub etniczno-kulturowego. Ilu przedstawicieli młodszych pokoleń nadal może podziwiać Drogę Mleczną? Kto przeżył całą noc pod gwiazdami?

W 2001 r. w pewnym czasopiśmie astronomicznym przedstawiono badanie przełomowe dla naszej świadomości zanieczyszczenia światłem [5]. Nosiło tytuł *Pierwszy światowy atlas sztucznej jasności nocnego nieba* (*The first world atlas of the artificial night sky brightness*). Publikacja zawierała mapy, piękne, lecz obrazujące tragiczną rzeczywistość – świat, kontynenty przepełnione sztucznym światłem. Jego intensywność różni się w zależności od demografii i / lub rozwoju gospodarczego regionu. Im wyższy produkt krajowy brutto (PKB)

na mieszkańca, tym mocniejsze jest oświetlenie. Tak więc na mapie Europy nie znajdziemy żadnego regionu bez nocnego sztucznego światła, zaś w Afryce zjawisko to nie przybiera szczególnie wielkich rozmiarów, w środku kontynentu są wciąż duże ciemne obszary. W Singapurze, najjaśniejszym miejscu na świecie, noc jest tak jasna, że ludzkie oko nie może w pełni przystosować się do widzenia zmierzchołowego, tzw. mezopowego. Panuje tam wieczny dzień, jak w Skandynawii latem, tyle, że sztuczny. Spośród krajów G20 w Arabii Saudyjskiej i Korei Południowej najwyższy odsetek ludności narażony jest na zupełnie jasne nocne niebo. Imponująca seria map Stanów Zjednoczonych pokazuje, jak stopniowo znikają gwiazdy z nieba w latach 50., 70., 90. i później. Jeśli zjawisko będzie postępować w tym tempie, w latach 20. XXI w. na terytorium Stanów Zjednoczonych w zasadzie całkowicie znikną nocne ciemności. Na drugim końcu skali są Czad, Republika Środkowoafrykańska i Madagaskar – to kraje najmniej zanieczyszczone światłem.

Oceany również cierpią z powodu tego zanieczyszczenia. Kalmary łowi się za pomocą potężnych lamp, które przyciągają je na powierzchnię wody. Taką rybacką flotę można czasem zobaczyć nawet z kosmosu, a emitowane przez nią światło bywa silniejsze niż to w miastach, wzdłuż których pływa [6].

Pod brudnym niebem

„83% światowej populacji i ponad 99% populacji amerykańskiej i europejskiej żyje pod niebem zanieczyszczonym światłem” – czytamy w *New atlas of the artificial night sky brightness* z 2016 r. Z powodu zanieczyszczenia światłem tylko jedna trzecia ludzkości może oglądać Drogę Mleczną. 60% Europejczyków i prawie 80% Amerykanów nie ma no to szans [7]. Kryzys środowiskowy zagraża nie tylko jakiemuś abstrakcyjnemu „środowisku”, ale codziennemu doświadczeniu świata z jego rytmem i kontrastami.

W 1941 r. Isaac Asimov opublikował opowiadanie, które uczyniło go sławnym, *Nastanie nocy* (*Nightfall*). Akcja toczy się na planecie Kalgasz, mającej kilka słońc, skąpanej w wiecznym świetle. Jego mieszkańcy nie wiedzą, co to noc czy widok gwiazd. Nie wiedzą, że otacza ich kosmos. Jednak z powodu szczególnego ustawienia słońc Kalgasz ma się wkrótce pogрузić na pół dnia

w ciemnościach. Ta niewinna z naszego punktu widzenia perspektywa przeraża mieszkańców tej planety, przekonanych, że nie można żyć nocą. Nie mogąc znieść ciemności, odkrywając nagle bezmiar kosmosu i gwiazd, zaczynają podpalać miasta, aby za wszelką cenę wytworzyć światło.

Jak sugeruje w swoim opowiadaniu Asimov, ludzkość – zarówno na poziomie indywidualnym, jak zbiorowym – tworzy się poprzez swój stosunek do nocy, ucząc się kontrolować niepokój, jaki ta budzi. Ale do tego konieczne jest regularne następstwo dnia i nocy. Jeśli ciemność nadejdzie nagle, bez ostrzeżenia, pożre nas lęk. Pokusa pozbycia się nocy, życia w wiecznym dniu, oznacza odmowę wejścia w dorosłość, a ściślej – odmowę zaakceptowania skończoności.

Dlaczego dotarliśmy do tego punktu? Aby to wyjaśnić, musimy porzucić science fiction, powrócić na ziemię i zidentyfikować w historii współczesnych społeczeństw mechanizmy, które doprowadziły do kryzysu nocy. Oświetlenie nigdy nie jest zwykłym problemem technicznym – to wybór polityczny.

Kryzys nocy

Pierwsze latarnie publiczne pojawiły się w połowie XVI w. W pierwszej połowie XIX w. w dużych miastach Europy latarnie naftowe zostały zastąpione przez oświetlenie gazowe – w Londynie na samym początku wieku, w Paryżu w latach 40. XIX w. Wzrost liczby lamp publicznych miał dwie główne przyczyny – po pierwsze, wraz z pojawieniem się omnibusów i tramwajów wzrosła intensywność ruchu miejskiego, a ludzie chcieli poruszać się także w nocy. Po drugie handel odkrył korzyści płynące z oświetlenia. Na bulwarach wielkich miast pojawiły się „domy towarowe”, z rozświetlonymi fasadami i reklamami.

Aż do ostatniego trzydziestolecia XIX w. Londyn i Paryż raczej trzymały się na dystans niż się widziały. Światło elektryczne stało się powszechne dopiero w ostatnich dwóch dekadach XIX w., po tym, jak w 1878 r. Edison wynalazł żarówkę. Ta technologia pozwoliła na zdecydowany wzrost intensywności światła. Pod naporem elektryczności noc ustąpiła. W *Belle Époque* miasta się rozrastały, wraz z nimi poszerzało się imperium sztucznego światła. Rewolucja, jaką było

>>>

* Socjolog. Niniejszy artykuł jest fragmentem wstępu do jego najnowszej książki pt. *Les besoins artificiels. comment sortir du consumérisme* (Paryż 2019).



WINSLOW HOMER, LETNIA NOC, 1890 R.

>>>

światło elektryczne, zmieniła naturę przestrzeni publicznej i formy towarzyskie. „Nowa energia elektryczna, w połączeniu z chęcią zabawy, doprowadziła do ożywienia nocnego, pełnego rozrywek życia” – pisze urbanistka Sophie Mosser. „Podświetlane reklamy pojawiły się we Francji około 1900 r., a w okresie międzywojennym stały się niezwykle popularne. Zaczęto masowo oświetlać budynki, sklepy i ich witryny, kawiarnie, teatry. W 1920 r. Paryż jest miastem zelektryfikowanym i bardzo z tego dumnym.”

Im jaśniejszy staje się świat, tym bardziej artyści fascynują się nocą, staje się ona głównym tematem sztuki XIX w., zwłaszcza w muzyce i literaturze. Choć nokturnów nie wymyślił Fryderyk Chopin (przypisuje się to Johnowi Fieldowi, 1782–1837), to ich cykl, jaki skomponował w latach 1827–1847 stworzył modę na tę formę muzyczną, której ulegli Robert Schumann, Franz Liszt, Gabriel Fauré i Claude Debussy. „Niecierpliwy zgiełk treści rozsądza tradycyjne ramy; gniew, strach, nadzieja, duma, udręka kłębią się gwałtownie w sercu nokturnu”, pisze Vladimir Jankélévitch w eseju *Chopin et la nuit* [8].

Światła samochodów

W okresie międzywojennym w historii oświetlenia publicznego ważną rolę odegrał rozwój przemysłu samochodowego. Potrzebne stało się przeciwieństwo oświetlenia jezdni. Oświetlenie publiczne, dotąd

obejmujące głównie miasta, wychodzi poza ich granice. A ściślej rzecz biorąc, łączy miasto z obszarami pozamiejskimi. Jeżdżenie to nie chodzenie, prędkość wymaga koncentracji, a zatem dobrego oświetlenia. We „wspaniałych latach 30.” państwo budowało duże osiedla mieszkaniowe, często daleko od miejsc pracy ich mieszkańców. Podróż do pracy i z powrotem wymaga sieci dróg, a te muszą być oświetlone w nocy. Oświetlenie publiczne rozpowszechniło się na terytorium całego kraju. Wreszcie Unia Europejska narzuciła krajom członkowskim pewne normy [9].

W dzisiejszych czasach oświetlenie wiąże się nie tylko z zabawą i życiem nocnym, ale także z bezpieczeństwem. Czy słusznie? To obecnie przedmiot dyskusji kryminologów. Większość z nich uważa, że jasne miejsca odstrasza przestępców. Więcej światła oznaczałoby zatem większe bezpieczeństwo, dlatego rozszerzenie oświetlenia nocnego to klasyczna już obietnica podczas kampanii przed wyborami do władz miejskich. Jednak żadne badanie nie potwierdza tej hipotezy [10]. Różne rodzaje przestępstw popełnia się o różnych porach dnia. Domy i mieszkania są zwykle okradane w ciągu dnia, gdy ich mieszkańcy są w pracy, z kolei sklepy i fabryki raczej w nocy [11]. Kradzieże z rozbojem zdarzają się zwykle w ciągu dnia w środkach transportu, i w nocy na parkingach samochodowych. Światło wpływa zapewne na poczucie bezpieczeństwa ludzi, ale na samo bezpieczeństwo składa się wiele czynników.

Jednak jasne miasto uważa się za miasto bezpieczne. W 2008 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Francji wysłało do urzędów miejskich zestaw zaleceń dotyczących poziomu jasności na ich terytorium. „Widoczność jest głównym elementem prewencji” – uważa Éric Chalumeau, dyrektor Icade-Suretis, firmy specjalizującej się w zarządzaniu zagrożeniami w lokalnych społecznościach. „Być widzianym i widzieć na odpowiednio dużą odległość to jedno z najważniejszych czynników spokoju.” [12] A co z widokiem nieba?

Chcemy ciemnego nieba

Nowe problemy to nowe ruchy społeczne. Walka przyjmuje formę żądania nowego prawa lub zaspokojenie nowej potrzeby. Tak stało się z „prawem do ciemności”. W 1988 r. powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Ciemnego Nieba (IDA), stojące na czele Dark-Sky Movement – ruchu na rzecz „ciemnego nieba” [13]. Początki ruchu sięgają wczesnych lat 70. XX w. w Stanach Zjednoczonych. Jego inicjatorami byli przede wszystkim naukowcy dyscyplin, w których prowadzi się nocne obserwacje, astronomowie i ornitolodzy. Wraz ze wzrostem świadomości zanieczyszczenia światłem, ich idee cieszyły się coraz większym powodzeniem.

IDA angażuje się w tworzenie „parków gwiazd” czy „rezerwatów ciemnego nieba”, (*dark-sky parks i reserves*), usytuowanych głównie na łonie natury, ale czasem także w miastach. W ich obrębie w pewnych godzinach sztuczne oświetle-

nie jest ograniczone, a nawet całkowicie zakazane. *Dark time* oznacza nocne ciemności, o które specjalnie się troszczymy. Czarny kolor ma na Zachodzie przeważnie negatywne konotacje, w tym wypadku jest odwrotnie. Chodzi o to, by minimalizując ludzką aktywność pomagać zachować nocne życie fauny i flory, ale także o to, by przyjeżdżający tam ludziom poczuć, co znaczy prawdziwa noc. By w końcu – jak to ujął jeden z aktywistów – doświadczyć „prawie słyszalnej nocnej ciszy” [14].

Obecnie na świecie jest około 40 takich parków. W 2013 r. IDA przyznała status „Dark Sky Reserve” szczytowi Pic du Midi w Pirenejach Wysokich, we Francji. Największy europejski park gwiazd znajdziemy w Wielkiej Brytanii. Rezerwaty oczywiście przyciągają odwiedzających i pozwalają czerpać zyski z przyrody, którą na powrót uczyniono dziewiczą, ale to nie jest najważniejsze. Przede wszystkim ich istnienie uświadamia nam, że ciemność jest obecnie rzadkim dobrem, tak cennym jak niezanieczyszczone powietrze lub zdrowa żywność, dla których ludzie – ci, którzy mogą sobie na to pozwolić – są gotowi pokonywać wiele kilometrów.

Jak chronić środowisko nocne?

We Francji toczy się walka o prawo do nocnej ciemności. W 1993 r. powstała „Karta ochrony środowiska nocnego”, wciąż można ją podpisywać. Została stworzona przez astronomów amatorów wspieranych przez naukowców, takich jak Jacques-Yves Cousteau, Albert Jacquard i Hubert Reeves. Doprowadziła do utworzenia w 1998 r. związanego z IDA Krajowego Stowarzyszenia Ochrony Nieba Nocnego (ANPCN) [15]. W 2007 r. dołączyło ono również do France Nature Environment (FNE), federacji zrzeszającej 3 tys. stowarzyszeń ekologicznych.

Organizacje te, działające na granicy nauki i polityki, rozpowszechniają mapy zanieczyszczenia światłem inspirowane *Światowym Atlasem sztucznej jasności nocnego nieba*. Avex, grupa astronomów-amatorów z Vexin we Francji, która tworzy takie dokumenty [16], wystosowała oświadczenie: „Zanieczyszczenie światłem jest jak rak toczący noc, a wkrótce jak rak niszczący ludzi. Avex walczy o ekonomiczną, ekologiczną i epistemologiczną świadomość tej lekceważonej, nieznanej plagii”.

Społeczne działania przeciwko zanieczyszczeniu światłem skutkują postępową legislacją. W 2011 r. szwajcarski Federalny Sąd Najwyższy rozpatrywał sprawę mieszkańców kantonu Argowii skarżących się na męczące nocne oświetlenie jednej z fasad

domów w ich sąsiedztwie. W grudniu 2013 r. wydano wyrok, zgodnie z którym wszelkie „ozdobne” oświetlenie nocne, zarówno domów prywatnych, jak placówek handlowych, które nie służy bezpieczeństwu obywateli, ze względu na powodowane przez nie zanieczyszczenie światłem musi być wyłączane po godzinie 22.00 [17]. Jedy- nym wyjątkiem, na jaki zgodził się sąd, jest oświetlenie w okresie świąt Bożego Narodzenia – może być włączone do pierwszej w nocy. W uzasadnieniu Federalny Sąd Najwyższy stwierdza: „Taka decyzja tylko nieznacznie ogranicza prawo własności, a także inne podstawowe prawa wnioskodawców”. Orzeczenie to, wydane pod presją stowarzyszeń walczących o powrót do ciemnych nocy, stworzyło lukę między własnością prywatną a prawem jej oświetlania. Skoro sztuczne światło jest potencjalnie uciążliwe dla innych, samo posiadanie jakiegoś dobra nie pociąga za sobą prawa do jego oświetlania.

W innym wyroku ten sam sąd stwierdza, że należy chronić „zmiany koloru szczytu [góry Pilatus] o zmierzchu”. Ta szwajcarska góra wznosząca się niedaleko Lucerny od 1997 r. ma pozwolenie na częściowe oświetlenie nocne w celach turystycznych. Jak zauważył szwajcarski oddział IDA, w ostatnich latach coraz częściej oświetla się alpejskie szczyty [18]. Turystom oferuje się możliwość nocnej jazdy na nartach. Ograniczając sztuczne oświetlenie w imię ochrony „zmian kolorów” szczytu, Federalny Sąd Najwyższy uznaje, że zmierzch na górze Pilatus jest dziedzictwem, które należy zachować.

Wspólne niebo gwiaździste

Nad „patrimonializacją” nieba zastanawiają się też instancje międzynarodowe. Organizacja Narodów Zjednoczonych rozważa możliwość uznania gwiaździstego nieba za „wspólne dziedzictwo ludzkości”. W swojej „Deklaracji praw przyszłych pokoleń” z 1992 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury (UNESCO) uznała już niezbywalne prawo naszych potomków do „nieskażonego nieba” – prawo, które obecne pokolenia powinny im zagwarantować [19].

We Francji ustawy Grenelle I i II też uwzględniają kwestię zanieczyszczenia światłem. Dla federacji France Nature Environnement był to główny problem poruszany w negocjacjach. „Przeciw emisjom sztucznego światła, które może stanowić zagrożenie dla ludzi, fauny, flory lub ekosystemów, powodować ich zaburzenia, prowadząc do marnowania energii lub uniemożliwiając obserwację nocnego nieba, zostaną zastosowane środki pozwalające jej zapobiegać, stłu-

mić ją lub ograniczyć” – stanowi art. 41 ustawy Grenelle I z sierpnia 2009 r.

Pierwszy dekret dotyczący „zanieczyszczenia światłem” opublikowano w Dzienniku Urzędowym w lipcu 2011 r. Kolejny dekret, ze stycznia 2012 r., nakazuje wygaszanie świetlnych szyldów i reklam w godzinach od 1 w nocy do 6 rano, z wyjątkiem jednostek miejskich liczących ponad 800 tys. mieszkańców, czyli Paryża, Lyonu, Marsylii, Bordeaux, Lille, Nicei i Tuluz. W tych przypadkach burmistrzowie decydują, jakie w tej kwestii wprowadzić przepisy. W 2012 r. ministerstwo ekologii prognozowało, że wyłączenie szyldów pozwoli na oszczędność energii na poziomie około 800 gigawatogodzin (GWh), zaś reklam – 200 GWh, „co odpowiada rocznemu zużyciu energii elektrycznej (nie licząc ogrzewania i ciepłej wody) przez ponad 370 tys. gospodarstw domowych” [20]. Oświetlenie zewnętrzne stanowi około 50% zużycia energii elektrycznej przez wspólnoty terytorialne i prawie 40% rachunków za energię elektryczną w gminach [21].

Ciemność jako temat polityczny

Co za dziwna sytuacja. Do niedawna ciemność była oczywistością. Pomysł stworzenia ruchu społecznego w jej obronie przeszedł pokoleniom wydawałby się czymś dziwnym. Wraz ze „świetlną kolonizacją” to, co było normalne, zamieniło się w dobro, które trzeba odzyskać. Ciemność stała się tematem politycznym. Jej istnienie zależy od działania – lub bezczynności – państwa, od procesów ekonomicznych i technologicznych, od konfliktów, w których ścierają się rozbieżne interesy i reprezentacje.

Jak pokazał Jacques Rancière w *La Nuit des prolétaires*, już dla rodzącego się w latach 30. XIX w. ruchu robotniczego noc była kwestią polityczną [22]. Był to moment, w którym robotnicy zbuntowali się przeciw codziennym piekielnym rytmom narzuconym przez pracodawców i w końcu stali się „istotami myślącymi”. Noc przestała być już tylko porą służącą regeneracji snu. Stała się obszarem emancypacji. Robotnicy, o których pisał Rancière oddawali się w nocy zajęciom, na które w ciągu dnia, poddani ciągłemu wyzyskowi, nie mieli czasu – myśleli, tworzyli, organizowali się. Ruch przeciwko „utracie nocy” walczył o coś zupełnie innego – o to, by noc pozostała innym czasem niż dzień, mającym swoje specyficzne czynności – lub poświęconym bezczynności.

Sztuczne oświetlenie, zarówno publiczne jak domowe, jest postępek. Życie nocne zyskało współcześnie wielkie znaczenie. Kolacje

z przyjaciółmi w restauracji, nocne spacerowanie po mieście samotnie lub z ukochaną osobą... wszystko to nie byłoby możliwe bez sztucznego światła. Choć oświetlenie stało się uciążliwe, płynące z niego korzyści wcale nie zniknęły. Aktywiści walczący o „prawo do ciemności”, z wyjątkiem garstki „surwiwalistów”, nie domagają się usunięcia sztucznego światła i powrotu do poziomu oświetlenia z dawnych czasów. Chcą tylko, by zmniejszyć jego intensywność tam, gdzie jest to możliwe.

Ich postulaty wiążą się z fundamentalną kwestią, z jednym z ważniejszych pytań naszego wieku: czego tak naprawdę potrzebujemy? Czy sztuczne oświetlenie jest uzasadnioną potrzebą? Czy jest niezbędne dla naszego środowiska i zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego? Bez wątpliwości sztuczne światło nie jest naturalną potrzebą tej samej wagi, co zaspokojenie głodu lub ochrona przed zimą. Przez tysiące lat nasi przodkowie radzili sobie bez lamp ulicznych. Jednak nie będąc potrzebą żywotną, jest niezbędne, byśmy mogli dalej żyć tak, jak żyjemy, robić rzeczy, z których nie chcemy zrezygnować.

Musimy pogodzić się z faktem, że sztuczne oświetlenie jest jednocześnie uzasadnioną potrzebą i rodzajem zanieczyszczenia, z którym trzeba walczyć. Chodzi o wyznaczenie granicy oddzielającej potrzebne sztuczne oświetlenie od zanieczyszczenia światłem. Zresztą ten problem nie dotyczy wyłącznie sztucznego światła. Nadchodząca przemiana ekologiczna zmuszająca nas do ograniczenia przepływu surowców i wydatków energetycznych wymaga dokonania drastycznych wyborów. Ale na jakiej podstawie podjąć takie decyzje? Jak odróżnić uzasadnione potrzeby, które mogą zostać zaspokojone w przyszłej ekologicznej demokracji, od potrzeb egoistycznych, niesłużących równowadze, z których musimy zrezygnować?

Razmig Keucheyan
tłum. Anastazja Dwulit

[1] Robert Dick, *Guidelines for Outdoor Lighting in Dark-Sky Preserves*, Royal Astronomical Society of Canada, Toronto 2013.

[2] Travis Longcore, Catherine Rich, „Ecological light pollution”, *Frontiers in Ecology and the Environment*, vol. 2, nr 4, Waszyngton, maj 2004.

[3] Samuel Challéat, „La pollution lumineuse: passer de la définition d'un problème à sa prise en compte technique”, w: Jean-Michel Deleuil (red.), *Éclairer la ville autrement. Innovations et expérimentations en éclairage public*, Presses

polytechniques universitaires romandes, Lozanna 2009.

[4] Zob. Barbara Demeneix, *Le Cerveau endommagé. Comment la pollution altère notre intelligence et notre santé mentale*, Odile Jacob, Paryż 2016.

[5] Zob. Samuel Challéat, Dany Lapostolle, „(R)concilier éclairage urbain et environnement nocturne: les enjeux d'une controverse sociotechnique”, *Nature Sciences Sociétés*, tom 22, nr 4, Les Ulis 2014.

[6] Verlyn Klinkenborg, „Our vanishing night”, *National Geographic*, 11/2008.

[7] Fabio Falchi i in., „The new world atlas of artificial night sky brightness”, *Science Advances*, Waszyngton, 06/2016.

[8] Por. Vladimir Jankélévitch, „Chopin et la nuit”, *Le Nocturne. Fauré, Chopin et la nuit, Satie et le matin*, Albin Michel, Paryż, 1957.

[9] Por.: „Les normes européennes de l'éclairage”, *Lux. La revue de l'éclairage* (organ Association française de l'éclairage), nr 228, Paryż, 5/6 2004.

[10] Robert Dick, *Guidelines for Outdoor Lighting in Dark-Sky Preserves*, op. cit.

[11] Sophie Mosser, „Éclairage et sécurité en ville: l'état des savoirs”, *Déviante et société*, tom 31, nr 1, Chêne-Bourg, 2007.

[12] *Le Monde*, 26.01.2008.

[13] Zob. strona stowarzyszenia: www.darksky.org.

[14] Marc Lettau, „Face à la pollution lumineuse en Suisse, les adeptes de l'obscurité réagissent”, *Revue suisse*, Berne, 10/2016.

[15] Zob. strona stowarzyszenia: www.anpcen.fr.

[16] Zob. strona stowarzyszenia: www.avex-asso.org.

[17] Orzeczenie IC_250/2013 z 12.12.2013.

[18] „Inquiétante augmentation de la lumière dans les Alpes”, Dark-Sky Switzerland, komunikat prasowy, 6.04.2013.

[19] Zob. Cipriano Marín, Francisco Sánchez, „Les réserves de ciel étoilé et le patrimoine mondial: valeur culturelle, scientifique et écologique”, *Patrimoine mondial*, nr 54, 2009.

[20] *Nuisances lumineuses*, ministerstwo ekologii, 15.02.2012, na stronie internetowej ministerstwa.

[21] Por. *Éclairer juste*, Agence de l'environnement et de la maîtrise de l'énergie (Ademe), Association française de l'éclairage (AFE) i Syndicat de l'éclairage, 2010, www.ademe.fr.

[22] Jacques Rancière, *La Nuit des prolétaires. Archives du rêve ouvrier*, Fayard, Paryż 2012.

UTRATA KONTROLI

Spółeczeństwo w poszukiwaniu nowych kierunków

Wszystko ulega dramatycznemu przyspieszeniu. Czas społeczny funkcjonuje w tempie odmiennym dla technologii, rozwijających się w sposób, który nas oszałamia, dla kultury, która ewoluuje znacznie wolniej, oraz dla praw, które zmieniają się dopiero wtedy, gdy nagromadzone przeobrażenia społeczne dosłownie rozsadzają odziedziczone ramy prawne. Części całości przestają do siebie pasować.

LADISLAU DOWBOR*

Senat amerykański wzywa do siebie kogoś takiego, jak Mark Zuckerberg, aby zrozumieć, co się dzieje. Twórca systemu odpowiada, że nie miał pojęcia o skutkach i przeprasza. Miliardy ludzi ugrzęźły w systemie, którego szerszych dynamik nikt nie przewidział, gdyż na ślepo wzięły udział w ryzykownej grze. Zawsze jesteśmy opóźnieni w porównaniu z postępami technologii, starając się znaleźć *a posteriori* reguły gry, opowiadające rzeczywistości, która zawsze nas wyprzedza. Co uczynić z uberyzacją czy z elektroniczną inwazją prywatności lub z pułapką zadłużenia i wysokich stóp dywidend?

Spółeczne arytmie

Bezpośrednio związana z przeobrażeniami technologicznymi, które dezorganizują zarządzanie społeczeństwem z powodu arytmi zmian rozmaitych instancji społecznych, jest kwestia globalizacji – terminu tego używamy tu jako skróconej nazwy dramatycznej kompleksowości reorganizacji terytorialnej bazy zarządzania. Jaką przestrzeń decyzyjną ma rząd na szczeblu krajowym, kiedy system finansowy jest globalny? Dobrze wychowani ludzie dorosli nie szczędzą sobie na Wall Street wybuchów radości, wrzeszcząc *Greed is Good!*, i okazują zdziwienie, kiedy miliony kredytobiorców tracą swoje domy, i kiedy takie banki jak Lehman Brothers zamykają swoje podwoje. Dysproporcja między rozmiarami zasobów, którymi się posługują, a niewiedzą o skutkach operowania tymi zasobami jest przerażająca. Takie filmy, jak *Inside Job* i *Le Capital* oraz inne pokazują w sposób czy to dramatyczny, czy zabawny nieodpowiedzialność

i chaotyczne wymiary systemu. Dla 850 mln osób, które głodują, dla 6 mln dzieci, które co roku umierają z głodu, nie ma w tym nieodpowiedzialnym chaosie nic zabawnego.

Różne czasy historyczne

Mamy XXI-wieczne technologie i procesy produkcji oraz kulturę, instytucje i prawa skonstruowane dla minionego stulecia. Mamy rządy narodowe i zglobalizowaną w dużej mierze gospodarkę. Innymi słowy – dylemat ten zainteresowałby Marksa – mamy nadbudowę stworzoną do regulacji społeczeństwa burżuazyjnego epoki przemysłowej, a baza ekonomiczna wyemigrowała już do sfery cyfrowej. Czy ludzie zdają sobie sprawę z tego, że dla przetrwania rządu i jego polityki ekonomicznej żywotne znaczenie ma formalnie wyrażona opinia trzech prywatnych przedsiębiorstw – agencji ratingowych Fitch, Moody's i Standard & Poor's – toteż nie liczą się z opiniami obywateli? Do kogo należą te przedsiębiorstwa, napiętnowane nawet na łamach *Economist* jako nieodpowiedzialny oligopol, lecz decydujące o losach naszych rządów?

Niedopasowania są systemowe. Erozja planetarna zarządzania – wystarczy policzyć, ile mamy rządów nieodpowiedzialnych, zaczynając od administracji Trumpa – ma katastrofalne skutki. Tylko ślepi nie widzą, że niszczymy planetę, samą podstawę naszego przetrwania, i że czynimy tak dla dobra klasycznego już 1% najbogatszych, których osobliwość polega na tym, że są nieproduktywni, jeśli nie wręcz szkodliwi. W Brazylii, po zaaprobowaniu minimum rozsądnych reguł w konstytucji z 1988 r., doszliśmy do sytuacji, w której trzeba było stawiać czoło oligarchii, przekonanej, że jej już i tak nieprzystwoite przywileje nie są należycie uwzględniane. Zamiast pogrzebać w przywilejach, pogrzebmy w konstytucji. Mówi

się również, że interesy bogaczy nie mieszczą się w urnach. Kiedy trzeba wybierać między interesami a demokracją, oligarchia najbogatszych się nie waha, choć sama również traci na tym, gdy szerzy się kryzys z jego konfliktami i recesjami. Kiedy chodzi o politykę, racjonalność zajmuje w naszych mózgach niewielką przestrzeń.

Rzeczy oczywiste i wywrotowe

Joseph Stiglitz występuje dziś w roli wywrotowca, kiedy pisze traktat o tym, co oczywiste – że musimy zmienić reguły gry: mocne jest jego *Rewriting the Rules*, o którym wyżej była już tu mowa i w którym nawołuje, aby dzielić się dobrobytem. *Plan B 4.0* Lestera Browna uwidoczni tragedię ekologiczną, do której doprowadziliśmy planetę, i domaga się planu B właśnie dlatego, że plan A, z którym żyjemy – *valle tudo*, zwany „wolnorynkowym” lub „neoliberalnym” – jest katastrofalny. Nie sposób już zliczyć inicjatyw, takich jak *The Next System* w USA, *New Economics Foundation* w Wielkiej Brytanii, *Alternatives Économiques* we Francji i tyłu innych na całym świecie, jak np. *Global Green New Deal*. Takie propozycje, jak te, które zgłasza Bernie Sanders, apelując o przyzwoitsze płace i o bardziej demokratyczne społeczeństwo, okazują się dziś po prostu rozsądne dla tylu ludzi, którzy choćby minimalnie rozumieją politykę gospodarczą. Cele Zrównoważonego Rozwoju wyraźnie wyciskają swoje piętno na reorientacjach, które są nieodzowne dla zapewnienia nam równowag, przy całej kruchości porozumień opartych na dużej dozie dobrej woli, lecz dysponujących niewielkimi zasobami.

Godne uznania jest to poszukiwanie, które skutkuje obfitością nowych analiz. Prawda jest taka, że to, co nazywamy rynkiem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, tzn. wielość przedsiębiorstw, starających

się zadowolić klientów i podlegających mechanizmowi konkurencji, stało się rzeczą marginalną. Kontrolę przejęły giganty korporacyjne i mechanizmy oligopolistyczne, które odnajdujemy w platformach planetarnych, w postaci traderów towarów handlowych, w wielkich mediach, w bankach, funduszach emerytalnych, prywatnych ubezpieczeniach zdrowotnych, u sprzedawców na kredyt, w firmach ubezpieczeniowych, telekomunikacji, przemyśle farmaceutycznym, w świecie produkcji pestycydów i w tylu innych, sfinansjeryzowanych dziś segmentach, których nie kontrolują konsumenci (konkurencja na rynku) ani rządy (systemy regulacji). Nadal nazywają się „rynkowymi”, choć to tylko szyld, za którym kryje się oszustwo. Odpowiedzialni za to oszustwo nazywają się prezesami przedsiębiorstw, którzy prowadzą politykę z dnia na dzień.

Upłynęło dużo atramentu, wiele doświadczeń przeprowadzono wokół „wolnego rynku” i „planowania państwowego”, jako przeciwstawnych biegunów organizacji rozwoju społeczeństw. To, co dziś mamy, nie pozwala ani na zaprowadzenie mechanizmu równowagi, właściwego wolnej konkurencji, która ogranicza się do nielicznych sektorów, ani na ujawnienie mocy racjonalizacyjnej planowania społeczno-gospodarczego. Droga prowadząca do szeroko pojętego zarządzania systemem wymaga w moim przekonaniu ewolucji ku systemom mieszanym i zróżnicowanym w zależności od sektorów. Jesteśmy społeczeństwami zbyt złożonymi na to, aby można było administrować nimi w ramach upraszczającej ideologii – jednej czy drugiej. Tę wizję kompleksowego powiązania mechanizmów regulacji rozpatrujemy w innej pracy – *O pão nosso de cada dia*, o zróżnicowaniu procesów produkcji. Marjorie Kelly pisze szeroko o przeobrażeniach pojęcia własności, wskazując nowe kierunki po linii własności inkluzywnej. Elinor Ostrom dokonała znakomitych analiz stosunków własności w dziedzinie dóbr wspólnych. Chiny opowiadają się dziś formalnie za powiązaniem rozmaitych podsystemów własności.

W zwolnionym tempie

Jeśli chodzi o przyszłość, przewidywalność jest niewielka. Poczynając od pewnej liczby zmiennych,

* Ekonomista, profesor Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego w São Paulo. Konsultant wielu agend ONZ, były doradca prezydenta Brazylii Luli da Silvy.

które krzyżują się chaotycznie, niewątpliwie można walczyć o formy zarządzania, zapewniające nam systemową redefinicję kierunków naszych działań w ramach minimum wolności indywidualnej, lecz to, co z tego wyniknie, będzie dalekie od wszelkiej konstrukcji racjonalnej i znacznie mniej przewidywalne. Innymi słowy przyszłość jest niepewna. Wiemy natomiast o tym, że obecna tendencja, z powodowanymi przez nią tragediami ekologicznymi, wybuchem nierówności i zasobami finansowymi i technologicznymi, służącymi wszystkiemu, tylko nie temu, co konieczne, prowadzi nas do czegoś, co bardzo dobrze nazwano *slow-motion catastrophe*, katastrofą w zwolnionym tempie.

Powracając do naszej początkowej hipotezy, należy zadać sobie pytanie, czy wraz z nowymi stosunkami technicznymi i społecznymi oraz nowymi formami władzy i zawłaszczania nadwyżki powstanie nowa równowaga systemowa, inny niż dotychczasowy sposób produkcji. Nowe formy panowania nie będą cechowały już koniecznie kapitalistycznego sposobu produkcji, a alternatywą niekoniecznie jest socjalizm. W miarę utrzymywania się obecnych tendencji narasta poczucie, że szybko ewoluujemy w kierunku społeczeństwa nadzorowanego, w którym coraz bardziej niezrównoważona i z tego właśnie powodu coraz bardziej opresyjna władza będzie wyjaśniała tragedie społeczne i ekologiczne tym, że są one konieczne. Ta pesymistyczna wizja bierze się z tego, co konstatujemy i pod żadnym względem nie umniejsza konieczności walki o godny dla wszystkich i długofalowo zrównoważony rozwój, polegającej na zamianie zagrożeń w szansę. Jak lubi mówić Ignacy Sachs, pesymista to dobrze poinformowany optymistą.

Socjalizm na dziś

W swoim pierwotnym znaczeniu społecznego zawłaszczania i demokratycznego charakteru procesów naszego rozwoju, socjalizm demokratyczny pozostaje konkretniejszy niż kiedykolwiek. Nazywanie w dalszym ciągu tego, co przeżywamy, kapitalizmem może być śliskie: dla wielu kapitalizm jest odpowiedzialny za wzbogacenie się świata – ma zasadniczo pozytywny walor. Dla innych symbolizuje wyzysk. System, z którym dziś się borykamy, zatracą swój wymiar polegający na wzbogacaniu społeczeństw i zaostża wyzysk. Stał się w istocie systemem pasożytniczym, który – aby się utrzymać – wymaga coraz większej opresji.

Coraz trudniej jest negować fakt, że skończyły się czasy, kiedy do zwierzęcia, które znaleźliśmy – do kapitalizmu przemysłowego – doda-

waliśmy, w miarę jak nabierało ono nowych kształtów, określenia w rodzaju trzecia czy czwarta rewolucja przemysłowa, kapitalizm globalny, kapitalizm finansowy itp. Dziś chodzi o to, aby zdać sobie sprawę, że rodzi się inne zwierzę oraz aby w sposób systemowy pomyśleć, co to takiego. Podstawową jednostką ekonomiczną nie jest fabryka, lecz platforma lub bank; produkt jest coraz bardziej niematerialny; stosunki pracy są coraz bardziej zróżnicowane i rozczłonkowane, z silną redukcją pracy najemnej; forma wyciskania wartości dodatkowej ześrodkowuje się coraz bardziej na finansowych mechanizmach wyzysku; wolny rynek jako centralny mechanizm regulujący kapitalizm ogranicza się do marginalnych segmentów; władzę nad społeczeństwami sprawuje się coraz bardziej za pośrednictwem środków kontroli medialnej, algorytmów i najazdu na prywatność; przestrzeń rządów, ograniczonych do swoich granic państwowych,

wyduje się coraz mniej zdolna do zapewnienia funkcjonalnego zarządzania; systemy prawne są zawłaszczane i tracą swoje reguły gry, które zapewniały nam pewne bezpieczeństwo.

Dołączalność planetarna

Z drugiej strony kieszenie ludzi są wyposażone w dołączalność planetarną i oczywiście główny czynnik produkcji – wiedza – jest czynnikiem produkcji z nieograniczonym potencjałem dostępu. Mówiliśmy już o tym kilkakrotnie, lecz powtarzam to ze względu na centralną rolę, jaką odgrywa w restrukturyzacji społeczeństwa, gdyż radykalnie zmienia podstawę analizy ekonomicznej, skupionej na alokacji zasobów rzadkich. W epoce wirtualnego pieniądza i dołączalności same systemy finansowe stwarzają możliwości radykalnego odpośredniczenia. Takie przedsięwzięcia, jak brazylijski Koszyk Rodzinny (Bolsa Família) czy systemy mi-

krokredytu, dowodzą, że najnowocześniejsze technologie są w stanie radykalnie sprostować najbardziej skandalicznym przejawom naszego zacofania – głodowi i umieralności niemowląt – przy kosztach, które są śmieszne w porównaniu z marnotrawstwem zasobów i ich czysto spekulacyjnym wykorzystaniem. Można rozdzielić pracę między ludzi i przemysłu dzień roboczy tak, aby więcej ludzi pracowało i aby ludzie mieli więcej czasu wolnego. Żyjemy w epoce ogromnych szans, które się marnotrawi lub nie w pełni wykorzystuje. Procesy podejmowania decyzji mogą dziś być radykalnie zdemokratyzowane za pośrednictwem poziomych powiązań sieciowych.

Bardzo istotne pytanie dotyczy losów tzw. walki klas. Świat pracy jest rozczłonkowany, jego sektory i podsektory są bardzo zróżnicowane, co utrudnia jego wewnętrzne



ANNA OSTOJA, GABINET „ŚWIAT JUTRA”, 2016, MALARSTWO, ZAPIEKTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, REPRODUKCJA NA LICENCJI CC BY-NC-ND 3.0

>>>

powiązania. Proletariat przemysłowy jest wyraźnie mniejszościowy nawet w silnie uprzemysłowionych krajach i w USA stanowi około 5% ludności czynnej zawodowo. Wraz z rozczłonkowaniem świata pracy słabną również związki zawodowe i partie robotnicze jako narzędzia zorganizowanego działania politycznego. A co dzieje się dziś z „klasą panującą” – z 1% nieproduktywnych bogaczy? Ich nieproduktywność i przeszkoda dla postępu, którą stanowią, powodują olbrzymią kruchość tej klasy w porównaniu z burżujem-wyzyskiwaczem z minionego stulecia, który przynajmniej wytwarzał buty, niewiele płacił swoim pracownikom, ale płacił i uiszczał podatki: on mógł powiedzieć, że więcej pieniędzy dla burżuazji to więcej inwestycji i więcej postępu. Dziś tak już nie jest. Istniejący dziś kapitalizm nie posuwa się naprzód, lecz blokuje. Jest systemowo dysfunkcjonalny. W dużej mierze wyjaśnia to, dlaczego kurczą się na całym świecie przestrzenie demokratyczne.

Gdzie się toczy walka klas?

Autorytaryzm opiera się szczególnie na nowej i potężnej cyście władzy, której na ogół nie docenialiśmy – na „oddziałach uderzeniowych” ultrabogaczy: ekonomistach, adwokatach, administratorach, informatykach, którzy sytuują się na szczycie hierarchii procesów decyzyjnych i utrzymują dzisiejszy zdeformowany system. Są to kontrolerzy maszyny, otrzymujący wielomilionowe pensje i bonusy. Thomas Piketty przedstawia ich jako tych, którzy odgrywają centralną rolę w nierównowagach dochodowych i majątkowych. Zasadnicze znaczenie ma jednak władza, którą sprawują w sprawach ukierunkowania użytku, jaki z naszych zasobów robią korporacyjne giganty. Kontrolują kluczowe stanowiska, przenoszą się z rad nadzorczych korporacji do urzędów (tzw. *revolving door*, drzwi obrotowe) oraz w epoce nowych technologii i zarządzania algorytmami zawłaszczają absolutnie niesamowitą władzę. Nie należy oczekiwać od tej nowej wyższej klasy średniej elastyczności ani spodziewać się, że ci uprzywilejowani zawahają się przed upowszechnieniem opresyjnych systemów kontroli społecznej. Proszę pomyśleć o władzy młodego dyrektora brazylijskiego lidera usług informacyjnych Serasa Experiana – on może umieścić nas w klasie tych, którym odmawia się udzielania kredytów, gdyż borykamy się z trudnościami finansowymi, i pozbawia nas wielu praw, natomiast banki, które praktykują lichwę, nie mają nad sobą żadnej instytucji regulującej ich działalność (lub mają fikcyjną, taką jak

banki centralne czy Bank Rozrachunków Międzynarodowych).

Nasze badania ograniczają się na ogół do oceny poziomów dochodu i do definiowania na tej podstawie klasy średniej oraz wyższej klasy średniej. Tymczasem ważniejsze jest zrozumienie funkcji tej ostatniej w machinach władzy oraz siły, którą stanowi ta technokracja, zajmująca kluczowe stanowiska w korporacjach, rządach, sądownictwie, mediach czy naszych *think tankach*, które wypracowują „narracje”. Tworzy ona dziś powiązany system w swoich rozmaitych organizacjach klasowych, lecz tym, co wiąże ją i daje jej poczucie jedności, jest zbieżność interesów. Walka klas zmieniła miejsce, na którym się toczyła, i technokracja zaczęła odgrywać w naszym społeczeństwie, opartym na tym, co niematerialne, rolę zasadniczą, całkowicie zbieżną z interesami wielkich fortun rentierskich: ona również jest jak najbardziej zainteresowana w przychodach finansowych. Drobną burżuazją, której analizę znajdujemy u Marksa i na którą składali się właściciele środków produkcji na małą skalę, różni się zasadniczo od tej potężnej maszyny władzy, którą dziś reprezentuje technokracja w ramach gospodarki w przeważających stopniu skoncentrowanej na kontroli informacji i przepływów finansowych – a te ostatnie również stanowią znaki magnetyczne.

Świat zdominowany przez planetarne korporacje nie jest kontrolowany przez konkurencję rynkową, która do pewnego stopnia równoważyła grę, a tym mniej przez system polityczny, który tzw. regulacją powinien zapewniać przeciwwagę. Mamy do czynienia z wojowniczością tego, co prywatne i nie podlegające hamulcom publicznym. Świat korporacyjny, energiczny, planetarny, niekontrolowany, wyposażony w nowe technologie, które pozwalają na radykalnie rozszerzone wyciskanie nadwyżki społecznej i zapewniają o wiele przenikliwsze formy kontroli świadomości, napina mięśnie i zmierza wprost do sedna rzeczy: bieżącej maksymalizacji zysków, w której najnowocześniejsze technologie służą krótkofalowemu zawłaszczaniu nadwyżki bez względu na katastrofę gospodarczą, społeczną i ekologiczną, jaką to powoduje.

Korporacje i policyjne pałki

Znieczulonemu światu oferuje się bajkę o zasługach i efektywności oraz o tym, że to bogaci dynamizują gospodarkę, a ponieważ burzenie wymaga winnych i ukierunkowania nienawiści, dramaty będzie przedstawiać się jako winę państwa, której nic nie może tak dobrze zarządzić, jak mniejsze podatki dla korporacji i większe prywatyzacje. Jak

na ironię, ponoszące za wszystko winę administracje publiczne są kontrolowane właśnie przez korporacje. Oczywiście, w ostatniej instancji dla nieprzekonanych są policyjne pałki.

Zwierzę wyraźnie nie jest już to samo. Choć jeszcze chaotyczne i chrome w swojej metamorfozie, niewątpliwie jest innym zwierzęciem. Zafascynowani, ale i zaleknieni obserwujemy proces, którego dynamika wyraźnie nam umyka. To, że myślimy o tym jako o innym systemie czy innym sposobie produkcji, ma tę zaletę, że możemy zarazem myśleć o nowych, koniecznych regulacjach gry, zamiast zastanawiać się nad tym, jak zaimprovizowanymi podporami sprawić, aby świat funkcjonował w starych ramach. Nadbudowy trzeba przemyśleć w obliczu głębokich przeobrażeń w bazie produkcyjnej społeczeństwa. Czy możemy trochę pomarzyć?

Na przykład w tej epoce panowania nieproduktywnego rentierstwa finansowego i akumulacji gigantycznych fortun spekulacyjnych należy uczynić obowiązkową *disclosure*, jawność, przejrzystość kont oraz sprawić, aby system podatkowy przekierowywał zasoby na działalność produktywną. Wprowadzając niewielki podatek od transakcji finansowych stworzylibyśmy zasoby, które byłyby produktywnie inwestowane, a zarazem zapewnili byśmy przejrzystość przepływów. Drogę wskazuje już pomysł zarówno ściąganiego z transakcji podatku Tobina, jak i ściąganiego z kapitału finansowego podatku, opisanego przez Piketty’ego. Realizując te pomysły pokonalibyśmy dyslokację osi obciążeń podatkowych.

Epoka technologii

W epoce, w której główny czynnik produkcji jest niematerialny i daje się rozpowszechniać wśród wszystkich bez ponoszenia kosztów dodatkowych, pojęcie prywatnej własności środków produkcji, które jest wspornikiem prawnym kapitalizmu, wymaga dyslokacji – powinna ona zapewniać wynagrodzenie tym, którzy tworzą, nie blokując jednak dostępu innym i reprodukcji przez innych. W rozległych studiach wykazuje się, że systemy patentów, praw autorskich i tantiem bardziej przeszkadzają innowacjom niż im sprzyjają. Chodzi o dopasowanie pojęcia własności do produktywności społecznej. Drogi przecierają prace Lawrence’a Lessiga, Jeremy’ego Rifkina, Dona Tapscotta i wielu innych.

W tej epoce przyspieszonego wprowadzania nowych technologii, które zastępują siłę roboczą, należy zapewnić odpowiednie reguły gry, wypracować nowe pojęcie umowy społecznej, łącząc postępujące skracanie czasu pracy i sprawliwszą

redystrybucją pieniądza ze sprawliwszą redystrybucją prawa do zatrudnienia/pracy, w myśl propozycji Guy’a Aznara i tego, co stosuje się w różnych krajach. Stworzy to możliwości sprawliwszej dystrybucji zarówno pracy, jak i dostępu do dochodu, a jednocześnie zapewni czas konieczny dla prowadzenia działalności związanej z dyskrejonalnym korzystaniem z czasu wolnego, w tym z życia rodzinnego i społecznościowego, kultury, sportu itp. Mniemanie, że fakt, iż mamy więcej technologii, a zatem większe moce produktywne, stanowi zagrożenie, to bzdura: zagraża nam to, że spóźnimy się z dopasowaniem do siebie form organizacji czasu i wynagrodzenia. Lepsze życie jest w zasięgu naszych rąk.

Dochód podstawowy

W eksplozywnym stanie światowych nierówności należy powiązać ze sobą zarówno powszechny dochód podstawowy, jak i dostęp do polityk społecznych, takich jak ochrona zdrowia, edukacja, ubezpieczenia itp., tak, aby można było zarządzać zamętami i niepewnościami w toku obecnego przeobrażenia od epoki fabrycznej do epoki społeczeństwa kognitywnego. Jak już była o tym mowa, w Brazylii 35% ludności czynnej zawodowo pracuje w sektorze nieformalnym, „kombinując”, aby przetrwać – przeciętnie w Ameryce Łacińskiej w sektorze tym pracuje prawie 50%, a w Afryce aż 70%. Nie należy spodziewać się, że ludzie będą czekali na pracę. Ludzie desperowani reagują desperacko. Aby uniknąć eksplozji społecznych, które coraz bardziej nam zagrażają, należy wykazać się zdrowym rozsądkiem. Od strony ekonomicznej potrzebna jest po prostu konstatacja prostego faktu – tego, że koszt zaspokojenia przez wszystkich podstawowych potrzeb jest znacznie niższy niż koszt borykania się ze skutkami ich niezaspokojenia. Czy może mamy budować więcej murów na granicach? Świat ma dziś aż nadto wystarczające zasoby, aby wszystkim zapewnić minimum konieczne do przetrwania. Akumulacja bogactw przez miliarderów świadczy o ich przebiegłości, a nie o ich inteligencji.

Kruchość reguł globalnych

W epoce, w której gospodarka jest w dużej mierze światowa, nie możemy już administrować się jako społeczeństwa w oparciu o łataninę konstytucji 193 państw członkowskich ONZ, kiedy najważniejsze decyzje należą do gigantów korporacyjnych, które nie podlegają żadnej konstytucji. Należy zrekonstruować podstawowe reguły stosunków międzynarodowych, ponieważ jesteśmy planetą Ziemia, nie mamy innej i musimy zapewnić minimum globalnej spójności. W zglobalizo-

wanym świecie nieobecność czy kruchość reguł globalnych, kiepsko równoważonych przez takie inicjatywy, jak Agenda 2030, oznacza nasze zniszczenie w ramach czasowych, którymi objęte będą już nasze dzieci. Globalne korporacje wywierają swój destrukcyjny wpływ właśnie w tej próżni, jaką stwarza brak rządów światowych. Jak długo będziemy przyglądać się biernie likwidacji naszej przyszłości? Głupota rad nadzorczych wielkich korporacji polega na tym, że każdy członek takiej rady musi zyskać na maksymalizacji krótkoterminowych wyników, a jej doradcy techniczni uzyskać odpowiednie bonusy. Z sumy egoizmów nie powstaje altruizm ani nawet odpowiedzialna decyzja. Wszystkie wielkie banki przyczyniły się do kryzysu 2008 r. Czyżby nie znały się na finansach?

W szczególności, biorąc pod uwagę przepaść w postaci nierówności, dzielących kraje bogate i ubogie, sprawą palącą jest zapewnienie nowego paktu Północ-Południe, na wzór Global New Deal, zaproponowanego przez UNCTAD i usystematyzowanego w rozmaitych dokumentach, łącznie – u zarania – ze zwiastującym przyszłość raportem Willy’ego Brandta Północ-Południe z 1980 r. Zamiast chronić się przed ubogimi za murami i drutami kolczastymi pod napięciem na granicach państwowych, bogaci tego świata powinni posłużyć się podstawowymi elementami rozumowania ekonomicznego: potrzeby krajów najuboższych stanowią ogromny horyzont ekspansji inwestycji, nowych rynków i nie w pełni wykorzystanej siły roboczej. Powtórzę raz jeszcze, że bogaci nie powinni postrzegać polityki inwestycji w krajach najuboższych jako drenażu ich bogactwa, lecz jako szansę wyjścia ich samych ze stagnacji. Opodatkowanie transakcji finansowych i podatek od majątku finansowego mogą służyć współfinansowaniu inicjatywy podjętej na tym polu. Oczywiście, nie będzie wyjścia bez mobilizacji ponad 20 bilionów dolarów, stanowiących zasoby spekulacyjne w ramach podatkowych. Wielka Brytania podjęła pierwsze, nieśmiałe kroki na tej drodze, wymagając, aby na terytoriach *off-shore*, za które odpowiada, co najmniej informowano, do kogo należą kapitały. Pozostajemy na takim poziomie nieśmiałości.

Globalna urbanizacja

Świat szybko podąża ku powszechnej urbanizacji. Stwarza to ogromną przestrzeń, na której możliwe jest, aby w kolejnych miastach społeczności zawiązywały polityki rozwojowe, gdyż w każdym mieście lepiej wiadomo, czego mu potrzeba, niż w ministerstwie, oraz łatwiej jest decydować o produktywnej alokacji zasobów i ją śle-

dzić. Epoka, w której główne osie kształtujące gospodarkę nie znajdują się już w przemyśle i rolnictwie, lecz w służbie zdrowia, sporcie, oświacie, kulturze, informacji, rozrywce, bezpieczeństwie itp. – w politykach społecznych – ich zawłaszczanie przez korporacje, generujące nadmierne koszty i nierówności w dostępie, należy zastąpić powszechnym i bezpłatnym dostępem, którym zarządza się tam, gdzie mieszkają ludzie, w miastach, w ramach zdecentralizowanych i partycypacyjnych polityk. Jak widzieliśmy, redukuje to, a nie zwiększa koszty. Dostęp nie demokratyzuje się za pomocą *vouchers* i la Ronald Reagan, lecz lokalnymi politykami rozwojowymi w ramach efektywnego uwłasnowolnienia społeczności. Przykłady krajów nordyckich (patrz *Viking Economics* George’a Lakeya), Chin (*China’s Economy* Arthura Kroebera), Niemiec (*The Public Bank Solution* Ellen Brown) i innych wskazują na ogromny potencjał racjonalizacji, na którą pozwa-

la zarządzanie oraz decentralizacja podejmowania decyzji i dysponowania odpowiednimi zasobami.

W epoce, w której nasza działalność jest zasadniczo skupiona na tym, co niematerialne – na znakach magnetycznych naszych komputerów czy telefonów komórkowych – konieczne jest zrewidowanie pojęcia prywatności, które występuje w naszych konstytucjach. Dziś jest rzeczą nielegalną otwarcie czyjejś prywatnej korespondencji, lecz zmasowane wykorzystanie informacji o nas, naszych zdjęć i dotyczących nas ciekawostek jest powszechnym zjawiskiem i służy wybieraniu surrealistycznych polityków, pogoni za przewagą handlową, jeśli nie napastowaniu i najrozmaitszym prześladowaniom. W nowych regułach gry prawo do prywatności powinno odgrywać centralną rolę. Dziś nasze życie jest otwarte na oścież, natomiast działalność osób prawnych – korporacji – podlega ochronie. To przedsiębiorczość powinna jednak stać

się przejrzysta ze względu na skutki społeczne, jakie za sobą pociąga, oraz ze względu na fakt, że stanowią ją osoby prawne, natomiast ochrony wymaga życie prywatne osób fizycznych.

Czy ma sens wysuwanie w tych sprawach propozycji? Wszystko zależy oczywiście od układów sił. Te w dużej mierze zależą jednak od uświadomienia, od zrozumienia przez jak najszersze środowiska społeczne z jednej strony tego, jak się je obdiera, a z drugiej tego, jak ogromne szanse stwarza społeczeństwo kognitywne. Nigdy nie lekceważmy mocy idei. To ona właśnie przeobraziła świat.

Ladislau Dowbor

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

Fragment książki *Poza kapitalizm. Nowa architektura społeczna*, w tłumaczeniu Zbigniewa M. Kowalewskiego, która ukazała się właśnie w bibliotece alternatyw ekonomicznych *Le Monde diplomatique*.



ANNA OSTOJA, BURZE, 2016. MALARSTWO, ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, REPRODUKCJA NA LICENCJI: CC BY-NC-ND 3.0

DROGI NADZIEI

Bitwy które musimy wygrać

Wśród licznych absurdów towarzyszących ludzkiej egzystencji, najbardziej skandalicznym i nie do zaakceptowania jest fakt, że ludzkość nie zdołała nigdy zakazać wojny. A przecież ludzie wykazują się zdolnością dokonywania oszałamiających odkryć czy postępu naukowego, technicznego i poznawczego. Lecz każda nowa zdobycz sprawia, że wojenne zapędy są bardziej śmiertelne i skuteczne.

JEAN ZIEGLER*

Wchwili obecnej świat znów ogarnięty jest pożogą i spływa krwią. Nowe wojny unicestwiają każdego roku tysiące istnień ludzkich. Przemoc strukturalna wywoływana przez głód, epidemie, skażoną wodę niszczy rodziny.

Nasz świat dzielą lata świetlne od demokratycznego – sprawiedliwego, wolnego i szczęśliwego – ładu, o którym marzyli Franklin D. Roosevelt i Winston Churchill w 1941 r. Wydaje się, że nie ma lekarstwa na bezsilność ONZ i pracujących w niej ludzi.

Jedno z moich najgorszych wspomnień pochodzi z nocy 14 lutego 2014 r. Tego wieczora padał deszcz. Lodowate krople uderzały z dużą siłą. Pałac Narodów pogrążony był w ciemnościach. Oświetlone było tylko wejście od strony ulicy de la Paix i kilka okien na najwyższym piętrze. Tam, za zamkniętymi drzwiami, chroniona przez oenztowskich strażników zasiadała delegacja władz z Damaszku kierowana przez ambasadora Baszszara Dżafariego, błyskotliwego francuskojęzycznego intelektualistę, zręcznego negocjatora o niebywałej brutalności i cynizmie, a w sąsiedniej sali – 18 delegatów, mężczyzn i kobiet, koalicji syryjskich ruchów opozycyjnych. Jako że obie delegacje odmawiały bezpośrednich rozmów, między obiema salami krążył negocjator ONZ Lakhdar Brahimi.

Lakhdar Brahimi jest bez wątpienia jednym z trzech czy czterech najbardziej doświadczonych, wytrwałych i uzdolnionych negocjatorów, jakich

kiedykolwiek miała ONZ. Przez cały dzień krążyły pogłoski, że jest nadzieja, że obie strony konfliktu przystąpią do zawieszenia broni i że efekt negocjacji zostanie ogłoszony wieczorem. Służby prasowe ONZ rozstawiły w parku białe namioty wyposażone w plastikowe krzesła, ogrzewanie elektryczne i ekspresy do kawy. Liczni dziennikarze z całego świata czekali, trzęsąc się z zimna.

Na żywo z Aleppo

Wraz z Hasnim Abidim, szwajcarsko-algijskim politologiem i specjalistą od świata arabskiego [1] byłem zaproszony przez ogólnoarabską libańską stację telewizyjną z Bejrutu al-Mayadeen. Palestyński prowadzący i Hasni Abidi mówili po arabsku, ja – po francusku przy wsparciu tłumaczenia symultanicznego. Palestyńczyk powiedział mi z dumą: „Nadajemy bezpośrednio do Aleppo, Ghuty [2], Homs, ludzie słuchają nas bez przerwy. Będzie pan teraz mógł zwrócić się do nich bezpośrednio...”

Genewski program przerywany był regularnie sekwencjami ujęć, również transmitowanych na żywo, pokazujących sytuację przeżywaną przez mieszkańców bombardowanych miast. We wschodniej dzielnicy Aleppo, al-Szar, helikoptery sił rządowych zrzucały bomby z chlorem na grupę dzieci stojących w kolejce do piekarni. Małe dyszące ciała dogorywały na noszach. Dwie karetki na próżno próbowały przedostać się w pobliże zawałonego budynku. Słychać było wycie syren. Rodzice, rodzeństwo i sąsiedzi, płacząc, biegali bezładnie. Bezsilnie patrzyli, jak ich dzieci się duszą. Satelity przekazywały nam wszystkie te obrazy. Palestyński prowadzący odzyskał głos: „Doktorze Abidi, doktorze Ziegler, co należy zrobić?”

Negocjacje w Genewie zakończyły się kompletnym fiaskiem. 15 lute-

go Lakhdar Brahini zakończył rozmowy, które od 3 tygodni trwały w impasie. Po czym złożył dymisję ze stanowiska.

Od tego czasu rzezie trwają nadal. Baszszar al-Asad nadal wydaje rozkazy bombardowania szpitali, piekarni, szkół i dzielnic mieszkalnych swojego kraju [3]: w ciągu 5 lat wojny śmierć poniosło 250 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci, miliony odniosły rany i zostały okaleczone, a spośród 23 mln mieszkańców, jakich liczyła Syria w 2011 r., 6 mln szukało schronienia, uciekając za granicę, 7,6 mln uciekło wewnątrz kraju, 41 miast jest otoczonych i skazanych na „czarną dietę” czyli pozbawionych pożywienia, leków i wody pitnej, a całe miasta zostały zrównane z ziemią. Te masowe mordy mają miejsce każdego dnia i każdej nocy, pod niewzruszonym okiem całego świata.

Z czego wynika ta haniebna i pociągająca za sobą śmiertelne skutki bezsilność ONZ? Odpowiedź jest prosta: z rosyjskiego weta.

Rosja jest jednym z pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Aby ONZ mogło interweniować w wojnę czy przywrócić pokój, potrzebna jest jednomyślność pięciu stałych członków. Na parterze siedziby ONZ w Nowym Jorku w auli Rady Bezpieczeństwa wyłożonej cennymi gatunkami drewna i ozdobionej wspaniałym gobelinem rosyjski ambasador niezliczoną ilość razy podnosił rękę na znak niezgody na interwencję ONZ w Syrii.

Rosyjski parasol dla oprawcy

Wskutek rosyjskiego weta nie istnieje żaden korytarz humanitarny umożliwiający dostęp do oblężonej ludności cywilnej. Błękitne hełmy nie chronią syryjskich miast, żadna strefa zakazu lotów („no-fly zone”) nie przeszkadza helikopterom i bombowcom Baszszara al-Asada (a także Rosjan) ostrzeliwać ogniem budynków mieszkalnych.

W obecnych czasach prawo weta stało się przekleństwem ONZ. Jest winne bezsilności organizacji. A dokładniej – niemożności wypełnienia jej głównego zadania, zapewnienia zbiorowego bezpieczeństwa na naszej planecie. W Tartus, niedaleko Latakii, Rosja utrzymuje swoją jedyną bazę morską na Morzu Śródziemnym w myśl porozumienia zawartego w 1971 r. między ZSRR a baasistowską Syrią. Rosja chroni więc oprawców z Damasz-

ku... a jednocześnie własną bazę logistyczną w Tartus.

Pisałem już wcześniej, że w zachodniej części olbrzymiego Sudanu, na obszarach dawnego sułtanatu Darfuru, trzy afrykańskie ludy (animistyczne i chrześcijańskie) doznają krzywd z rąk islamistycznego dyktatora z Chartumu Omara al-Baszi-
ra. Setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci z pasterskich ludów massalit, fur i zaghawa, zostały zabite lub okaleczone przez ludzi generała, skazani na śmierć przez zorganizowany głód i zatrucie studni. Żołnierze reżimu, wspomagani przez najemników, dżandżawidów, otaczają wioski, zamykają ludzi w chatkach i palą ich żywcem.

Sudan jest wielką potęgą naftową. Jego głównym klientem są Chiny. W 2015 r. 11% ropy naftowej zużytej w Chinach pochodziło z Port Sudan. Od 6 lat chińskie weto w Radzie Bezpieczeństwa uniemożliwia jakąkolwiek interwencję ONZ w Sudanie.

Spychanie Gazy do morza

1,8 mln Palestyńczyków walczy o przeżycie na obszarze 360 km² getta, jakim stała się Strefa Gazy. Od 2006 r. armia, lotnictwo i marynarka wojenna Izraela utrzymują ścisłą i bezlitosną blokadę strefy. Szerzą się choroby nerek, ponieważ podziemne warstwy wody są zanieczyszczone, a Izrael nie pozwala na wwóz do Gazy materiałów budowlanych i wyposażenia, by odbudować stację oczyszczania wody zniszczoną w bombardowaniach. W szpitalu al-Szifa nie ma wystarczających ilości leków przeciwko nowotworom.

Mniej więcej co dwa lata Izrael bombarduje Gazę, wraz z dzielnicami mieszkalnymi, szkołami czy szpitalami, zabijając tysiące osób i okaleczając dziesiątki tysięcy innych.

Z przyczyn, o których już tu pisałem, Stany Zjednoczone blokują swoim weto jakiekolwiek działania ONZ, które mogłyby zapewnić ochronę ludności Strefy Gazy.

Skąd wzięło się prawo weta i jego stosowanie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ?

Prawo weta

Szkot John Boyd Orr, obecny w 1941 r. na pokładzie *USS Augusta* relacjonuje wyjątkowy moment, gdy Churchill zdecydowanie sprzeciwił się Rooseveltowi [4]: nie zgodził się na projekt karty opartej wyłącznie na zasadach demo-

* Dyplomata, socjolog, w latach 2000-2009 Specjalny Sprawozdawca ONZ ds. Rawa do Wyżywienia, od 2009 wiceprzewodniczący Komitetu Doradczego Rady Praw Człowieka ONZ.

kratycznych. Churchill obserwował z bliska dochodzenie Adolfa Hitlera do władzy... w zupełności zgodne z demokratycznymi zasadami.

Roosevelt ze swej strony był głęboko przekonany o nienaruszalności suwerenności każdego państwa. Obstawał też uparcie przy zasadzie równości między państwami członkowskimi, a zasada ta została ostatecznie zapisana w artykule 2 Karty: „Organizacja opiera się na zasadzie suwerennej równości wszystkich jej członków”. Niezależnie od jego pozycji, każde państwo członkowskie ONZ dysponuje jednym głosem w Zgromadzeniu Ogólnym. Régis Debray pisał, że suwerenność państw jest „sposobem nadania cechy równości między państwami nierównymi sobie. Buundi ma tę samą «suwerenność» jak Stany Zjednoczone. To zwariowane? Tak, to zwariowane. To wbrew naturze? Tak, to wbrew naturze. To to, co nazywamy cywilizacją” [5].

Groźna suwerenność

W listopadzie 1932 r. naziści zajęli czołową pozycję w wyborach do Reichstagu, zdobywając 196 miejsc, czyli 33% oddanych głosów. Ponad 11 mln niemieckich obywateli i obywaterek oddało głos na partię Hitlera. Socjaldemokraci (121 miejsc) i komuniści (100 miejsc) nie byli w stanie stworzyć koalicji. Zatem prezydent republiki, wiekowy marszałek Hindenburg w naturalny sposób powołał Hitlera na stanowisko kanclerza.

Rankiem 21 marca 1933 r. Hitler otworzył sesję Reichstagu w Garnisonkirche (kościół garnizonowy) w Poczdamie, miejscu pochówku pruskich królów, stojąc zaledwie kilka metrów od grobu króla Fryderyka II. Wysoka i wspaniała barokowa nawa wypełniona była oficerami SS, podoficerami z SA i generałami z Reichswehry. Hitler złożył przysięgę na konstytucję. Trzy dni później zażądał pełni władzy. 441 posłów Reichstagu, sterroryzowanych przez posłów z SS i przerażonych czarnymi mundurami i czapkami oznaczonymi znakiem Totenkopf (trupią czaszką) zagłosowało za przekazaniem pełnej władzy. Tylko 94 posłów odważyło się zagłosować przeciw.

Niemiecka demokracja drogą tajnego głosowania z pełną swobodą popęliła samobójstwo.

Za jedno z najbardziej imponujących dzieł naszych czasów uznaje 7-tomowe *Wspomnienia* Winstona Churchilla. Oto co pisze o dojściu Hitlera do władzy:

Z piekielnej głębi przepaści wezwał ciemne i dzikie furie drżące w najliczniejszej, najbardziej uległej, najbardziej nękaniej sprzecznościami, najniebezpieczniejszej rasie Europy. Zaprzędał się pozerającemu wszystko okrutnemu

bożkowi Molochowi, którego był kapłanem i wcieleniem [6].

Ta tyrania była zbudowana na nikczemności, nienawiści i brutalności.

Churchill był przeświadczony, że nic nie wyklucza w sposób absolutny powtórki podobnej katastrofy. Jak uniknąć tego, by w przystępie zamroczenia większość państw Zgromadzenia Ogólnego ONZ nie podjęła decyzji całkowicie sprzecznej z zasadami zawartymi w Kartcie i powszechnej deklaracji praw człowieka?

Trzeba zatem było wprowadzić hamulec bezpieczeństwa. I Churchill przeformułował swoją wizję: każde z pięciu państw, które wygrały II wojnę światową otrzymało prawo weta.

Jak zmienić ONZ?

Przez cały czas trwania jego mandatu sekretarza generalnego (1997-2006) Kofi Annan ubolewał nad istnieniem prawa weta i paraliżem ONZ wobec najokropniejszych wojen, jak ta w Somalii czy byłej Ju-

gosławii. Opuszczając swoje biuro w Nowym Jorku, zostawił, niczym testament, plan reformy Rady Bezpieczeństwa.

Reforma miałaby polegać na dwóch ważnych zmianach.

Użycie prawa weta miałoby być niemożliwe w odniesieniu do konfliktów wiążących się z popełnianiem zbrodni przeciwko ludzkości.

Stałe miejsca w Radzie Bezpieczeństwa miałyby zostać poddane rotacyjnym zmianom. Miejsca Francji i Wielkiej Brytanii stałyby się miejscami europejskimi i obejmowane byłyby po kolei przez Niemcy, Włochy, Hiszpanię, kraje skandynawskie itd. Chiny miałyby stracić na pewien czas swoje miejsce na rzecz Indii, Japonii, Indonezji itd. Podobnie byłoby z miejscem Stanów Zjednoczonych – zajmowałyby je kolejno Brazylia, Kanada, Meksyk itd.

Propozycje Kofiego Annana oparte są na zdrowym rozsądku i do dziś zachowują całą swoją wartość. Zawieszenie prawa weta w przypadku

zbrodni przeciwko ludzkości uwolniłoby ONZ od jej paraliżu. Rotacja na miejscach stałych członków pozwoliłaby stworzyć Radę Bezpieczeństwa lepiej oddającą istniejący obecnie układ sił między państwami w dziedzinie ekonomicznej, finansowej i politycznej.

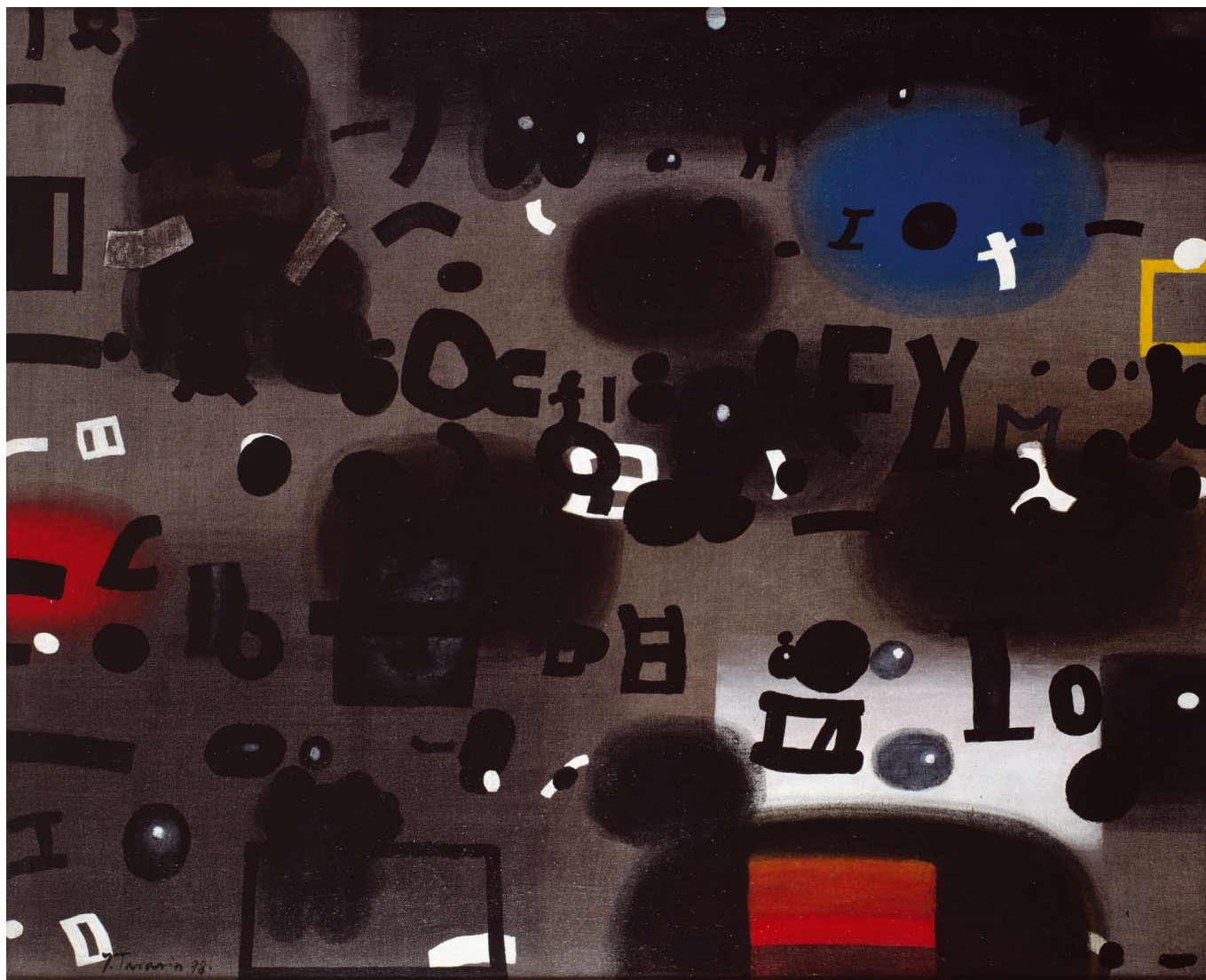
Jednak w 2006 r. projekt reformy rozbił się o betonowy mur: odrzucenie przez wszystkich pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa, bez zgody których żadna reforma nie jest możliwa. Plan został odłożony do szuflady w nowojorskim biurze organizacji. Lecz dziś – niczym za sprawą cudu – powraca.

W *Fenomenologii ducha* Hegel stwierdza: „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht” („Historia świata jest sądem świata”) [7].

Zmiany sytuacji materialnej pociągają zawsze za sobą pewne zmiany ideologiczne. Tak długo jak śmiercionośne wojny będą toczyły się daleko od ich granic, państwa zasiada-



JANT TARASIN, MAŁY ROCZNIK STATYSTYCZNY II, 1967, MALARSTWO, ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, REPRODUKCYJA NA LICENCJI: CC BY-NC-ND 3.0



JAN TARASIN, SYTUACJA, 1978, MALARSTWO, ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, REPRODUKOWANA NA LICENCJI CC BY-NC-ND 3.0

>>>

jące na miejscach stałych członków Rady Bezpieczeństwa będą mogły z całym spokojem sprzeciwiać się wszelkim reformom Karty. Lecz sytuacja zmieniła się radykalnie. W Syrii, Iraku, Libii i w wielu innych miejscach świata pojawił się potwór, który eksterminuje, ścina głowy, zabija: to Państwo Islamskie (Daisz). Masakruje, pali, zadaje rany w redakcji gazety w centrum Paryża, w Bataclan, na tarasach bistro, w pociągach i supermarketach w Paryżu i w Bawarii, na promenadzie des Anglais w Nicei, w metrze w Londynie, Brukseli i Moskwie, na brukselskim lotnisku, w kościele parafialnym w Normandii... Jest inspiracją dla zwyrodniałych zabójców w Stanach Zjednoczonych. Dla ludzi Zachodu i dla Rosjan okropności odległych wojen stały się nagle częścią ich codzienności.

Jest jeszcze kwestia uchodźców, ich cierpienia na Morzu Śródziemnym czy Egejskim. Ponad 6 mln osób musiało uciekać ze swoich krajów: Syryjczycy, Irakijczycy, Afgańczycy szukają ochrony i azylu w Europie. Ich tragedie stawiają przed państwami Starego Kontynentu dramatyczne problemy moralne, recepcyjne i związane z integracją ekonomiczną.

na. Sprawiają, że w tych cywilizowanych państwach odradzają się potężne i odrażające ruchy rasistowskie.

To dlatego istnieje dziś szansa, że wspólnie wygramy starcie o reformę ONZ. Już od kilku miesięcy trwają konsultacje między dyplomatami państw będących stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa w Genewie i Nowym Jorku. Posuwają się do przodu. Dyplomaci z Quai d'Orsay, State Department, Foreign Office, lecz również z niemieckiego Auswärtiges Amt przygotowali już poprawki do planu Kofiego Annana. A Unia Europejska stworzyła grupę roboczą, która ma się zająć tą kwestią.

To, czy reforma wymyślona przez Kofiego Annana stanie się rzeczywistością, zależy teraz od siły presji, jaką będzie w stanie wywrzeć międzynarodowe społeczeństwo obywatelskie.

Sytuacje szczególnej uwagi

Pojawia się jeszcze inna nadzieja – ta, którą uosabia ingerencja humanitarna. Konieczne jest, by ONZ, jako depozytariusz powszechnego dobra publicznego i w interesie całego świata, w sytuacji, gdy jakiś rząd dokonuje w systematyczny sposób naruszeń praw człowie-

ka wobec swoich obywateli, mogła działać w imię zasady ingerencji humanitarnej i użyć właściwej sobie siły w służbie prawa.

Przeglądam moje notesy niekiedy późno w nocy, po sesjach Rady Praw Człowieka. Jeden dzień podczas każdej sesji przeznaczony jest na zaprezentowanie przez wysokiego komisarza „situations of special concern” („sytuacji wymagających szczególnej uwagi”).

Natrafiłem na zapiski z sesji plenarnej ze środy 26 marca 2014 r. Navi Pillay, urzędująca wysoka komisarz zabrała głos. Ze swym nieśmiałym uśmiechem i łagodnym spojrzeniem zza okularów bez oprawki wyglądała jak spokojna starsza pani. Jednak te pozory mylą. Pochodząca z rodziny biednych tamilskich imigrantów ze slumsów Durbanu została, dzięki niezwyklej sile woli, adwokatem i specjalistką od prawa karnego. Ryzykowała życiem jako obrończyni kilkudziesięciu bojowników przeciwko rasistowskiej dyktaturze południowoafrykańskiej. Jej głos był zdecydowany, a informacje – precyzyjne. W Kolumbii niektóre instytucje na szczycie władz państwowych chronią paramilitarne oddziały na usługach uprawiających palmę olejową latyfundiów miejscowych, a także należących

do zagranicznych przedsiębiorstw ponadnarodowych. Oprawcy z grup paramilitarnych każdego roku zabijają setki rolników, palą ich domy, by „uwolnić” ziemię i utorować drogę dla intensywnych plantacji. Wspomagana przez lekarzy sądowych z Międzyamerykańskiej Komisji Praw Człowieka ONZ odszukuje masowe groby, bada zwłoki i próbuje zidentyfikować tożsamość ofiar. W sprawie każdej ekshumowanej ofiary ONZ wysyła zawiadomienie do władz w Bogocie.

Domagam się reformy...

Navi Pillay była zdesperowana. Oprawcy od niedawna zmienili taktykę. W Buenaventura zakatowali na śmierć setki więźniów i więźniarek, poćwiartowali zwłoki i rozrzućili szczątki w różnych masowych grobach rozrzuconych po całym departamencie Valle del Cauca na wybrzeżu Pacyfiku: głowa w jednym miejscu, ręce lub nogi tej samej osoby zupełnie gdzie indziej, o kilkadziesiąt lub kilkaset kilometrów dalej. W ten sposób praktycznie uniemożliwiają pracę lekarzy sądowych i sprawiają, że niemożliwe jest wysyłanie doniesień przez ONZ. Przez ponad trzy godziny Navi Pillay wymieniała tamtego dnia nazwiska zabójców i ich ostatnich ofiar.

Wiatr rozbijał drobne krople marcowego deszczu o wielkie okna Pałacu Narodów. Wysoka komisarz podjęła szczególnie bolesny temat. W Gwatemali 10-letnie dzieci „przestępcy” są zamykane w przeludnionych celach więziennych razem z zatwardziałymi przestępcami. Dzieci są bite i gwałcone, tak przez innych więźniów, jak i przez strażników. Navi Pillay powiedziała: „Domagam się reformy wymiaru sprawiedliwości dla nieletnich w Gwatemali”. Debaty ciągnęły się długo. Omawiano również inne poważne naruszenia praw człowieka. Blade słońce przebiło się przez warstwę szarych chmur zasnuwających góry Jury. Nad Pałacem Narodów zapadał zmierzch. Wybiła 18., godzina, kiedy tłumacze kończą pracę. Przewodniczący zamknął sesję. Zaczęły się koktajle, po nich kolacje w rezydencjach dyplomatów i restauracjach w mieście...

Odpowiedzialność za ochronę

W czasie całego dnia po każdej ze swoich prezentacji Navi Pillay odwoływała się do „responsibility to protect” („odpowiedzialności za ochronę”) spoczywającej na ONZ. Prawa człowieka są wspomniane w Karcie 15 razy... jednak nie w rozdziale VII, który wymienia środki przymusu, jakie może podjąć ONZ w przypadku zagrożenia dla pokoju, naruszenia pokoju i aktów agresji. Zdaniem ojców założycieli organizacji przestrzeganie praw człowieka przez państwa nie może być osiągnięte takimi samymi środkami przymusu, lecz jedynie drogą perswazji i współpracy.

Pod naciskiem ruchów społecznych, środowisk uniwersyteckich, Kościołów, szczególnie w Europie i Ameryce Północnej doktryna ta uległa niedawno ewolucji. Coraz powszechniej postrzega się ONZ jako gwarantkę powszechnego dobra publicznego i ogólnego interesu naszej planety: „We the Peoples of the United Na-

tions”, słowa rozpoczynające preambułę Karty powoli stają się ciałem. Gdy jakiś rząd tyranizuje swój własny naród i systematycznie narusza prawa człowieka, ONZ jest odpowiedzialna (w świetle Karty) za ochronę tego narodu. Ingerencja humanitarna, nazywana również „odpowiedzialnością za ochronę” jest obowiązkiem wynikającym z Karty.

Czy ingerencja humanitarna narusza suwerenność państw członkowskich zagwarantowaną w artykule 2 rozdziału pierwszego tejże Karty? Zapewne. Jednak obowiązek ochrony istnień ludzkich, choćby przed ich własnym rządem, jest fundamentem Narodów Zjednoczonych [8].

Wiele rezolucji Rady Bezpieczeństwa definiowało „odpowiedzialność za ochronę”. Pierwsza z nich, rezolucja 688 z 5 kwietnia 1991 r. dotyczyła Iraku i potępiała dokonywane przez Saddama Husajna pod koniec pierwszej wojny w Zatoce Perskiej prześladowania zbuntowanej irackiej ludności cywilnej, a w szczególności użycie bomb z napalmem, fosforem i sarinem w Kurdystanie w marcu 1991 r., które pociągnęło za sobą niezliczone ofiary śmiertelne i ponad milion uchodźców. Pozwalały one na ingerencję humanitarną na północy Iraku i zakazywały – poprzez nadzór z powietrza – wszelkich ruchów wojskowych powyżej 36 równoleżnika. To dzięki temu uratowani zostali kurdyjscy ocalańcy.

Powołując się na oengetowską „odpowiedzialność za ochronę”, by zwalczać naruszenia praw człowieka w Kolumbii i Gwatemali poprzez sankcje gospodarcze, Navi Pillay mogła być pewna porażki, ponieważ oba kraje są protegowanymi Stanów Zjednoczonych, które dzięki amerykańskiemu weto są poza zasięgiem wszelkich działań organizacji.

Jednakże idea ingerencji humanitarnej postępuje do przodu i roz-

wija się wbrew zażartemu sprzeciwowi suwerenistów, zwolenników prymatu suwerenności narodowej państw. Gdyby była ostateczna i stosowana systematycznie, „odpowiedzialność za ochronę” mogłaby każdego roku ocalić dziesiątki tysięcy istnień ludzkich. Aby wbrew zwolennikom „suwerenizmu” mogła zostać wcielona w życie, determinująca będzie rola międzynarodowego społeczeństwa obywatelskiego.

Jak wynika z raportu amerykańskiej komisji dochodzeniowej, 11 września 2001 r. w zamachach terrorystycznych na World Trade Center w Nowym Jorku i Pentagon w Waszyngtonie śmierć poniosły 2973 osoby reprezentujące 62 różne narodowości. Obrazy tej przerażającej tragedii, okrutnego spektaklu rozgrywającego się na Twin Towers obiegły cały świat, poruszyły setki tysięcy widzów telewizyjnych i wywołały wojnę Stanów Zjednoczonych przeciwko Afganistanowi. Tego samego dnia – jak wynika z danych ONZ z głodu i niedożywienia zmarło 35 tys. dzieci poniżej 10. roku życia. Tamtego dnia w Trzecim Świecie z powodu gruźlicy, AIDS, biegunki, chorób dziecięcych, malarii, trądu, infekcji dróg oddechowych itd. zmarło 156 368 osób. Podobnie jak każdego dnia każdego roku. A ta masowa śmierć nie wywołuje żadnych emocji.

Zwalczyć nasz terror

Niemiecki dziennikarz i wydawca Jacob Augstein pisze: „Zachód zwalcza islamski terror. Dlaczego nie nasz własny? Liczba ofiar, które on powoduje, jest znacznie wyższa. Co 5 sekund umiera z głodu jedno dziecko. Z naszej winy”. I proponuje: „powinniśmy domagać się odwołania najbardziej niebezpiecznych państw, nałożenia zaporowych cel na import agropaliw, zakazu spekulacji giełdowych na podstawowych produktach spożywczych itd.” [9]

Fakt, że każdego roku głód i niedożywienie zabijają miliony istot ludzkich – na planecie obfitującej w zasoby – pozostaje największym skandalem naszych czasów.

Jean Ziegler
tłum. Ewa Cylik

Fragment książki *Drogi nadziei. Walki zwycięskie, czasem przegrane, ale w których razem możemy zwyciężyć*, w tłumaczeniu Ewy Cylik, która ukazała się właśnie w Bibliotece *Le Monde diplomatique*.

[1] Hasni Abidi jest dyrektorem Centrum Studiów i Badań nad Światem Arabskim i Śródziemnomorskim (CERMAM) w Genewie.

[2] Rolnicza okolica wokół Damaszku.

[3] W tych zbrodniach wytrwale towarzyszą mu bombowce Suchoj i Antonow rosyjskiego lotnictwa.

[4] John Boyd Orr, *The Role of Food in Postwar Reconstruction*, op. cit.

[5] Régis Debray i Jean Ziegler, *Il s'agit de ne pas se rendre*, Arléa, Paryż 1994, s. 50.

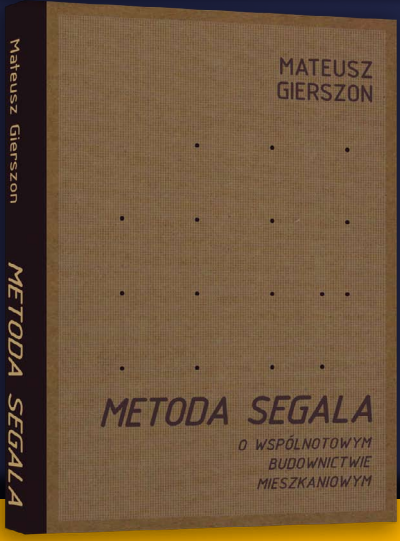
[6] Cytuję tu (i tłumaczę) ten fragment z niemieckiej wersji *Memoires Churchila*, t. I, *Der zweite Weltkrieg*, Alfred Scherz Verlag, Berno 1948, s. 95.

[7] W.F.G. Hegel, *Phénoménologie de l'Esprit* (1807), t. II, Aubier, Paryż 1947.

[8] Patrz Gabriela Venturini i Milena Costas Trascasas „Intervento umanitario e Responsibility to protect secondo il diritto internazionale” w: Bruno M. Bilotta, Franco a. Cappelletti Alberto Scerbo (red.) *Pace, Guerra, Conflitto nella società dei diritti*, G. Giappichelli, Turyn 2000.

[9] Jacob Augstein, „Wir Terroristen”, *Der Spiegel* (online), 16 października 2014.

UMD-PL



Mateusz Gierszon

METODA SEGALA

O WSPÓLNOTOWYM BUDOWNICTWIE MIESZKANIOWYM

„Architekci mają takie same możliwości zapobiegania, co i wsczyznania rewolucji: niewielkie. Mogą natomiast (...) projektować budynki i cały proces budowy tak, by uświadamiać, że możliwe są inne sposoby projektowania, budowania i mieszkania: bardziej egalitarne i bardziej emancypacyjne”.



David Graeber

FRAGMENTY ANTROPOLOGII ANARCHISTYCZNEJ

„Trzeba pogodzić się z tym, że anarchistyczne formy organizacji w niczym nie będą przypominały państw. Będą polegały na nieskończonej mnogości wspólnot, stowarzyszeń, sieci, przedsięwzięć w przeróżnych skalach...”

David Graeber

FRAGMENTY ANTROPOLOGII ANARCHISTYCZNEJ

„Trzeba pogodzić się z tym, że anarchistyczne formy organizacji w niczym nie będą przypominały państw. Będą polegały na nieskończonej mnogości wspólnot, stowarzyszeń, sieci, przedsięwzięć w przeróżnych skalach...”

www.bractwotrojka.pl



ZMIENIĆ ŚWIAT RAZ JESZCZE. JAK WYGRAĆ WALKĘ O KLIMAT

Przeciw zielonej polityce zaciskania pasa

Postulaty ekologiczne nabierają wagi z każdym dniem narastającego kryzysu klimatycznego. Ale jak uczynić z nich siłę polityczną. Z pewnością nie oskarżając ludzi żyjących w niedostatku o nieokiełznany konsumpcjonizm.

TOMASZ S. MARKIEWKA*

Czym zatem jest Nowy Zielony Ład, który popierają takie polityczki jak Ocasio-Cortez? Przede wszystkim to nie tyle szczegółowy program, ile zarys kierunku reform. Jest on na tyle ogólny, że może być stosowany także poza Stanami Zjednoczonymi, ale na tyle jasny, że da się stwierdzić, czy dane rozwiązania naprawdę wpasowują się w model Nowego Zielonego Ładu, czy też pożyczają od niego tylko nazwę. Samo sformułowanie „nowy ład” to oczywiście nawiązanie do słynnego pakietu reform wprowadzonych przez Franklina Delano Roosevelta. Zwolennicy Nowego Zielonego Ładu są przekonani, że współczesnie mierzymy się z jeszcze większym kryzysem niż na początku XX wieku, więc potrzebujemy co najmniej równie ambitnych działań rządu i obywateli, co wtedy. To główna cecha charakterystyczna tego pomysłu: nadzieja na zmianę jest pokładana nie w mechanizmach rynkowych bądź samych innowacjach, ale w politycznej mobilizacji i planie inwestycji publicznych. Oprócz rzeczy oczywistej, czyli przejścia na odnawialne źródła energii, Nowy Zielony Ład zakłada m.in.: powszechny dostęp do jakościowej i publicznej ochrony zdrowia, tanich mieszkań oraz czystej wody; przebudowę istniejących budynków tak, aby zmniejszyć ich wymagania energetyczne; szeroko zakrojone inwestycje państwowe w transport publiczny, reformę sektora rolniczego w celu ograniczenia najbardziej emisyjnych sposobów produkcji; stworzenie nowych, „zielonych” miejsc pracy i finansowanie przez państwo kursów pomagających zdobyć odpowiednie kwalifikacje; poszerzenie regulacji, zakazów i kar nakładanych na firmy paliwowe.

Ku zmianie społecznej

To kilka wybranych pomysłów, ale zapewne już one wystarczą, aby wielu z was pomyślało sobie to samo, co sądzi wielu krytyków Nowego Zielonego Ładu. Tego jest za dużo! W dodatku miesza się tu sprawy bezpośrednio związane z emisją gazów cieplarnianych z kwestiami dotyczącymi sprawiedliwości społecznej. Rzeczywiście, sami zwolennicy tych pomysłów nie ukrywają, że ich celem jest nie tylko transformacja energetyczna, ale także głębsza zmiana społeczna, której efektem jest poszerzenie sfery publicznej, walka z bezrobociem i nierównościami społecznymi. Jak píše Adrienne Buller z brytyjskiego Labour for a Green New Deal:

„Nowy Zielony Ład, który opiera się na idei demokratycznej własności i powszechnym dostępie do usług podstawowych, to coś więcej niż tylko plan dekarbonizacji naszej gospodarki. Stanowi alternatywę dla obecnego systemu naznaczonego kryzysami politycznymi, gospodarczymi i ekologicznymi.

Poszczególni zwolennicy Nowego Zielonego Ładu mogą się różnić między sobą na temat tego, jak silny powinien być ten – nazwijmy go wprost – socjalny aspekt reform, ale łączy ich przekonanie, że jest on koniecznym składnikiem rozwiązania kryzysu klimatycznego”.

Po co nam zielone usługi publiczne?

Czy takie postawienie sprawy nie utrudnia walki z globalnym ociepleniem? Nie dość, że przekonanie ludzi do pilnej transformacji energetycznej jest samo w sobie wyzwaniem, to mamy ich dodatkowo namawiać do inwestycji w transport zbiorowy i reformy systemu ochrony zdrowia. Część osób sądzi, że to niepotrzebne pakowanie się w konflikty polityczne, a tak poza tym nie bardzo wiadomo, co ma zmiana klimatu do nierówności społecznych. Jak na tego rodzaju zarzuty odpowiadają zwolennicy tych ambitnych pomysłów? Ufam, że po tym, co napisałem na poprzednich stronach tej książki, co najmniej dwie odpowiedzi są oczywiste. Po pierwsze, kryzys klimatyczny, czy nam się to podoba, czy nie, i tak będzie nas pakował w spory polityczne. Zbyt wiele lat zmarnowaliśmy w złudnym przekonaniu, że można się uporać z tym problemem apolitycznie: czy to za pomocą ekspertów, czy to innowacji, czy dzięki działaniom konsumentom. Musimy w końcu porzucić beznadziejne próby zmieniania społeczeństwa bez udziału polityki.

Po drugie, wiemy już, że związek między problemami środowiskowymi a ochroną zdrowia i tym podobnymi rzeczami wcale nie jest niczym dziwnym, co dobitnie unaoczniała pandemia koronawirusa.

A pamiętajmy, że nie ma szans na całkowite uniknięcie negatywnych skutków obecnego kryzysu ekologicznego. Klimat zdążył się ocieplić o ponad jeden stopień Celsjusza w porównaniu z epoką przedindustrialną, więc powinniśmy być gotowi do radzenia sobie w trudniejszych warunkach przyrodniczych.

Dobrej jakości usługi publiczne, z opieką zdrowotną na czele, są niezbędnym krokiem do zapewnienia powszechnego bezpieczeństwa w tych trudnych czasach.

Zwolennicy Nowego Zielonego Ładu podają jeszcze inny powód, czemu tak szeroko zakrojone zmiany są potrzebne – z punktu widzenia pragmatyki politycznej najważniejszy. Jeśli chcemy zaangażować społeczeństwo w walkę z kryzysem klimatycznym, to powinna ona dawać nadzieję na lepszy świat, a nie kojarzyć się tylko z serią wyrzeczeń i obowiązków moralnych.

Co chcemy dać?

Wiele osób już teraz ma poczucie, że albo zostało odciętych od korzyści płynących ze współczesnego dobrobytu, albo balansuje na granicy i jedna niespłacona rata kredytu dzieli je od popadnięcia w poważne tarapaty. Ci ludzie są przemęczeni, zestresowani i nieufni. Gdy słyszą o polityce klimatycznej, boją się, że oznacza to dla nich kolejny ciężar – że to oni zapłacą za transformację energetyczną. Przypomnijcie sobie, co mówili niektórzy protestujący w ramach ruchu żółtych kamizelek: „Mamy poczucie, że obrabowano nas za cel zamiast linii lotniczych i żeglarskich, zamiast firm, które zanieczyszczają więcej, a nie płacą podatków” – żaliła się cytowana przeze mnie francuska nauczycielka. Reforma ochrony zdrowia, nowe miejsca pracy czy zasypywanie nierówności społecznych mają na celu zachęcanie takich osób do poparcia, a nawet zaangażowania się w sprawę klimatyczną. To sposób na powiedzenie: to nie jest tak, że chcemy wam coś zabrać, raczej chcemy wam coś dać – mądrzej i sprawiedliwiej zorganizowane społeczeństwo. Społeczeństwo, w którym nie musisz się martwić wzrastającymi cenami paliwa, bo istnieje rozbudowana sieć szybkich i tanich połączeń kolejowych.

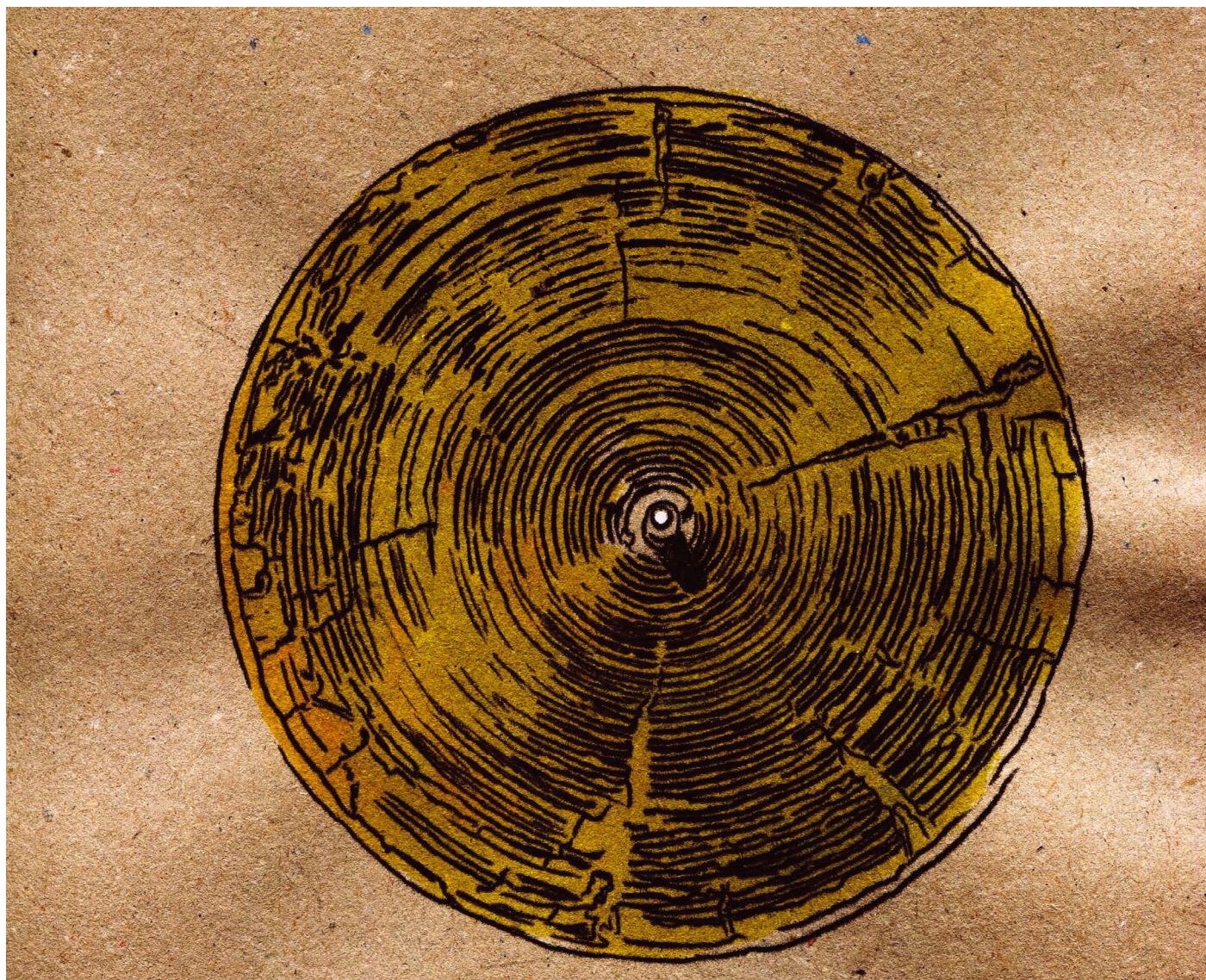
Społeczeństwo, w którym pewne wyrzeczenia, na przykład obniżenie konsumpcji niektórych produktów, jak mięso, są rekompensowane przez dostęp do jakościowej i bezpłatnej opieki zdrowotnej. Społeczeństwo, w którym zmiana nie spoczywa jedynie na twoich barkach, ale jest zbiorowym przedsięwzięciem.

Skończyć z zaciskaniem pasa

Tak więc nie jest prawdą, że zwolennicy Nowego Zielonego Ładu przedkładają idealizm nad pragmatyzm – że przez swoje ideowe chciejstwo są gotowi dołożyć socjalny balast do wozu z napisem „transformacja energetyczna”. Przeciwnie, ich podejście jest kwintesencją pragmatyzmu i sprowadza się do prostej zasady: skoro uporać się z kryzysem klimatycznym wymaga społecznej mobilizacji, to musimy dać ludziom powód do zaangażowania. Jak słusznie zauważają autorzy książki *A Planet to Win*, nikt nie będzie maszerował w imię zielonej polityki zaciskania pasa. Dlatego potrzebujemy jej odwrotności: polityki szerokich inwestycji publicznych.

Na podobnej zasadzie: zamiast pograżania się w indywidualnym poczuciu winy – Dlaczego tyle jeździsz? Dlaczego kupujesz tak mało ekologicznych produktów? Dlaczego nie sadzisz drzew? – potrzeba nam poczucia, że wszyscy razem bie-

* Filozof. Wykłada na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autor m.in. książki *Gniew!* (Warszawa 2020).



TOMASZ BOHAJEJEW, OBRÓTY

rzemy udział w czymś pozytywnym, mianowicie w zmienianiu naszego świata na lepsze.

Realizacja tych ambitnych pomysłów będzie kosztowna, to prawda, ale jak przekonuje dziennikarz klimatyczny David Roberts, i na ten argument istnieje kilka celnych odpowiedzi. Na dobry początek można wskazać, że opiera się on na hipokryzji.

W ostatnich latach rządy na całym świecie inwestowały ogromne pieniądze w ratowanie instytucji finansowych i globalnych korporacji. Tak było zarówno po kryzysie finansowym w latach 2007/2008, jak i po wybuchu pandemii koronawirusa w 2020 r.

Uzasadniono to chęcią zapobieżenia całkowitemu załamaniu gospodarki. Zapewne część z was dobrze zna hasło *too big to fail*, które stało się szczególnie popularne w trakcie kryzysu finansowego. Chodzi o to, że pewne instytucje są zbyt ważne dla funkcjonowania naszych społeczeństw, aby móc pozwolić im upaść, dlatego trzeba je utrzymać nawet za cenę ogromnych dofinansowań z pieniędzy podatników. Skoro przystajemy na tę logikę w przypadku instytucji finansowych i gospodarki, to dlaczego nie mielibyśmy zastosować jej w odniesieniu do społeczeństwa i klimatu? Jeżeli dopuścimy do katastrofy ekologicznej, to skutki będą znacznie bardziej opłakane niż w przypadku zapaści gospodarczej. Klimat jest jeszcze bardziej *too big to fail* niż jakikolwiek bank.

To najlepsze podsumowanie argumentu o kosztach. „Są dwa wyjścia: albo sami zdecydujemy się robić wielkie rzeczy, których chcemy, albo wielkie rzeczy, których nie chcemy, przydarzą się nam” [7] – punktuje trafnie Saikat Chakrabarti, były współpracownik Ocasio-Cortez.

Spora część zarzutów wobec Nowego Zielonego Ładu jest napędzana nie tyle lękiem przed kosztami, ile niepokojem, że zrywa on z wolnorynkowym dogmatyzmem. Zamiast ograniczyć się do wysyłania bodźców rynkowych, zaleca większe uregulowanie rynku i wdrożenie programu inwestycji publicznych inicjowanych przez państwa lub międzypaństwowe struktury w rodzaju Unii Europejskiej. Zdaniem Naomi Klein to jest coś, czego od dawna bali się najzagorzalsi entuzjaści wolnego rynku, i to dlatego wspierali negacjonizm klimatyczny za pośrednictwem organizacji w rodzaju The Heartland Institute.

Klimat albo kapitalizm

Wolnorynkowi fundamentaliści wiedzieli, że potraktowanie na poważnie zagrożeń i wyzwań związanych z globalnym ociepleniem będzie oznaczało zerwanie z ich dogmatami.

„System przekonań dyskredytujących wspólne działanie i wypowiadający wojnę wszelkim regulacjom dotyczącym korporacji oraz wszystkiemu, co publiczne, nie da się po prostu pogodzić z problemem wymagającym zbiorowych dzia-

łań na bezprecedensową skalę oraz radykalnego okiełznania siły rynku”.

Ten wolnorynkowy niepokój widać także w Polsce. To nie przypadek, że próby bagatelizowania zagrożenia klimatycznego tak często łączą się w polskiej debacie publicznej z przestrogami, aby nie ingerować w rynek. Kiedy Forum Obywatelskiego Rozwoju pisało – całkowicie niezgodnie z wiedzą naukową – że „wzrost średniej temperatury Ziemi i poziomu CO₂ w atmosferze jest wynikiem naturalnych procesów, zachodzących co mniej więcej 25 tys. lat”, to opakowało ten negacjonizm klimatyczny w ostrzeżenia przed „szkodliwym wzrostem ingerencji UE w gospodarkę”. To samo dotyczy przywoływanych wcześniej przykładów: fantazji Towarzystwa Ekonomistów Polskich o wzroście gospodarczym nieograniczonym prawami fizyki i nonszalanckiego wpisu na blogu „Prostej Ekonomii” o PKB. „Pozostaje mieć nadzieję, że uda się uniknąć katastrofy, jaką grozi odgórne planowanie” – pisał Jan Lewiński, sądząc najwyraźniej, że katastrofa klimatyczna jest niczym wobec dramatycznych skutków ingerencji rynkowych.

W tym sensie opór przeciwko Nowemu Zielonemu Ładowi jest rodzajem wyznania wiary w rynkowego bożka – próbą ocalenia przekonania, że rynek jest uniwersalną receptą na wszystko. Jak odpowiadają na to zwolennicy Nowego Zielonego

>>>

Ładu? Tak samo jak ekonomiści zrywający z fundamentalizmem rynkowym, na przykład cytowani przeze mnie Joseph Stiglitz i Jean Tirole. Rynek nie rozwiąże naszych problemów z klimatem, bo w ogóle radzi sobie słabo z wyzwaniem środowiskowymi. Jak powiada Ocasio-Cortez:

Przez 40 lat liczyliśmy na to, że problem rozwiąże sektor prywatny. Powiedzieli, że panują nad sytuacją, że mogą to zrobić, że siły rynku wymuszają innowacje. Tylko że istnieje w ekonomii drobiazg zwany efektami zewnętrznymi, a to oznacza, że korporacja może wylewać zanieczyszczenia do rzek i nie musi za to płacić, to podatnicy muszą płacić za oczyszczanie naszego powietrza, oczyszczanie naszej wody i ratowanie planety.

Jak zauważa Ocasio-Cortez, społeczeństwo i tak ponosi koszty zmiany klimatu, nadeszła więc pora, aby rządy nie tylko naprawiały korporacyjne szkody, ale zaczęły „budować rozwiązania tam, gdzie sektor prywatny sobie z tym nie radzi”. Wbrew panicznym reakcjom fundamentalistów rynkowych nie chodzi o wprowadzenie centralnego planowania na wzór rozwiązań stosowanych w Związku Radzieckim.

Zwolennicy Nowego Zielonego Ładu proponują raczej miks rynku i państwowej aktywności – czyli to samo, co pozwoliło odbudować Stany Zjednoczone po wielkim kryzysie i Europę Zachodnią po II wojnie światowej. Różnica polega na tym, że tym razem ten miks ma posłużyć nie tyle do odbudowy zrujnowanych gospodarek i społeczeństw, ile do przestawienia ich na nowe tory w celu uniknięcia globalnej katastrofy ekologicznej.

Inna energia jest możliwa

Można, a nawet trzeba dyskutować o szczegółach rozwiązań proponowanych w ramach Nowego Zielonego Ładu, ale sam kierunek jest słuszny: przebudujemy nie tylko sektor energetyczny, ale podstawy naszych społeczeństw, tak, aby wykorzystać kryzys klimatyczny do załatwienia problemów, którymi już dawno powinniśmy się zająć. Prześniemy pokładając religijną wiarę w procesach rynkowych i zaczniemy wykorzystywać narzędzia, po które sięgaliśmy przy okazji innych kryzysów: inwestycje i regulacje państwowe. Przede wszystkim zaś dajmy ludziom nadzieję, coś, co kojarzy się z postępem, a nie z serią wyrzeczeń, w przeciwnym wypadku trudno będzie zyskać ich poparcie.

Ten optymizm polityczny Nowego Zielonego Ładu przydaje się również do rozbrojenia argumentu narodowego, po który chętnie sięgają osoby niechętnie reformom klimatycznym.

Co z tego, że my tutaj, w Polsce czy w Europie, podejmujemy odpowiednie działania, skoro emisje to głównie dzieło Amerykanów i Chińczyków? Nawet osoby przekonane o tym, że klimat to wspólna sprawa i lepiej działać razem niż w pojedynkę, bywają podatne na taką argumentację. Riposta zwolenników Nowego Zielonego Ładu jest prosta. Pytanie nie dotyczy tego, czy mieszkańcy jakiegoś kraju, np. Polski, chcą się poświęcić na rzecz innych narodów, ale czy chcą poprawić funkcjonowanie własnego państwa. Czy chcemy lepszego transportu publicznego? Czy chcemy lepszych mieszkań?

Czy chcemy trwalszych produktów i większych możliwości ich naprawy? Czy chcemy większych nakładów na ochronę zdrowia? Nawet jeśli nie

wszystkie kraje zdecydują się pójść w tym kierunku, to my nadal zostaniemy z trochę lepszym państwem.

Nowy Zielony Ład pozwala obejść argument narodowy w jeszcze jeden sposób. Przez to, że stał się międzynarodową etykietą dla śmiałej polityki klimatycznej, uświadamia, iż prawdziwy podział przebiega nie między poszczególnymi krajami, ale między tymi ludźmi, którzy chcą zdecydowanych działań ekologicznych, a tymi, którzy się im sprzeciwiają. W każdym państwie są jedni i drudzy. Wszędzie toczy się ta sama dyskusja. Dlaczego to my powinniśmy być wzorem polityki klimatycznej? Kiedy w jednym kraju wygrają sceptycy, wzmacniają siłę swoich odpowiedników w innych rejonach świata. Widzicie, oni nic nie robią, więc i my nie powinniśmy się wychylać. I na odwrót – kiedy w jakimś kraju wygrywają zwolennicy Nowego Zielonego Ładu, wzmacniają pozycję podobnie myślących osób w innych państwach.

Postwzrost czy zielony wzrost?

Zachęcanie ludzi do zaangażowania w sprawę klimatu to jedno, ale istnieje jeszcze inny powód, dla którego samo przzerwarcie się na „czystą energię” to za mało. Otóż wcale nie jest ona taka czysta. Jak zauważa Jason Hickel:

„Sformułowanie ‘czyste źródła energii’ zazwyczaj przywodzi na myśl radosne i niewinne obrazy wypełnione społecznym blaskiem i powiewem świeżego powietrza. Tymczasem warto zwrócić uwagę na fakt, że choć promienie słoneczne i wiatr są oczywiście czystymi źródłami energii, to środki potrzebne do ich ujarznienia już niekoniecznie. Podstawowa zasada pozostaje ta sama, niezależnie od tego, czy mówimy o energii węglowej, czy wodnej bądź wiatrowej: jesteśmy uzależnieni od nieodnawialnych surowców naturalnych”.

Hickel, bazując na wyliczeniach Banku Światowego, podaje, że osiągnięcie celu zerowych emisji wymagałoby 34 mln ton miedzi, 40 mln ton ołowiu, tyle samo ton litu, 50 mln ton cynku, 162 mln ton aluminium i prawie 5 mld ton żelaza. Oznacza to drastyczny podskok wydobycia tych surowców. Na przykład w przypadku litu – wykorzystywanego choćby w samochodach elektrycznych – o ponad 2500%! To z kolei stwarza ogromny problem środowiskowy. Jak relacjonuje Hickel:

„Do wyprodukowania jednej tony litu potrzeba ponad 2,2 mln litrów wody. Nawet na obecnym poziomie wydobycia przysparza to kłopotów. W Andach, gdzie znajduje się większość światowych złóż litu, firmy górnicze zużywają tyle wody, że w efekcie opada poziom zwierciadła wód gruntowych i rolnicy chcący nawodnić pola zostają z niczym. Wielu z nich nie miało wyjścia – musiało opuścić swoją ziemię. Ponadto wycieki trujących chemikaliów z kopalni litu zatruły rzeki od Chile po Argentynę i od Nevady po Tybet, wybijając dośrodkowe ekosystemy. Boom litowy dopiero się rozpoczyna, a my już mamy kryzys”.

Zbyt wysokie koszty transformacji

Tę wyliczankę można ciągnąć dalej. Wydobycie grafitu, jednego ze składników baterii wykorzystywanych w produktach elektrycznych, przyczynia się do zanieczyszczania powietrza i wody w północno-wschodnich Chinach. To samo dotyczy hut i kopalni niklu, m.in. w Kana-dzie, Filipinach i Indonezji. Dodatkowo „same baterie są często produkowane w chińskich fa-

brykach nadal zasilanych węglem. Infrastruktury do recyklingu baterii jest niewiele, więc pod koniec życia stają się toksycznymi odpadami”. Podobne, a czasem nawet gorsze problemy wiążą się z wydobyciem kobaltu. Musimy uporać się z kryzysem klimatycznym, ale byłoby fatalnie, gdybyśmy robili to za cenę pogłębienia pozostałych problemów środowiskowych i pogarszania sytuacji ludzi z innych rejonów świata. Ostatecznie mamy tu do czynienia z systemem naczyń powiązanych. Ocieplenie klimatu jest procesem już na tyle zaawansowanym, że tak czy inaczej będzie oznaczać problemy z dostępem do wody pitnej i masowe migracje – pytanie dotyczy skali tych zjawisk, a nie tego, czy do nich dojdzie. Zatrzuwając rzeki i zużywając masę wody do produkcji „czystej energii”, możemy przyczynić się do pogłębienia tych samych problemów, które chcemy rozwiązać, sięgając po tę energię.

Nie ma prostej odpowiedzi na te dylematy – niestety zabrnęliśmy już w naszym eksploatowaniu przyrody tak daleko, że łatwe drogi wyjścia są niedostępne. To jednak nie zwalnia nas z odpowiedzialności myślenia o tym, która z trudnych dróg jest najsensowniejsza. Co zatem można zrobić? Jednym z rozwiązań jest uzupełnienie miksu energetycznego o elektrownie atomowe. Tak, one też nie są w pełni czyste i budzą wątpliwości, np. związane z radioaktywnymi odpadami, które zostawimy w spadku kolejnym pokoleniom. Tylko że rezygnacja z atomu oznacza, że na pewno nasza transformacja będzie wolniejsza, to zaś spowoduje, że ludzie żyjący na terenach najbardziej zagrożonych – głównie w Azji i Afryce – mogą być zgubieni. Mamy wobec nich nie mniejsze zobowiązania niż wobec przyszłych pokoleń. Tak więc minimum to eksploatacja tych elektrowni atomowych, które już zostały zbudowane i działają. Nie możemy iść drogą Niemiec – nasi sąsiedzi zamknęli sprawne elektrownie, a powstała luka energetyczną rekompensowali importowanym węglem.

Samo dodanie atomu do równania to jednak nadal za mało. Warto też zadbać o demokratyczną kontrolę nad wydobyciem surowców potrzebnych do wytwarzania „czystej energii”. Zachodnie państwa i korporacje, zamiast wykorzystywać swoją pozycję do zwiększania własnych korzyści z eksploatacji krajów peryferyjnych, powinny dbać o to, aby cały proces odbywał się możliwie ekologicznie oraz z poszanowaniem praw tamtejszej ludności. Oczywiście, nie robią tego same z siebie, dlatego my – obywatele i obywatelki krajów zachodnich – powinniśmy się od nich tego domagać, włączając w narzucenie przepisów uderzających w firmy czerpiące zyski z nieetycznych zachowań. Jak piszą autorzy książki *A Planet to Win*: „Wydobycie powinno podlegać rygorystycznym przepisom środowiskowym, w niektórych przypadkach moratorium aż do czasu oszacowania wpływu na otoczenie i wypracowania ulepszonych technik wydobywczych”.

Zmniejszyć zapotrzebowanie na energię

Wszystko to wciąż jednak nie dotyka sedna problemu – ogromnego zapotrzebowania na surowce naturalne i energię. Istnieje jeszcze jedno rozwiązanie, najprostsze, ale też pod wieloma względami najtrudniejsze. Skoro nawet wytwarzanie „czystej energii” pociąga za sobą poważne problemy środowiskowe – i polityczne – to najzwyczajniej w świecie należy zmniejszyć na nią zapotrzebowanie. Natrafiamy tu na jeden z największych, a być może największy spór wśród osób, którym na sercu leży walka z kryzysem klimatycznym. Przedstawiciele nurtu zwanego postwzrostem są za tym, abyśmy poważnie zmniejszyli konsumpcję, szczególnie w krajach zachodnich.

Planeta nie wytrzyma takiego zatrzęsienia dóbr i usług, które konsumują obywatele najbogatszych państw – argumentują.

Musimy więc zacząć się ograniczać, nawet jeśli ceną jest spowolnienie wzrostu gospodarczego. Przeciwnie – odpowiadają zwolennicy „zielonego wzrostu” – musimy podtrzymać za wszelką cenę wzrost gospodarczy, a nawet dążyć do jego zwiększenia, bo jest to podstawa naszego dobrobytu. Wystarczy ten wzrost uczynić bardziej zielonym, tzn. sprawić, że będzie napędzany przez czystą energię oraz usługi i produkty, które nie wymagają aż takich ingerencji w przyrodę.

Obie strony wysuwają przeciwko sobie argumenty, których nie da się zbyć machnięciem ręki. Zwolennicy „zielonego wzrostu” podkreślają, że gospodarka postwzrostowa to konstrukt teoretyczny i nie ma gwarancji, że zadziała w praktyce, tj., że pozwoli na utrzymanie dotychczasowego poziomu dobrobytu. Nie mówiąc już o tym, że spora część świata – głównie Afryka i Azja – musi dopiero do tego dobrobytu dojść, a to bez wzrostu gospodarczego będzie niemożliwe. No i czy osoby zalecające strategię postwzrostową nie pozbawiają się koronnego argumentu przemawiającego za Nowym Zielonym Ładem? Jak przekonywać ludzi, że reformy klimatyczne poprawią ich życie, skoro cały pomysł odejścia od gospodarki wzrostu zasadza się na ograniczeniu konsumpcji? Postwzrostowcy ripostują, że „zielony wzrost” to mrzonka, bo ostatecznie okazuje się, że jest cały czas „brudny” i prowadzi do dalszego ocieplania się klimatu. Pod płaszczykiem budowania dobrobytu opartego na „czystej energii” coraz bardziej niszczyliśmy podstawy środowiskowe, od których zależy życie. Konsekwencje tego odczują w pierwszej kolejności mieszkańcy biedniejszych krajów, o których przecież tak się upominają orędownicy „zielonego wzrostu”.

Mimo dużej temperatury sporu w jednym i drugim obozie są ludzie dostrzegający wyzwania, z którymi muszą się zmierzyć, jeśli chcą obronić swoje stanowisko. Postwzrostowcy wiedzą, że część krajów jest dopiero na wczesnym etapie ścieżki dobrobytu i dla nich wzrost gospodarczy jest koniecznością.

Zielony wzrost da się zrobić?

Dlatego nie są przeciwnikami wzrostu gospodarczego jako takiego, zalecają jedynie jego ograniczenie w krajach rozwiniętych, które ich zdaniem mają wystarczające środki, aby zapewnić swoim obywatelom dobrobyt, muszą tylko lepiej tymi środkami dysponować. Powołują się przy tym na badania, z których wynika, że od pewnego poziomu bogactwa nie widać żadnego związku między dalszym wzrostem gospodarczym a wskaźnikami dobrobytu, takimi jak sytuacja zdrowotna, edukacja bądź poczucie zadowolenia obywateli. Z kolei zwolennicy „zielonego wzrostu”, a przynajmniej część z nich, widzą problemy związane z degradacją środowiska, które wynikają ze wzrastającej konsumpcji i których nie rozwiąże samo przzerzucenie się na odnawialne źródła energii. Podkreślają więc, że trzeba zamienić najbardziej szkodliwe sposoby konsumpcji na ich ekologiczne odpowiedniki, najlepiej niematerialne, które dalej będą napędzały wzrost, ale bez środowiskowych skutków ubocznych. W tym sensie obie grupy zgadzają się, że nie możemy konsumować tak jak dotychczas. Spór toczy się o to, czy musimy konsumować mniej (postwzrostowcy), czy wystarczy, że będziemy konsumować inaczej (zielonowzrostowcy).

A ponieważ jedni i drudzy przyznają zgodnie, że najbiedniejsze kraje powinny dalej opierać rozwój na wzroście gospodarczym, to ostatecznie

debata dotyczy tego, co powinny uczynić państwa bogate.

A co gdyby rozbić tę dyskusję na bardziej szczegółowe kwestie? Czasem impas w debacie jest spowodowany tym, że myślimy o problemie na najbardziej ogólnym poziomie, a to skłania nas do przyjęcia postawy typu „wszystko albo nic”: albo świat idzie ścieżką wzrostu, albo ścieżką postwzrostu. Spróbujmy zamiast tego porozmawiać nie o gospodarce czy społeczeństwie jako całości, ale o ich poszczególnych sektorach. Zwolennikami takiego podejścia są zresztą niektórzy postwzrostowcy. Zdaniem Jasona Hickela:

„Zamiast bezmyślnie podążać za imperatywem wzrostu w każdym sektorze gospodarki, niezależnie od tego, czy go potrzebujemy, możemy zdecydować, które powinny wzrastać (czysta energia, publiczna służba zdrowia, podstawowe usługi, odnawialne rolnictwo, przykłady można mnożyć), a które powinny się raczej zmniejszać (paliwa kopalne, prywatne odrzutowce, zbrojenia, SUV-y).

Gdy tylko zaczniemy myśleć o problemie w ten sposób, łatwiej będzie nam dostrzec, że istnieją takie obszary naszych społeczeństw, gdzie nie tylko moglibyśmy ograniczyć konsumpcję, ale też dodatkowo utrzymać, a nawet poprawić jakość życia wielu ludzi”.

Tomasz S. Markiewka

Fragment książki Tomasza S. Markiewki *Zmienić świat raz jeszcze. Jak wygrać walkę o klimat*, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Czarna Owca.

UMD-PL

mówi muzeum

seria muzeum sztuki nowoczesnej w warszawie
i wydawnictwa charakter



KARAKTER

MUZEUM
sztuki
nowoczesnej
w warszawie

OŚWIECENIE, CZYLI TU I TERAZ

Czy jesteśmy świadkami kresu pewnego myślenia, czy może dopiero dziś i w możliwej do wyobrażenia przyszłości zapoczątkowana w oświeceniu zmiana dopełni się?

Nowa książka we wspólnej serii wydawnictwa Karakter i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie „mówi muzeum”
21 kwietnia w dobrych księgarniach
i na karakter.pl



DZIECI GETTA

Zagłada Liddy

Bohater najnowszej powieści Iljasa Churiego błądzi w labiryntach własnej pamięci i tożsamości. Pod wpływem pokazu pewnego filmu dokumentalnego izraelski emigrant w Nowym Jorku konfrontuje się ze strzępami swojej odrzuconej historii. Eksplorując kolejne jej warstwy natrafia na części większej opowieści o zagładzie miasta Lidda, jednego z najokrutniejszych epizodów czystki etnicznej w Palestynie w 1948 r.

ILJAS CHURI*

Wróć do początku. Początek jest taki, że siły izraelskie biorące udział w Operacji Dani, której celem było otoczenie i zdobycie Liddy i Ramli, wybrały na siedzibę swojego dowództwa wieś Jazur. Siły te składały się z następujących brygad: 8 Brygada Pancerna pod dowództwem Icchaka Sade, Brygada Jiftah podległa Palmachowi pod dowództwem Muli Cohena, Brygada Kirjati pod dowództwem Michaela Ben Gala, Brygada Aleksandroni pod dowództwem Dana Epsteina. Poza

tym lotnictwo, które dostało zadanie zbombardowania obu miast. Całą operacją dowodził Jigal Allon, a jego zastępcą był Icchak Rabin. Wzięło w niej udział 6 tys. izraelskich żołnierzy.

Rzecz nie w tym, dlaczego i jak Lidda i Ramla upadły. To było nieuchronne przy tak ogromnej dysproporcji sił. Armia izraelska rzuciła do walki elitę swoich oddziałów, które zarówno liczebnie, jak i pod względem zorganizowania i uzbrojenia miały przewagę nad obrońcami obu miast. Do obrony Liddy i okolicznych wsi przystąpiło około tysiąca bojowników nieregularnych sił palestyńskich wraz z niewielką jednostką armii jordańskiej, której dowództwo uznało jednak, że walka na tym odcinku nie ma sensu, wycofało więc swoje siły, koncentrując się na obronie Latrunu, żeby przeciąć drogę nacierającym i uniemożliwić im zdobycie Ramallah.

10 i 11 lipca 1948 r. Lidda się dławiła. Padły wszystkie otaczające ją wsie, a ich mieszkańcy schronili się w mieście, które przypominało teraz wielki obóz uchodźców. Na północ od Liddy padły wsie Dajr Tarif i Hadisa, a także lotnisko, a na południe od miasta – Annaba, Dżamzu, Danjal i Ad-Dahirijja. W ten sposób Lidda została otoczona od północy, południa i wschodu. Miasto jest oblężone, po ulicach błądzą uciekinierzy ze zniszczonych wsi, bojownicy przeczuwają rychłą porażkę i odkrywają, że nie mają już nic prócz woli wytrwania, a i ona zaczęła się kruszyć i załamywać.

Sądny dzień nastał dla Liddy nie wtedy, gdy do miasta wjechały od strony Ben Szemen pojazdy pancerne 89 batalionu pod dowództwem Mosze Dajana, ale wraz z napływem uchodźców, którzy wtargnęli do miasta, przynosząc ze sobą straszliwe opowieści o tym, co przeżyli i jak wojsko izraelskie zmusiło ich do opuszczenia rodzinnych wsi, nie dając nawet pochować zmarłych.

Huk artylerii i odgłosy wystrzałów przemieszały się z wyciem samolotów bombardujących Liddę. Samoloty zajęły całe niebo, zsyłały na miasto lawinę bomb. Wszystkich ogarnęło poczucie klęski. Około piątej po południu w niedzielę 11 lipca od wschodu, od strony osiedla Ben Szemen, nadjechała kolumna izraelskich pojazdów wojskowych i przetoczyła się przez Liddę ze wschodu na zachód, strzelając na oślep na wszystkie strony.

Mosze Dajan mógł się pochwalić przed innymi dowódcami Operacji Dani, że jego kolumna zakończyła bitwę w ciągu godziny, bo tyle trwał jej przejazd z Ben Szemen do Wielkiego Meczetu. Miał rację, jego kolumna rozstrzygnęła przebieg walk na korzyść Hagany, bo gdy zajmowała Liddę, bitwa przerodziła się w masaker.

* Pisarz libański, jeden z najważniejszych współczesnych autorów arabskojęzycznych. W Polsce, nakładem wydawnictwa Karakter, ukazały się jego dwie książki, *Jalo* w przekładzie Marcina Michalskiego (2014) oraz *Dzieci getta. Mam na imię Adam*, w tłumaczeniu Hanny Jankowskiej (2021), z której pochodzi niniejszy fragment.

Nie ma statystyk dotyczących liczby Palestyńczyków zabitych przez tę kolumnę strzelającą na wszystkie strony i rzucającą granaty w każdego, kogo napotkała. Kiedy sobie uświadomimy, że na ulicach Liddy tłoczyły się tysiące uchodźców z okolicznych wsi, pojmujemy, co się stało, i zrozumiemy, dlaczego załamał się opór bojowników broniących miasta. Niektóre źródła podawały, że kolumna dowodzona przez Dajana zabiła setkę Palestyńczyków, mężczyzn i kobiet. Założmy, że to prawdziwa liczba, choć młodzi ludzie z getta, którzy zajmowali się zbieraniem i grzebaniem zwłok, zapewniają, że ofiar było o wiele więcej. Tak czy inaczej, pozostaje kwestia rannych. Przy podliczaniu strat wojennych ich liczbę ustala się przeważnie, mnożąc zabitych przez pięć. Byłoby więc pięćuset rannych i stu zabitych, a to wystarczyło, żeby wywołać panikę wśród ludzi, którzy schronili się w Liddzie, tymczasem z płonących wsi uciekli w sam ogień śmierci.

Akcja kolumny 89 batalionu miała wymiar symboliczny, ponieważ Liddę zajęła Brygada Jiftah dowodzona przez Mulę Cohena, której żołnierze zdołali się rozlokować w różnych punktach miasta. Masakrę dokonaną przez 89 batalion dopełniła masakra w meczecie Dahmasz i chaotyczne mordowanie, do którego doszło we wtorek, czyli w dniu wielkiego wypędzenia, kiedy uformowała się i wyszła z Liddy na wygnanie karawana śmierci.

Decyzja podjęta przez Izraelczyków była jednoznaczna: trzeba wypędzić całą ludność miasta. Bezpodstawne jest natomiast izraelskie kłamstwo, przekazane mediatorowi z ramienia ONZ hrabiemu Bernadotte'owi, jakoby ewakuacja mieszkańców Liddy została uzgodniona na spotkaniu miejscowych notabli z izraelskim gubernatorem wojskowym Szmarją Guttmanem, które odbyło się we wtorek 12 lipca w kościele św. Jerzego. Palestyński historyk Arif al-Arif zorganizował w Ramallah spotkanie Bernadotte'a z notablami z Liddy, którzy zaprzeczyli, jakoby było im cokolwiek wiadome o takim porozumieniu, i opowiedzieli wysłannikowi organizacji międzynarodowej o przymusowym wypędzeniu ludności miasta. To, czego Bernadotte dowiedział się na tym spotkaniu, sprawiło, że wysunął propozycję powrotu uchodźców, co z kolei stało się przyczyną jego śmierci w zamachu zorganizowanym przez syjonistów.

W poniedziałek 12 lipca mieszkańcy Liddy obudzili się przejęci grozą. Izraelczycy byli już wszędzie, a krwawa fala wzbierała. Ludzie nie wiedzieli, co robić. Jedni chronili się w swoich domach, inni, w tym przybyli do miasta uchodźcy, postanowili zebrać się w Wielkim Meczecie, meczecie Dahmasz i w kościele, wierząc, że wojsko najeźdźców uszanuje nietykalność świątyń. Mylili się.

Czy masakra w meczecie Dahmasz była pomyłką? I co znaczy zaślanianie się pomyłką, skoro ofiar w różnym wieku było przynajmniej 125? Czy utrzymywanie, że był to błąd, uwalnia sprawcę od odpowiedzialności?

Te pytania wydają się nie na miejscu, bo jaki sens ma badanie szczegółów jakiejś masakry, kiedy ofiarą ogromnej masakry pada cały naród!

Wiem, że słowo „masakra” brzmi niezbyt przyjemnie w dzisiejszym świecie, widzącym w Izraelu potomka Holocaustu i dziedzica cierpień, których przyczyniły Żydom barbarzyńskie prześladowania oraz zbiorowa Zagłada. Mimo to nie mogę użyć innego, bo akurat to nie tylko pasu-



ARCHIWUM

je do wydarzeń rozgrywających się w Palestynie w 1948 r., ale towarzyszy Nakbie, która od ponad 50 lat, aż do dziś, trwa właśnie w formie nieprzerwanej masakry.

Przyznam teraz, ja, przeznaczony na ofiarę syn tego miasta, że prawdę o tej nieustającej Nakbie odkryłem dopiero wtedy, gdy mogłem ją wreszcie opowiedzieć. Żeby zdobyć tę wiedzę, musiałem dużo przeczytać, spotkać się z wieloma ludźmi i wyżyć własną pamięć. Teraz ją spisuję, bo gdy wszedłem już w ostatni etap swego życia, ten, w którym żywi, dotarłszy do skraju nicości, umieją mówić tak, jak przystoi umarłym, ja także mogę przemówić.

Chciałbym też przyznać, że matka nie przekazała mi opowieści o tych trzech dniach otchłani. Opowiadała, zaczynając od getta, nie opisywała śmiertelności burzy, która wcześniej przetoczyła się przez miasto. Było tak nie tylko z moją matką, ale ze wszystkimi, jak gdyby ofiary nieświadomie podjęły wspólną decyzję, że opisujących to słów nie można wypowiadać i że jedynym sposobem, by przeżyć na dnie otchłani, jest milczenie.

Tych historii, które usiłuję napisać, nikt nie opowiedział. To drobiny słów i odłamki pamięci. Zbliżyłem się do nich ze swoim nieskładnym językiem i zamiast je pozbierać i otrząsnąć z nich kurz smutku, mieszam się z nim. Kulawy Ahmad twierdził, że tylko on jeden ocalał z masakry w meczecie Dahmasz. Schronił się pod ciałami zabitych, którzy na niego upadli, a kiedy wszystko ucichło, przedostał się do szpitala, gdzie opatrzone mu ranę od kuli w prawej nodze, ale ponieważ w szpitalu zapanował chaos, bo pielęgniarki i lekarzy zmuszono, żeby udali się do Wielkiego Meczetu, i dopiero na drugi dzień pozwolono im wrócić, nie został wyleczony jak należy.

Kulawy Ahmad znalazł się w trzeciej grupie młodych ludzi z getta wziętych do niewoli, ale nie wrócił do Liddy. Prawdopodobnie został zwolniony z obozu w Sarafandzie pod warunkiem, że uda się do Ramallah, gdzie dołączy do swojej siostry. Ahmad został w Liddzie, ponieważ umarł, albo tak przypuszczała jego siostra, która była w domu razem z mężem i dziećmi, kiedy dowiedziała się, że cała jej rodzina zginęła w meczecie Dahmasz, gdzie się schroniła.

Kulawy Ahmad nie lubił przezwiska, które nadali mu mieszkańcy getta. Hadżdżowi Ilji Batszunowi, kiedy ten zapytał go o imię i nazwisko, powiedział, że wszyscy członkowie jego rodziny umarli i on też już nie żyje.

– Uznaj mnie za zmarłego, wujku. Umarłem i sam nie wiem, jak znalazłem się w szpitalu, i odtąd nazywam się Kulawy Ahmad.

Nie sprzeciwił się, kiedy lekarz, który bez znieczulenia wyciągał mu odłamek ze stopy, nazwał go Ahmadem. Ryczał jak zarzynany byk i nie odpowiadał na żadne pytania.

Wszyscy mówili mu Ahmad, ale Mamun, który po trzech tygodniach wrócił z obozu jenieckiego w Sarafandzie, z przerażającymi opowieściami o tym, co się tam działo, opowiedział, że Kulawy Ahmad ocknął się i wyrzekł przybranego imienia, kiedy zobaczył, jak izraelski żołnierz rozkazuje jednemu z jeńców pójść w kierunku drzewa oliwnego na poboczu drogi, którą jeńcy wykładali kamieniami. A potem strzelił do niego i położył go trupem.

Owej nocy, kiedy popełniono tę zbrodnię, a jeńcy skupili się w jedną gromadę, Ahmad podszedł do Mamuna i opowiedział mu swoją historię.

>>>

„Ten chłopak – relacjonował potem Mamun – nazywał się Marwan Abu al-Lauz. Nieszczęśnik uwierzył, że zginął w meczecie razem z całą swoją rodziną. Kiedy go zapytałem, jak znalazł się w szpitalu, powiedział, że nie pamięta i że spędzone tam dni były czymś w rodzaju 'męki w grobie', o której opowiadała mu babka. Dlatego nie chciał się odzywać i nie sprostował imienia, które nadał mu w szpitalu doktor Zahlan. Zapytałem go, co się stało w meczecie. Powiedział, że pamięta tylko odgłosy wybuchów i strzałów. 'Ale, ale, pamiętam jeszcze żołnierza z jasną brodą, który trzymał dziwny karabin, wystrzelił z niego pocisk i ludzie polecie-li w powietrze'. On sam poleciał, a potem upadł, pokryły go ludzkie szczątki, a zanim umarł, usłyszał odgłosy kilku pocisków”.

– Ale nie umarłeś, przecież teraz mówisz do mnie – powiedział Mamun.

– Nie, umarłem – odparł Kulawy Ahmad, zanim przypomniał sobie, że nazywa się Marwan Abu al-Lauz. – Przysięgam, czułem, że umarłem. Co ci mam powiedzieć. Martwi nie mówią. Spadł deszcz śmierci, tak to czułem. Było głośno, wszystko wybuchło, i ja też wybuchłem, a potem zapadła cisza.

Mamun wyjaśnił, że broń, którą widział Marwan, to PIAT, granatnik przeciwpancerny, i że żołnierze z Brygady Jiftah, gdy weszli do meczetu, odpalili pociski z PIAT-a, a potem puścili kilka serii z karabinów. Wszyscy, którzy znajdowali się w meczecie, zginęli.

Powiedział, że ludzie z grupy, której był członkiem i której powierzono zebranie zwłok, a następnie ich pogrzebanie, zdumieni się, gdy weszli do meczetu Dahmasz. Sam nie rozumiał, co się stało. Wszędzie unosił się zapach śmierci. Koledzy wyszli nagle z meczetu, nie uprzedzając go. Został sam i odkrył, choć nikt mu o tym nie powiedział, że ściany oblepione są ludzkimi szczątkami.

Mamun powtarzał opowieść o Marwanie niezliczoną ilość razy.

„Doktor przezwiał go Kulawym, ale chłopak był głuchy i przez cały miesiąc słyszał tylko dzwonięcie. Kiedy odzyskał słuch, przekonał się, że ludzkie głosy brzmią inaczej niż przedtem, i postanowił się nie odzywać”.

To, co Mamun przeżył jako członek jednej z ekip roboczych zajmującej się zbieraniem i grzebaniem zwłok, uczyniło z niego towarzysza umarłych. Od tego zaczął swój wykład na Uniwersytecie Nowojorskim, po czym przeszedł do głównego tematu,

interwałów ciszy, i stwierdził, że kluczem do odczytania literatury Nakby jest to, co nie zostało powiedziane. Całą twórczość Mahmuda Darwisha należy odczytywać poprzez aluzje do wygnania ze wsi Al-Birwa, które ukrywają więcej, niż ujawniają. Krytycy zaś powinni wstrzymać się w milczenie słów, a nie w ich mowę.

Nie chodzi tu o masakrę w meczecie Dahmasz, bo kiedy wszystkie ulice miasta stają się śmiertelną pułapką, słowa zmieniają się w kamień.

Kulawy Ahmad, czyli Marwan Abu al-Lauz, powiedział, że idzie szukać siostry, która nie schroniła się wraz z innymi członkami rodziny w meczecie Dahmasz. Jest pewien, że ona, jej mąż i dwoje dzieci ocaleli i że mieszkają teraz w którymś obozie uchodźców na Zachodnim Brzegu.

Po dwóch masakrach, tej dokonanej przez 89 batalion i tej w meczecie Dahmasz, żołnierzy izraelskich ogarnęła żądza krwi. Zaczęli strzelać do wszystkiego, rozkazali mieszkańcom opuścić domy, a uchodźcom improwizowane obozy, i wskazali im drogę prowadzącą do Ramallah. „Wynosisie się do Abd Allah!” – krzyczeli, strzelając ludziom nad głowami. Walili do drzwi domów, grozili bronią i kazali ludziom wychodzić w tym, co mieli na sobie. „Zostawcie wszystko, jalla!” – wołali i strzelali. Nie będę relacjonował tego, co słyszałem o gwałceniu kobiet czy zabijaniu kogo popadnie wewnątrz domów, bo o tym wszystkim wiedzą ofiary, a skoro zachowały milczenie, to dlaczego ja mam opowiadać. Dziś rozumiem ich milczenie jako wyraz godności i smutku i sam milczę razem z nimi.

Nie ma sensu przytaczać teraz tych opowieści, ale młodzi członkowie grup zbierających zwłoki natykali się w domach na martwe niemowlęta, kobiety i mężczyzn. Większość zginęła od kul.

Wiem, że nie posiadam dokumentów, które by potwierdzały moje słowa. Moimi dokumentami są świadectwa ludzi, z których większość już nie żyje. Boję się, że jutro odwiedzi mnie historyk w rodzaju doktora Hanny Džirajsa z jego naukowym dyskursem i powie, że skoro nie możemy poprzeć swoich wypowiedzi dowodami, to nie należy ich spisywać. Albo zjawi się izraelski historyk i pisarz w rodzaju Toma Segeva ze swoim „niepodważalnym” argumentem, że nestor izraelskich historyków Benny Morris nie wspominał o części tych faktów w swojej książce o problemie uchodźców, a jeśli ten badacz – który ostatecznie wykonał wolę i zaczął wzywać do zamknięcia Palestyńczyków w klatkach – nie o nich nie napisał, to się nie zdarzyły albo tak jakby ich nie było.

Sądzę, że ofiary tej masakry nie opowiedziały o niej, ponieważ wryła się w ich dusze i towarzyszyła im do końca ich żalonych dni. Nie uznają za konieczne udowadnianie czegoś oczywistego, co przeżyły na własnej skórze. A poza tym chciały o tym zapomnieć i miały do tego prawo, bo jak człowiek może prowadzić normalne życie, dźwigając na plecach własne zwłoki?

(I ja zapomniałem, całe życie upłynęło mi na zapomnianiu. Znalazłem sobie drogę, podmieniając siebie na kogoś innego. Wymyśliłem sobie swój cień i zgubiłem opowieść o nim, bo wszyscy uwierzyli, że cień jest oryginałem. I tylko nie przyszło mi do głowy, że cień się kiedyś ze mną rozstanie. Byłem pewien, że zmieni się w mój całun, gdy wybije ostatnia godzina. Kiedy opuściła mnie Dalia, a ja porzuciłem miłość do niej, postanowiłem zdezerterować z pola bitwy i przybyłem do Nowego Jorku, żeby doczekać emerytury między falafelami a Waddahem al-Jamanem, a cień mi towarzyszył. Wielu ludzi natchnąłem myślą, że nie jestem sobą, nawet Sarang Lee tak uważała, do chwili, kiedy moja tajemnica wyszła przed nią na jaw, gdy oryginał zderzył się z cieniem w sali kinowej, a potem oba rozpadły na kawałki w lobby hotelu Washington Square. Przybyłem jako dezertor, wznosząc białą flagę, odkryłem jednak, że ostatnia bitwa czeka mnie tutaj, że muszę ją stoczyć, mając do dyspozycji broń, którą nie umiem obsługiwać, i że rekonstrukcja oryginału za pomocą pamięci będzie moim przeznaczeniem do końca drogi).

W ciągu trzech dni doszło do trzech kolejnych masakr, po których uformowała się karawana śmierci. Ludzie całymi godzinami szli przez pustkowia pod palącym słońcem. Bólem i śmiercią wytyczyli drogę palestyńskiemu wygnaniu, które nie ma kresu.

Opuszczali miasto wśród krzyku i przerażenia. „Lidda wychodzi z Liddy jak dusza z ciała”. Tak to widział Ghassan Bathejsz, stojąc przed wejściem do szpitala. Widział, jak formuje się karawana, niczym ludzki potok pośród strzałów, grozy i krwi. Pielęgniarka, który nie miał odwagi opuścić szpitala, żeby upewnić się co do losu ojca i matki, szukał bliskich twarzy wśród wygnańców, ogłuszony odgłosami wystrzałów mieszanymi z jękiem. Nagle zobaczył twarz matki kołyszącą się wśród tłumu i ruszył pędem w jej stronę, by znaleźć się wśród zawieruchy tułaczy. Ludzka fala pochłonęła twarz, która mignęła mu z daleka. Matka zniknęła w tłumie. Chciał wrócić do szpitala, ale nacisk ludzkich ciał spychał go, jakby ześlizgiwał się ze zbocza. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby usiłował popłynąć, upadł na

ziemię i poczuł, że się dusi, że po nim depczą. Wołał o pomoc, ale jego głos zginął w zgiefku. Zaczął tonąć w lepkiej krwi, która splamiła asfalt. Zobaczył czyjąś wyciągniętą dłoń, złapał ją, uniósł głowę ponad falę, znów upadł, poczuł, że się ślizga i że krew go zaraz pochłonie. Próbował wstać, ale bez powodzenia, upadł na czworaka, jego oczy utonęły w plamach słońca odbijającego się we krwi rozlanej na ulicy, z których dobywały się czerwone ogniste igły. Rozplakał się. Padł na lewy bok i poczuł stopy depczące mu po twarzy. Zasnął, a gdy się ocknął, czyjeś ręce trzymały go za ramiona i próbowały podnieść. I znów stał pośród potoku krzyku przemieszanego z odgłosami strzałów. Wiosłował rękami, usiłując wydobyć się na powierzchnię tego strumienia jęków i przedostać się w kierunku szpitala.

Ghassan Bathejsz pamięta tylko ludzki potok i jęk unoszący się z kamieni mijanych miejsc. Samej masakry nie widział o tym, co się stało, dowie się dopiero wtedy, gdy dołączy do jednej z ekip zbierających zwłoki z ulic i po domach. Kiedy 21 lipca 1948 r. wejdzie do swojego mieszkania, przekona się, że twarz, która mignęła mu w tłumie, nie była twarzą jego matki. Matka Ghassana została w domu przy mężu inwalidzie, nie posłuchała rozkazów wojska najeźdźców, żeby opuścić miasto, bo nie mogła zostawić męża sparaliżowanego po udarze. Ghassan o tym nie pomyślał. Powie później, że nie pamiętał o ojcu, kiedy wskoczył w sam środek ludzkiego potoku i o mało nie utonął pod nogami idących. Matki nie było w tłumie, z którego uformowała się karawana tułaczy. To, co widział, było tylko jego pobożnym życzeniem, które rozpadnie się w proch, kiedy

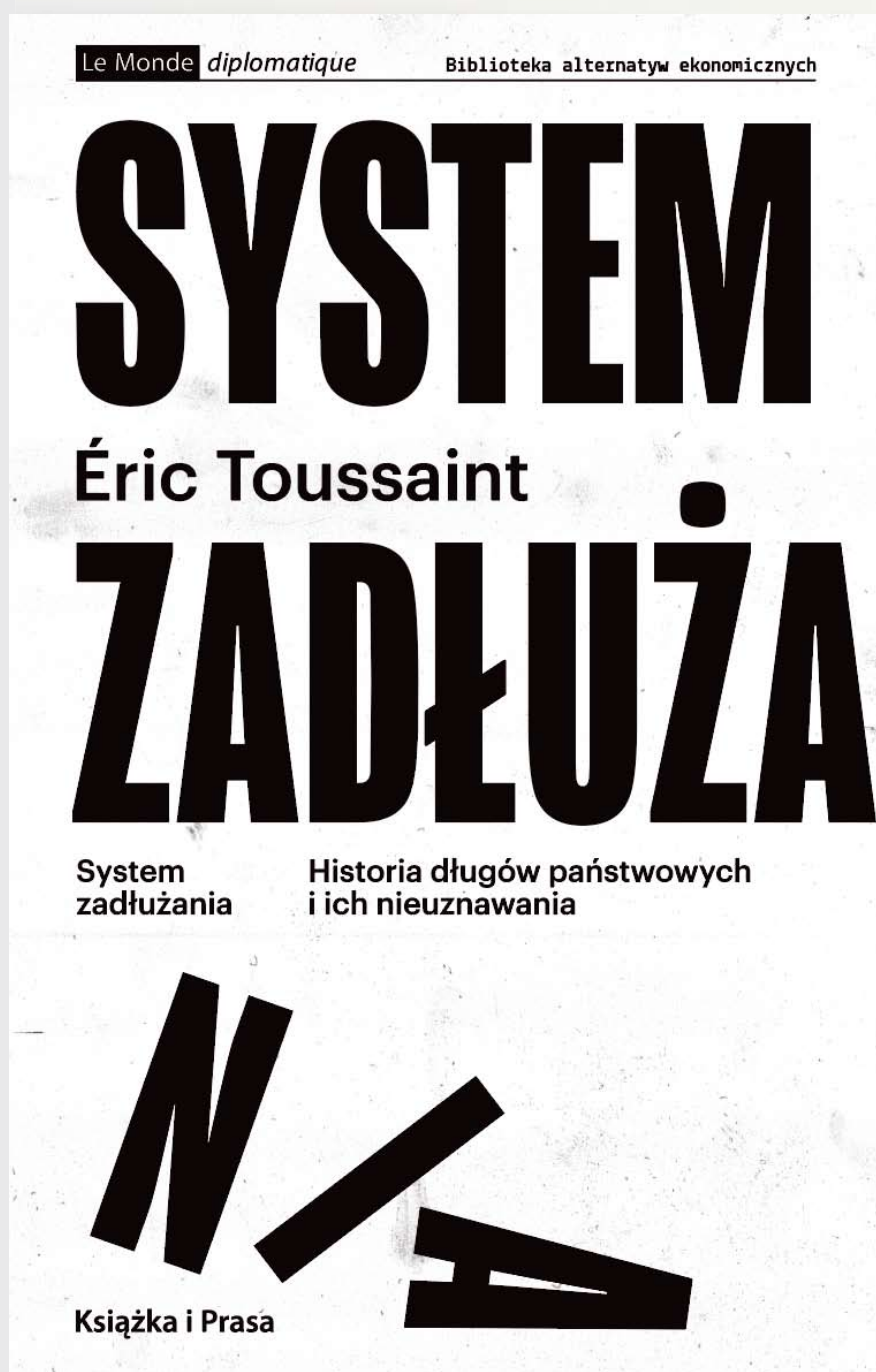
Ghassan poczuje dziwny zapach w swoim domu. Z początku stanął, wahając się, jak zagubiony, i nie chciał wejść, ale kiedy podeszli inni, Hatim al-Lakkis wciągnął go za rękę i Ghassan znalazł się w środku. Zobaczył matkę. Nie miała twarzy. Leżała na wykładanej płytkami podłodze, spowita w to, co z niej pozostało. Ojciec leżał na łóżku zbroczony czarną krwią.

Iljas Churi

tłum. Hanna Jankowska

Fragment książki Iljasa Churiego *Dzieci getta. Mam na imię Adam*, która ukazała się właśnie w tłumaczeniu Hanny Jankowskiej nakładem wydawnictwa Karakter.

Czy państwo po rewolucji ma obowiązek spłaty swojego długu?



Cena 30 zł (w tym 5% VAT)

Dostępna w księgarniach i empikach w działach prasowych.

Książkę można też zamawiać w wydawnictwie „Książka i Prasa” ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa
tel. 22 624 17 27 e-mail: redakcja@iwnkip.org, www.monde-diplomatique.pl

WOKÓŁ SERIALU „ETOS”

Religia, postęp, neoliberalizm

Mam takie wspomnienia lekturowe z czasów, kiedy mieszkalem w Polsce, miałem lat -naście albo dwadzieścia kilka i miesięczniki „Film” i „Kino” czytywałem od deski do deski. Do dziś, z daleka, nie mogę zapomnieć, jak częstym interpretacyjnym wytrychem w odniesieniu do filmów pochodzących z Azji czy Ameryki Łacińskiej (filmów z Afryki w tamtych czasach w polskich kinach nie spotykano) był trop tradycja-nowoczesność. Ich zderzenie, ich opozycja, ich konfrontacja, ich rywalizacja. Może dlatego tak mi się to wryło w pamięć, że nigdy nie ufałem temu narzędziu interpretacyjnemu. Czy „zderzenie tradycji z nowoczesnością” opisuje naprawdę jakąkolwiek współczesną rzeczywistość?

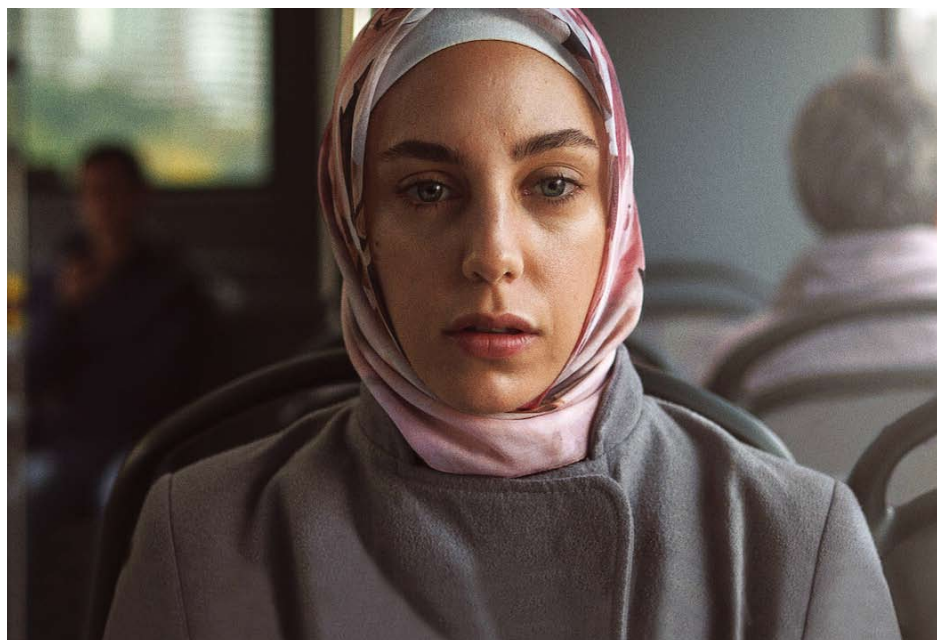
JAROSŁAW PIETRZAK*

Turcja jest jednym z tych krajów, które, jeżeli w ogóle pojawiałyby się wówczas na łamach polskiej prasy filmowej lub filmowych działów polskiej prasy, to pewnie (powody nie zdarzały się na ekranach często) odruchowo w taki właśnie sposób: tradycja *versus* nowoczesność.

Tradycyjne i nowoczesne w Netfliksie

Dziś turecka produkcja audiowizualna to już dawno nie jest marginalna ciekawostka dla filologów czy dziwaków, co oglądają wszystko. Z jednej strony triumfujące w Cannes filmy Nuri Bilge Ceylana, a z drugiej – telewizyjne mocarstwo, które trochę niespodziewanie wyprzedziło na światowym rynku audiowizualnym dotychczasowe serialowe potęgi latynoamerykańskie. To zależy, kto i jak liczy, ale według niektórych źródeł Turcja jest dziś drugim światowym eksporterem seriali (po USA). Nic dziwnego, że pomimo napięć w kontaktach ze skrajnie prawicowym rządem w Ankarze (temperatura była wysoka: wieść gminna niosła przez moment, iż funkcjonowanie Netfliksa w Turcji może stanąć pod znakiem zapytania), dbający o swój liberalny wizerunek, ale i o swoje księgi rachunkowe, Netflix i tak w końcu w Stambule otworzy w tym roku duże biuro na Bliski Wschód.

Wyprodukowany na zamówienie Netfliksa *Etos* (*Bir Başkadır*, reż. Berkun Oya, 2020) to serial jak mało który dzisiaj w Turcji – ani nie wystawna,



NETFLIX, MATERIAŁY PROMOCYJNE

epicka kolubryna z czasów osmańskich, ani rozciągnięty do formatu telenoweli lub opery mydlanej wielowątkowy romans. Jego oryginalny tytuł, jak mi tłumaczą tureccy znajomi, to powiedzenie, które oznacza „coś zupełnie niepodobnego do innych rzeczy w swoim rodzaju”. To serial może i wielowątkowy, ale zarazem produkcyjnie skromny niczym *Sceny z życia małżeńskiego* Bergmana albo wczesny Bilge Ceylan. Oparty w znacznym stopniu na misternie tkany, chwilami ujmujący poetyckim dialogu (Oya jest w Turcji znany m.in. jako autor piszący dla teatru) i dyskretnym, nieprzefajnowanym pięknie kompozycji kadrów. Ma zaledwie osiem odcinków po 40-50 minut i garść postaci, które nie wiedzą, ile je łączy, choć ich światy wszystko wydaje się różnić.

Omdlenia

Postacią centralną, osią, która biegnie przez cały świat przedstawiony i je wszystkie wiąże, jest Meryem (wciela się w nią fenomenalna Öykü Keyerel), młoda kobieta, która mieszka ze swoim bratem Yasinem, jego żoną Ruhiye i ich małym synem w domu na niezamożnych przedmieściach Stambułu. Pracuje, sprząając u znacznie lepiej sytuowanych ludzi. Meryem od jakiegoś czasu mdleje i traci przytomność, jednak badania nie wykazują żadnego problemu *stricte* somatycznego czy neurologicznego. W jej społeczności autorytetem jest miejscowy religijny „mędrzec”, hodża Ali Sadi, ale problem jest na tyle poważny, niespodziewany i tajemniczy, że Meryem dała się przekonać do wizyt u psychiatry. Nie ma odwagi powiedzieć o nich hodży, co świadczy na pewno o czymś jeszcze.

Jaki jest związek jej przypadłości z niedawnym bankructwem Yasina, który próbował prowadzić własny interes, a teraz, zadłużony, wiąże koniec z końcem jako ochroniarz (w imprezowni, do której wieczorami wymyka się córka hodży, Hayrunnisa ukrywająca przed rodziną i lokalną społecznością, że jest lesbijką)? Jaki jest tego związek z tłumionymi przez konserwatyw-

ne wychowanie, nienazwanymi pragnieniami erotycznymi Meryem? Jaki jest związek tych omdleń z tajemniczym niemal-zaniemówieniem jej szwagierki Ruhiye, którą sparaliżował smutek? Takie są zagadki tej toczącej się powoli, ale intrygującej historii.

To by była dopiero jedna połowa społecznego świata, który Meryem przecina swoją powszednią trajektorią kilka razy w tygodniu. A druga połowa?

Terapeutka Peri, do której uczęszcza Meryem, sama chodzi na terapię – do Kurdyjki Gülbina, kochanki Sinana, u którego Meryem sprząta i czasem mu piecze ciasto cytrynowe (błędnie wierzy, że jest on jego wielbiciele). Inna kochanka Sinana, Melisa, jest gwiazdą telewizyjnego serialu, który Meryem ogląda wieczorami z przejęciem. Obydwie terapeutki, ich kochankowie i nieliczne przyjaciółki zamieszkują świat zokcydentalizowany, świecki, domy z widokiem na Bosfor lub luksusowe apartamenty w nowoczesnych wieżowcach. Mówią i czytają po angielsku i francusku, mają za sobą studia w Europie lub w USA. Chodzą na jogę i są wegetariankami. Nie rozumieją „ludowego” konserwatyzmu obyczajowego, chust na głowach kobiet, które u nich sprzątają, dziwią się, „co się stało z tym krajem”, nie zawsze nawet ukrywają pogardę. Kiwiają z politowaniem głowami nad ich głupotą i zacofaniem, nad tym, jak żalosne seriale im się podobają (niektórzy od lat nie oglądali tureckiego serialu). Ale jednocześnie aktywnie ich oślepiają, robiąc dla nich takie właśnie seriale i monopolizując zasoby, które grodzą dostęp do nowoczesnej wiedzy obróconej w wyznacznik statusu zamiast narzędzia emancypacji ludzkiej.

Rozpołowiony świat

Te dwa społeczne światy leżą dosłownie obok siebie, przenikają się lub nakładają, ale zupełnie się nie rozumieją. Wedle starego wytrychu, od którego zacząłem, jeden wiązałby się z „nowoczesną” kulturą, organicznie powiązaną ze wszystkim, co

* Publicysta, pisarz i filmoznawca.

„zachodnie” – językami, dyskursem (naukowym, psychologicznym, artystycznym, itd.). To jest ten świat, który nie należy do Meryem, świat, któremu Meryem się dziwi, w którym czuje się równie nieswojo jak Peri na widok chusty na głowie swojej pacjentki.

Jednak czy świat, który zamieszkują Meryem i jej bliscy (krewni, sąsiedzi, członkowie tej samej religijnej wspólnoty), jest po prostu reliktem przeszłości, która zastygła w opozycji do i w akcie oporu wobec tego, co nowe i postępowe, czy może drugą stroną, rewersem tej samej nowoczesności, jej produktem nie do końca ubocznym, koniecznym, żeby zokeydentalizowane elity mogły pozostać sobą? Pozostać sobą, czyli utrzymać swoją klasową dominację i głęboką ekonomiczną przepaść, jaka je dzieli od „zacofanego motłochu”. A także symbolicznie tę przepaść uzasadniać – klasowym „etosem” z międzynarodowego tytułu serialu, klasową wyjątkowością, niepowtarzalnością, do której odwołaniem być może jest tytuł oryginalny.

Nawet klasowi beneficjenci portretowanego tu rozpołowienia tureckiego społeczeństwa zauważają czasem, że jest ono (owo rozpołowienie) czymś, co *się stało*, i to stało się nie tak dawno, za ich życia. Dziwi ich to właśnie dlatego, że jeszcze pamiętają czasy *sprzed tego czegoś*, czasy, kiedy turecka kultura była znacznie mocniej prześlągnięta komponentem świeckim i „modernistycznym”, jakimś projektem własnej nowoczesności.

Nie znam tureckiego ani specjalnie tureckiej kultury. Byłem zaintrygowany niektórymi wy-

borami estetycznymi twórców. Interpretując je, pewne rzeczy pozostaje mi zgadywać, co się, oczywiście, wiąże z ryzykiem nieutrafię. I co z tego? Raz się pisze.

Serial jest estetycznie staroświecki, ale w sposób samoświadomy, z rozmysłem i wdziękiem tak wystylizowany. Niektóre kadry, tło muzyczne, krój i kolor czcionki w czołówce wyraźnie odsyłają do czasów, kiedy telewizja, zwłaszcza w społeczeństwach peryferyjnych, była mniej efekciarska i mniej bombastyczna niż bywa dzisiaj, w dobie globalnych koprodukcji, globalnych rynków, obrazów generowanych komputerowo czy mocarstwowego patosu *à la* seriale o sułtanach. Poszczególne odcinki kończą się napisami na tle archiwalnych nagrań piosenek z tego samego okresu – większość z początku lat 80. XX w., może końca 70.

Dwie traumy

A jeśli ta „staroświecka” estetyka, te piosenki sprzed 40 lat są wszystkie wyrazem tęsknoty do czasów zanim *to się stało* – to, czyli owa źródłowa trauma, która odpowiada za obecne rozpołowienie będącego tu przedmiotem refleksji (i terapii?) społeczeństwa? W sposób dziwnie podobny do tego, jak Ruhiye chce wrócić do swojej wioski... Ruhiye pragnie wrócić do momentu traumy, która ją złamała i – chce tego czy nie – określiła na wiele następnych lat. Powrócić do momentu tuż przed ową traumą, kiedy jej los nie był jeszcze przesądzony. Do samej siebie sprzed owej traumy. Tak jak będziemy musieli zgadywać i domyslać się, że Ruhiye została zgwałcona, tak też musimy zgadywać i domy-

ślać się, wykorzystując inne nasze intelektualne zasoby, co *się stało* w tureckim (czy tylko tureckim?) społeczeństwie w okresie gdzieś tak tuż po piosenkach z napisów końcowych.

Czy traumą, która poprzedziła dokonany pod rządami Erdodana (najpierw jako premiera, potem jako prezydenta), ultrakonserwatywny zwrot w tureckim społeczeństwie, nie był przypadkiem neoliberalny zwrot w kapitalizmie – i rozjechanie przez neoliberalizm, jednego za drugim, peryferyjnych społeczeństw? Przymuszone do różnych „strukturalnych dostosowań” społeczeństwa zostały wyżęte z własnych ambicji modernizujących innych niż ułatwianie i przyspieszanie procesów nieskrępowanej akumulacji coraz swobodniej bujającego się po świecie kapitału. W rezultacie zwiększyły też tempo wyścigu szczurów i bezwzględność walki nie tylko o awans społeczny, ale o samo przetrwanie (Yasin uwierzył w opowieść, że każdy ma szansę zostać kowalem swojego losu, i przegrał).

Odgrzana „tradycja” jest w takich warunkach nie tyle przeciwieństwem nowoczesności, formą zastanego, skostniałego oporu przed nią, co raczej jej produktem i rewersem, uzupełnieniem „nowoczesności” w jej wersji bardzo konkretnej i wąskiej: neoliberalnej, takiej która postępowo zredukowała do tempa akumulacji kapitału i efektywności jej procesów. Jej jedyną ofertą dla tych, którzy muszą sprzątać i być ochroniarzami w przybytkach zwycięzców. Propozycją gwarantującą jednocześnie, że pogodzą się oni z miejscem, jakie im przypadło w neoliberalnym rozdaniu.

LMD – PL

Rebecca Solnit Matka wszystkich pytań

przełożyła
Barbara
Kopeć-Umiastowska

*O ile zdołałam ustalić,
być kobietą oznacza
wiecznie coś źle robić.
A przynajmniej tak jest
w patriarchacie.*

Autorka książek *Mężczyźni objaśniają mi świat* oraz *Nadzieja w mroku* po raz kolejny bezkompromisowo analizuje rozmaite formy opresji, jakiej poddawane są kobiety – od pomijania, onieśmiania, dyscyplinowania po przemoc psychiczną i fizyczną.

Matka wszystkich pytań od połowy lutego w dobrych księgarniach i na karakter.pl



150 LAT GRAFFICIARSKIEJ PARTYZANTKI

Komuna na paryskich murach

Komuniści, anarchiści, a nawet obrońcy własnej tożsamości: od półtora wieku wielu z nich rości sobie prawa do spuścizny po Komunie Paryskiej. Ten pamiętny bój rozgrywa się niekiedy na murach, z użyciem broni w postaci napisów i plakatów, kreśląc rozmaite wyobrażenia o powstaniu zajmującym poczesne miejsce w pamięci roku 1871.

MATHILDE LARRÈRE*

Podczas Komuny Paryskiej w 1871 r., podobnie jak w trakcie poprzednich rewolucji, niezliczone afisze i graffiti pokrywały „rewolucyjne mury”, informując i mobilizując mieszkańców miasta. Po „krwawym tygodniu” (21-28 maja), który doprowadził do ostatecznego zdławienia powstania, wszystkie je usunięto. Wkrótce potem jednak mury stolicy zabrały głos ponownie: anonimowe osoby starały się w ten sposób uczcić pamięć pokonanych i oskarżyć zwycięzców, zakłócając koncert potępień ze strony wersalczyków. Na murach koszarów wojskowych w Pépinière w 1872 r. „grupa republikańskich żołnierzy i przyjaciół ludu” zamieściła zdanie: „Armio wersalczyków, obrońców despotyzmu i naszej biednej Francji; tyś mordczynią ludu, splamiona krwią, której piętna nigdy nie zetrzesz ze swego czoła”. Pałac Adolphe’a Thiersa, zburzony przez Komunę, a następnie odbudowany na koszt podatników, w 1873 r. stał się celem następującej napaści: „Ludu Paryża, ten oto gmach jest ceną twojej krwi”. Przy okazji upamiętniono powstańców: „Cześć dzielnemu Ferré’mu, Rosselowi, Crémieux i Dombrowskiemu, którzy życie oddali za Komunę” (1872, na murze w 12. dzielnicy). Tego typu napisy stanowią niemal 23% zidentyfikowanych i pieczołowicie skatalogowanych w 1872 r. przez policję graffiti. Wkrótce jednak przestają się pojawiać, a bitwa na słowa przenosi się na cmentarz Père-Lachaise, przed Mur Komunardów, na składane tam wieńce z kwiatów, z których policja zmuszona jest nieustannie usuwać pamiątkowe wstęgi z wicherzycielskimi jej zdaniem hasłami.

Potrzeba bez wątpienia więcej pracy nad historią XX w., by prześledzić

dalsze losy komunardzkich graffiti. Większej liczby źródeł, które uległy uszczupleniu, gdy wraz z ustanowieniem Republiki i wprowadzeniem wolności słowa, napisy na murach jako „wicherzycielskie hasła” przestały być tematem policyjnych raportów, tak przydatnych historykom.

Wieloznaczna spuścizna powstania

Począwszy od 1920 r. Francuska Partia Komunistyczna (PCF) wydaje się być główną powierniczką i przekazicielką pamięci o Komunie Paryskiej, roszcząc sobie prawa do spuścizny po niej, a komunistów uznających za bezpośrednich spadkobierców komunardów. Pielgrzymka pod mur Komunardów staje się jedną z najważniejszych partyjnych uroczystości, których kulminacją jest manifestacja, do której doszło w maju 1936 r., gromadząca przeszło 500 tys. osób. Komunę często cytuje się w ulotkach, artykułach i na plakatach. Staje się tematem piosenek, m.in. tej napisanej przez Jeana Ferrata w 1971 r. Rzadko zdarza się jednak, by upamiętniano ją z pomocą graffiti na miejskich murach, PCF bowiem wystrzegła się tego typu praktyk.

W 1968 r. jednak na Rue de la Sorbonne w oczy rzuca się ogromny napis VIVE LA COMMUNE! [Niech żyje Komuna!]. Nic w tym zaskakującego: wspomnienia o niej są nieodłącznym elementem panoramy wydarzeń rozgrywających się pamiętnego pięknego maja (pokazy filmów, wznowienie pamiętnika Julesa Vallèsa *Le Cri du peuple...*). Zwłaszcza, że represje wobec demonstrantów z maja ‘68 często porównuje się, choć nie bez pewnej przesady, do tych z roku 1871: „Partia wersalczyków nie ma prawa zabierać głosu na temat reform i postępu”, pisze m.in. socjolog Alain Touraine (*Le Monde*, 30 czerwca 1968). Komuna służy wówczas zaczyna za istotny punkt odniesienia dla myślenia o demokracji bezpośredniej czy samoorganizacji, w mniejszym stopniu jako „model

do bezpośredniego naśladowania aniżeli przywołanie tego, do czego aspirują bohaterowie – a co mogło się wydarzyć”, zauważa historyczka Ludivine Bantigny.

Setna rocznica Komuny ponownie rozpala wyobraźnię: niezliczone artykuły prasowe, eseje, powieści, wznowienia wspomnień powstańców, nieformalne obchody, a nawet sporadyczne programy telewizyjne, zmieniają Komunę w kwestię znów nadzwyczaj aktualną. Rzadko jednak dotyczy to graffiti. Trzeba jednak przyznać, że po zdobyciu murów w 1968 r. („Białe ściany, niemy lud” – jak głosi jeden z nich), ten sposób wyrazu doczekał się kolejnego powrotu świetności. Wszak nie na czym innym, jak na bruku artysta Ernest Pignon-Ernest upamiętnił setną rocznicę Komuny. Pewnej marcowej nocy 1971 r. rozlepił on na chodnikach stolicy wykonane sitodrukiem wizerunki „spoczywających”. I na miejsce ich prezentacji wybiera m.in. schody wspinając się ku Bazylice Sacré-Coeur, zmuszając w ten sposób przechodniów do uświadomienia sobie przemocy, której areną miasto to było sto lat wcześniej.

Komuna uznana i radykalnie odzyskana

Po roku 1971 r. następuje w ruchach społecznych widoczny spadek popularności odwołań do Komuny. To efekt utraty wpływów przez PCF przekazującej od dziesięcioleci pamięć o Komunie, ale także świadectwo włączenia pamięci o tym wydarzeniu do narracji narodowej na przełomie XX i XXI w.: historia Komuny weszła bowiem do programów szkolnych i zajęła pewne miejsce w przestrzeni publicznej, upamiętniona m.in. w dzielnicy Butte-aux-Cailles i u podnóża Bazyliki Sacré-Coeur, gdzie tamtejszy plac ochrzczono imieniem Louise Michel. Co Komuna zdobywa pod względem powszechnego publicznego uznania, traci jednak pod względem wyrotowego potencjału w oczach radykalnej lewicy.

Ponowne przebudzenie nastąpiło na początku 2010 r. W latach 2011-2014 zauważyć już można, choć rzadkie i rozproszone jeszcze odwołania do Komuny, głównie ze strony wolnościowej i antyfaszystowskiej radykalnej lewicy, wpisujące się w dwójaki rodzaj sprzeciw: wobec nowowersalskiej reinterpretacji Komuny usiłującej przedstawić ją jako rozruchy niestroniące od wandalizmu, jak np. w pracy Jeana Sévillii *Historique-*

ment correct [Historycznie poprawne] (Perrin) z 2003, który opisuje ją jako „72-dniowy okres anarchii, w którym powstańcza władza siała postrach w stolicy”. I wobec próby przejęcia pamięci o komunardzkiej przeszłości przez frakcję skrajnej prawicy, jak w przypadku paryskiego ugrupowania o tożsamościowym charakterze, znanego pod nazwą Projekt Apache, które od 2011 r. pokrywa miejskie mury powielanym od szablonu hasłem: „Republika bękartów zrodziła się z krwi komunardów”. Te najnowsze odwołania, poszerzające tradycję anarchistycznej pamięci o powstaniu, świadczą ostatecznie o odrodzeniu się „libertariańskiego ducha sprzeciwu wobec demokracji”, zgodnie ze sformulowaniem Jacquesa Rougerie’ego. Podniesiona w 1871 r. przez uczestników Komuny problematyka przedstawicielstwa i suwerenności ludu, sprawowania władzy, „realnej” – bezpośredniej i socjalnej – demokracji, trafiają ponownie do debaty publicznej. Nic w tym kontekście zatem dziwnego, że rano 18 marca 2014 r. (w 143. rocznicę Komuny), Sacré-Coeur budzi się wysprejowana hasłami w kolorach czerwonym i czarnym: „Ani Boga, ani pana, ani państwa”, „Ogień pod kaplicę” oraz „Niech żyje Komuna 1871!”

Wraz z mobilizacją sił przeciw nowelizacji kodeksu pracy, w 2016 r. graffitiarze stają na czele demonstracji. Wywracają porządek graficzny, by przejąć kontrolę nad przestrzenią publiczną, przejmują billboardy reklamowe, opanowują witryny banków i firm ubezpieczeniowych. Klisze rozprzestrzeniają się w sieciach społecznościowych i przyczyniają się do narodzin nowej estetyki ruchów społecznych. Trwająca tygodniami okupacja Place de la République przez demonstrantów z ruchu Nuit debout [Nocne czuwanie] popularyzuje akty symbolicznego przywłaszczenia metodą oznakowywania murów. Samo to miejsce przemianowane zostaje na „Plac Komuny”, przy wejściu do stacji metra pojawia się zaś graffiti z hasłem „Komuno, powstań z martwych!”, wy-malowane czerwienią.

W żółtej kamizelce i na lockdownie

Wiosna 2018 r. jest równie gorączkowa, z jednej strony za sprawą pracowników i pracownic kolei protestujących przeciw reformie Narodowej Spółki Kolei Francuskich (SNCF), a z drugiej strony

* Wykładowca historii współczesnej na Uniwersytecie Gustave’a Eiffela. Autorka książki *Rage against the machisme*, Éditions du Détour, Paryż 2020.



HALINA CHROSTOWSKA, *FIGURY*, GRAFIKA, 1985, ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, REPRODUKUCJA NA LICENCJI: CC BY-NC-ND 3.0

studentów i licealistów walczących z Parcoursup, nową platformą obsługującą proces rekrutacji na studia. 50 rocznica maja '68 do czegoś zobowiązuje, o czym przypominają napisy na murach w mieście („Maj '68, oni upamiętniają, my zaczynamy od nowa”). Ale nie brakuje także odwołań do Komuny. Kilka okupowanych przez studentów gmachów uniwersyteckich zyskuje nowe miana: „Wolna komuna Tolbiac”, „Czynszownica”. W trakcie demonstracji pracowników i pracowników kolei 22 maja 2018 r. na murach przeczytać było można: „Chuj z majem '68, chcemy 1871”. Zwróćmy również uwagę na „Precz z książętami, niech żyje Komuna”, napis widniejący na nadbrzeżu Victora Hugo w Bar-le-Duc pośród wielu innych graffiti pozostawionych po przemarszu ogromnej manifestacji z 16 czerwca 2018 r. przeciw projektowi utworzenia składowiska odpadów jądrowych Cigéo. Odwołało się wówczas do Komuny, jak się wydaje, z uwagi na jej powstańczy potencjał i wiążące się z buntem wyobrażenia, jako że te z 1968 r. nieco już przyblakły. Powiedzenie,

że „chcemy 1871” oznacza w pewnym sensie, że „jest się” gotowym do zbrojnego starcia, co sprzeciwia się skądinąd fałszywemu obrazowi maja '68 roku jako niewinnej zabawy dla burżuazyjnej młodzieży, ale to już całkiem inna historia.

„Żółte kamizelki” częściej powołują się na Rewolucję francuską, od której przejęły koncepcję „zeszytów skarg”, aniżeli na Komunę paryską. Ich perspektywa socjologiczna i kultura polityczna różnią się tym samym od tych, jakie znamy z wcześniejszych mobilizacji społecznych. Jako podstawowe odniesienie dla ruchu robotniczego, Komuna cieszy się mniejszym powodzeniem, rzadziej pojawia się w przekazach i podejmowana jest jako temat w kulturze popularnej niż Rewolucja francuska. Ale wkroczenie na scenę grup autonomicznych, poczynając od Odsłony III (z 1 grudnia 2018 r.), wnoszących, a następnie dzielących się swoją bojowniczą kulturą naznaczoną głęboko wspomnieniami o roku 1871 wyjaśnia pojawienie się pierwszych, choć lapidarnych jeszcze odwołań

do Komuny. Przy okazji Odsłony VI (z 22 grudnia 2018 r.), na Montmartrze, u stóp Bazyliki Sacré-Coeur umieszczono graffiti: „Komuna Paryska 1781 [sic!] /żółte kamizelki 2018”. 12 stycznia 2019 r. ogrodzenie chroniące butiki przy wielkich paryskich bulwarach pokrywa wielki napis „1871 powodów za wyjebaniem Macrona”. „Komuna rozkwitnie na nowo”, „Niech żyje Komuna!”, „Komuna zostaje”...: odsłona za odsłoną (często kaligrafowane wraz z anarchistyczną literą „A”), na trasach przemarszów mnożyć zaczynają się wzmianki o Komunie. Nawiązania do niej pojawiają się również przy okazji demonstracji przeciwko reformie emerytalnej, które rozpoczęły się 5 grudnia 2019 r. 8 grudnia na bulwarze Magenta rzuca się w oczy jeden napis: „Zacznijmy od strajku, skończmy rewolucję. 1871-2019. Tutaj jesteśmy. ŻK [„żółte kamizelki”]” i dwa dni później na bulwarze Raspail, „Kasy w oczekiwaniu na Komunę!”.

Wszystkie te nawiązania, powołujące się jedynie na pewną nazwę,

nie pozwalają rozstrzygnąć, co wiedzą lub myślą na temat tych wydarzeń przedstawiciele rozmaitych ruchów. Świadczą one jednak o tym, że „żółtym kamizelkom”, podobnie jak przeciwnikom reformy emerytalnej, dobrze znane są – mobilizujące czy prowokacyjne, w zależności od odbiorcy – skutki zająć z 1871 r. Dlatego „Komuna” pojawia się tutaj raczej na zasadzie synonimu, bardziej konkretnego i namacalnego, „zamieszek”, „buntu” czy „ludowego powstania” jako takich.

Być może kryzys zdrowotny zakłóci przebieg obchodów 150 rocznicy Komuny. Niemniej zważywszy, że graffiti pozostaje jednym z niewielu narzędzi działania dostępnych dla ludzi zamkniętych w lockdownie, należy zachować czujność wobec tego, co mury będą nam mieć wkrótce do powiedzenia. Już 14 lipca ubiegłego roku na jednej z elewacji we wschodnim Paryżu przeczytać było można następujące słowa: „150 lat/Odzyskajmy naszą Komunę/Pamiętamy”.

tłum. Sławomir Królak

Prawdy odnawialne

Można rzec, nic nowego. Oto kolejny opasły tom, w którym opowiada nam się chro-
nologicznie, krok po kroku historię Stanów Zjednoczonych.

Przecież wszystkie te problemy, pomysłimy sobie, są nam już dobrze znane – handel niewolnikami, rasizm, nierówności społeczne, obsesja na punkcie komunizmu i posiadania broni. A jednak książka *My, naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych* Jill Lepore, amerykańskiej publicystki i historyczki z Uniwersytetu Harvarda odbiega od dotychczasowych mainstreamowych opracowań.

Zacznijmy od tego, że *My, naród...* czyta się znakomicie, a historia Ameryki od czasów kolonializmu do momentu wygrania wyborów przez Donalda Trumpa została opowiedziana przez Lepore językiem przejrzystym i przystępnym dla szerszej publiczności, a nie tylko dla akademickich, bez wątplenia zacnych i utalentowanych badaczy problemu. Autorka ukazuje nam zarówno poczynania kolonizatorów, jak i doświadczenia ludności rdzennej i niewolników z Afryki, przypominając nam o ich powstaniach wybuchających jeszcze zanim doszło do wojny siedmioletniej. Z ciekawością będziemy śledzić na kolejnych stronach książki Lepore, jak ewoluował kolonialny i postkolonialny projekt „Ameryka”, ale nie poznamy niestety historii ludności rdzennej przed kolonizacją.

My, naród..., co niezwykle cenne, jest wielogłosem – od przedstawicieli establishmentu i elity intelektualnej, aż po wszystkich tych, którzy z offu wpływali na ważne wydarzenia – abolicjonistka Maria W. Stewart czy wynalazca Samuel F.B. Morse. Lepore nie unika takich problemów jak klasowość, rasizm i wynikającej z nich przemocy. Przypomina, jak wyglądała strategia walki z powyższymi problemami, chociażby w latach 60., gdy to pieniądze, które miały służyć walce z ubóstwem przesuwano na dobrożenie policji, a za granty, które miały pomóc w rewitalizacji dzielnic, zbudowano kolejne więzienia. Nikt nie mógł tego trafnie skomentować, jak pisarz James Baldwin, który stwierdził, że „rewitalizacja dzielnic” powinna raczej nazywać się „usuwaniem Murzynów”, czytamy u Lepore. Zresztą autorka wciąż wraca na łamach swojej książki do problemów społecznych, i gdy tylko opowie nam o jednym z tych wielu doniosłych dla Ameryki wydarzeń politycznych, zrelacjonuje nam za-



FOT. SŁAWOMIR RZEWUSKI

raz, co w tym czasie działo na odcinku walki chociażby o równouprawnienie kobiet i mężczyzn.

Historia USA to także historia przemocy z rozmachem hollywoodzkim, ale niestety z realnymi ofiarami. Lepore zwraca np. uwagę na przemoc prowokowaną przez policję, w efekcie czego amerykańskie ulice, zwłaszcza zamieszkałe przez społeczność afroamerykańską, spływały krwią, jak miało to miejsce za czasów prezydentury Lyndona Johnsona, a prasa amerykańska krzyczała z okładek: „Czy USA są zdolne się rządzić?”. Już wtedy stało się jasne, że demokracja i państwo nie działają jak należy, ponieważ do okrutnej przemocy dochodziło w dzielnicach zapomnianych, wykluczonych, w których fraza „społeczeństwo dobrobytu” była czymś egzotycznym. Tak na marginesie, powiedzieć dziś, a są tacy wśród lewicujących, a właściwie lewitujących publicystów, że Donald Trump był niczym lekarz przynoszący złe nowiny na temat stanu współczesnej demokracji, to wykażać się brakiem wiedzy z zakresu o historii USA, ale idźmy dalej. Autorka książki stwierdza wprawdzie, że nierówności społeczne nie są powodem do dumy, ale szkoda, że nie poddaje pod wątpliwość figury „American Dream”, według której każdy i każda jest nie tylko kowalem swojego losu, ale i ma rękoma równe szanse w wyścigu po łakocie dobrobytu.

Lepore uzmysławia nam sprzeczności w postępowaniu tych, któ-

rzy budowali porządek społeczno-polityczny Ameryki – zwolennicy zniesienia niewolnictwa byli posiadaczami niewolników, a wczesne feministki były przekonane o wyższości białej rasy i wietrzyły wszędzie spisek żydowski. Autorka *My, naród...* nie wydaje jednak moralnych sądów – oddaje po prostu głos bohaterom i bohaterkom tamtych czasów. Znakomicie też opisuje temperaturę konfliktów toczących się wokół pojęcia „rasy”, polityki migracyjnej, równouprawnienia płci, a zwłaszcza wokół aborcji. Ronald Reagan, ceniony wciąż przez sternika polskiej opozycji Borysa Budkę powiedział raz, że „tak samo jak staramy się uporządkować nasze finanse i odbudować obronę kraju, tak samo dążymy do otoczenia ochroną nienarodzonych, położenia kresu indoktrynacji dzieci przez utopijnych ideologów i pozwolenia na uznawanie Najwyższej Istoty w naszych szkołach” przeczytamy w książce. I wszystko jasne. Czytając więc u Lepore opinie przedstawicieli amerykańskiej prawy sprzed ponad stu lat, a także z połowy XX w., na temat praw kobiet i aborcji, wylądujemy myślami, co tu gadać, w kruchcie polskiej roku 2021.

My, naród... jest nie tylko opowieścią o amerykańskiej historii politycznej, która „została ukształtowana przez filozofów i mężów stanu, przez drukarzy i pisarzy, ale też przez niewolników”. Jest to również historia postępu technologicznego oraz komunikacji. Przeczytamy więc o znaczeniu,



jakie wywarły na Amerykanach i Amerykankach fotografia, radio, prasa, telewizja, badania opinii publicznej i media społecznościowe. Zławsza prasa miała znaczący wpływ na kulturę polityczną Ameryki. O strategii działania gazet w XVIII w. przeczytamy, że „nie były szczególnie zainteresowane ustalaniem faktów; interesowało je zorganizowanie starcia opinii. «Deklaracji bezstronności nie czynimy żadnych», pisała jedna z gazet federalistów”, przypomina Lepore. Aż chce się powiedzieć, że obecne zblatowanie mediów z władzą, bądź brak obiektywizmu wśród mediów papierowych nie powinno robić na nas wrażenia, bowiem tradycja ta jest tak stara i mało zaskakująca, niczym dowcip z brodą.

Jill Lepore postawiła sobie za cel zbadanie, czy wszystkie te „oczywiste prawdy” (równość polityczna, prawa naturalne, suwerenność narodowa) wciąż działają. Jak należy je rozumieć dziś? Gdy obserwujemy obecną, podzieloną, znajdującą się w kryzysie społeczno-politycznym Amerykę i równocześnie oddamy się lekturze książki Jill Lepore stwierdzimy, że kraj ten jest wciąż na etapie „work in progress”, bowiem prawa człowieka muszą być wciąż na nowo pozyskiwane, odnawiane. „Oczywiste prawdy” zawarte w Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych nigdy nie działały w stu procentach, toczono o nie często krwawe spory, ale nie zostały też porzucone, chociażby dzięki działaniom takich ruchów jak Black Lives Matter. Zdaje się jednak, że krajobraz do walki o wspomniane prawdy już od dawna nie wyglądał aż tak źle, skoro odsetek Amerykanów ufających rządowi tak gwałtownie spada (w latach 1958-2015 z 73 do 19%, jak podaje Lepore).

My, naród... nie jest peanem na cześć liberalnej demokracji i zdobyczy wolnościowych Ameryki. To jasne, że nie da się opowiedzieć o wszystkim, zwłaszcza gdy mowa jest o takim kraju jak Ameryka. Najważniejsze jest jednak to, że Jill Lepore udało się zbudować most między przeszłością a teraźniejszością, bowiem dyskusja wokół prawd spisanych w Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych wciąż trwa, a książka Lepore jest tutaj bez wątpienia ważnym głosem.

Wojciech Wojciechowski

Jill Lepore, *My, naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych*, tłum. Jan Szkudliński, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020, s. 848.

Prawdy zapomniane

O to Thomas Müntzer. „Mówi o świecie bez przywilejów, bez własności, bez państwa. Bez ogródek podburza przeciwko uciśkowi”, przeczytamy w książce *La Guerre des Pauvres* Érica Vuillarda, francuskiego pisarza i reżysera. To skromne dzieło, liczące około stu stron (w wersji francuskiej 80, w angielskiej 112), dostało właśnie nominację do Międzynarodowej Nagrody Bookera 2021 i wciąż czeka na polskie tłumaczenie. Po lekturze książek Adama Leszczyńskiego, Michała Rauszera i Piotra Korczyńskiego, którzy zrewidowali historię Polski i przywrócili jej słuszenie pierwiastek ludowy, przyszedł czas właśnie na Vuillarda, który swoją krótką powieścią opowiada nam o niepokojach i powstaniach chłopów w innych częściach Europy.

Książka *La Guerre des Pauvres*, ukazująca się poza Francją z tytułem *Wojna biedoty*, dotyczy powstań ludowych, jakie miały miejsce na przestrzeni trzech wieków w trzech miejscach. Poznajemy Johna Wyclifa (1330-1384) i Johna Balla (1335-1381) z Anglii, Jana Husa z Czech (1370-1415) i wspomnianego już Thomasa Müntzera z Niemiec (1489-1525), o którym traktuje prawie cała powieść Vuillarda. Autor koncentruje się na ostatnich pięciu latach życia Müntzera, który doprowadził do wojny chłopskiej w Niemczech, domagając się równości i zniesienia stosunków feudalnych.

Dziś powiemy, że Müntzer domagał się sprawiedliwości społecznej, ale on, teolog i rewolucjonista, nazywany zwykle utopistą, pytał wtedy także o sprawiedliwość bożą. Pytał głośno, jak to jest, że tylko bogaci doświadczają boskiej dobroci i opływają w luksusy? Vuillard pokazuje nam, że często u podstaw walki emancypacyjnej chłopów był naj-

pierw konflikt z Kościołem. Weźmy Johna Wyclifa, który głośno mówił, że religia nie potrzebuje pośredników i pustej gadaniny. „Biblia musi zostać przetłumaczona na język angielski. Wyclif, któremu najwidoczniej nie brakowało pomysłów, miał jeszcze dwie, trzy inne okropne idee: proponował na przykład skończyć z wyborem papieża. Co za bezsens! [...] Co za ohydny pomysł, aby Wulgatę tłumaczyć na angielski! Dziś każda instrukcja obsługi jest po angielsku, wszędzie mówi się w języku angielskim, na dworcach, w dużych firmach i na lotniskach, angielski jest językiem produktów, a produktem jest dziś sam Bóg. Ale wtedy przecież wszystkie połączenia kolejowe były zapowiadane po łacinie, a angielski pozostawał językiem handlarzy starociami i warcholstwa”, ironizuje w najlepszym Vuillard w *Wojnie biedoty*. Wyclif domagał się więc równości na poziomie rozumienia języka, którym posługiwał się kler. Był forpocztą Müntzera, który w imieniu biednych i uciśnionych, walczył już później o równość ekonomiczną, i z którego ideami obecnymi w książce będziemy się w pełni zgadzać. Mało tego, dzięki Vuillardowi będziemy wręcz czuć gniew Müntzera.

Wojna biedoty to lektura wprowadzić na dwie godziny, ale jej pełen metafor język, dosłowne cytaty głównych bohaterów, chwilami zabawne odniesienia do czasów współczesnych i pierwszoosobowy narrator, który nie unika sarkazmu i ironii dostarczają tak wielu emocji, że podczas lektury oczami wyobraźni oglądałem film podobny do *Kill Bill* Quentin Tarantino, ale według scenariusza traktującego o dawnych powstaniach ludowych. Tak właśnie pisze Vuillard – szybko i agresywnie. Podobnie jest z innymi książkami tego autora, który bierze na tapetę doniosłe wydarzenia historyczne (re-

ÉRIC VUILLARD

La guerre des pauvres

RÉCIT

un endroit où aller
ACTES SUD

wolucja francuska bądź przyłączenie Austrii do III Rzeszy z momentami poprzedzającymi oba wydarzenia), po czym opisuje je kapitalnie na stu stronach, potraśając czytelnikiem i dostarczając mu jednocześnie sporej dawki wiedzy. Warto dodać, że Vuillard w roku 2017 został laureatem Nagrody Goncourtów za równie kapitalną książkę *L'ordre du jour* (*Porządek dnia*), opowiadającą właśnie o aneksji Austrii.

Oczywiście znajdą się w Polsce i tacy, lewicujący, a właściwie lewitujący publicyści, którzy uznają, że wydanie książki Vuillarda po polsku nic nie wniesie do naszego obrazu historii Polski i Europy. Wszak, powie lewitujący publicysta, polska klasa średnia, będzie czytać o krwawej wojnie chłopskiej w wannie, popijając szampana! Trudno, pozwólmymy sobie czytać, jak nam się podoba. O to również walczył Müntzer. Na zdrowie!

Wojciech Wojciechowski

Éric Vuillard, *La Guerre des Pauvres*, Actes Sud, 2018, s. 80.

LE MONDE
diplomatique

EDYCJA POLSKA

Wydawca i adres redakcji

Fundacja Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa
Telefon: 22 624 17 27,
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

Prezes zarządu

Andrzej-Piotr Studziński

Dyrektor publikacji

Stefan Zgliczyński

Redaktor naczelny

Przemysław Wielgosz

Zastępca redaktora naczelnego

Zbigniew Marcin Kowalewski

Zespół redakcyjny

Tomasz Bohajedyn, Ewa Jasiewicz,
Michał Kozłowski, Aneta Jerska,
Magda Qandil, Dariusz Zalega

Łamanie komputerowe (DTP)

Dorota Stefaniak-Rudzińska

Nakład

10 000 egzemplarzy

Reklama

reklama@monde-diplomatique.pl

Kolportaż

Pol Perfect Sp. z o.o.,
ul. Stągiewna 2C, 03-117 Warszawa
Telefon: 022 519 39 51, fax: 022 519 39 50,
e-mail: polperfect@polperfect.com.pl

Pismo można kupić w salonach prasowych Empiku, w niektórych księgarniach oraz bezpośrednio w redakcji.

Prenumerata

Cena rocznej prenumeraty krajowej wynosi 92 zł (6 numerów). Cena prenumeraty zagranicznej w Europie wynosi 195 zł (pocztą lotniczą). Kwotę tę należy przesłać przekazem pocztowym pod adresem wydawnictwa:

Fundacja Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa

lub wpłacić na konto:

44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska

Prosimy o podanie dokładnego adresu oraz zaznaczenie tytułu czasopisma i ilości zamawianych egzemplarzy.

LE MONDE
diplomatique

Miesięcznik społeczno-polityczny ukazujący się w Paryżu od 1953 r.

Prezes zarządu i dyrektor publikacji
Serge Halimi

Redaktor naczelny
Pierre Rimbart

Zastępca redaktora naczelnego
Martine Bulard, Renaud Lambert

Redakcja
Laurent Bonelli, Mona Chollet,
Alain Gresh, Évelyne Pieiller,
Philippe Rivière, Philippe Rekacewicz,
Anne-Cécile Robert

Adres redakcji
1, avenue Stephen-Pichon, 75013 Paryż

O hipokryzji, egoizmie i zbrodniach współczesnego kapitalizmu



Cena 38 zł (w tym 5% VAT)

Dostępna w księgarniach i empikach w działach prasowych.

Książkę można też zamawiać w wydawnictwie „Książka i Prasa” ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa
tel. 22 624 17 27 e-mail: redakcja@iwkip.org, www.monde-diplomatique.pl